



# Zadra

Biografia  
Lecha  
Wałęsy

Jan Skórzyński

Jan Skórzyński

# Zadra

Biografia  
Lecha Wałęsy



# Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Dedykacja

Motto

Jacek Taylor: Przedmowa

Z Popowa do Gdańska

Lekcja grudniowa

Wolne Związki

Niech każdy przyniesie kamień...

Strajk sierpniowy

Samoograniczająca się  
rewolucja

Niespokojne dni

Więzień stanu

Kryptonim „Zadra”

Nobel

Wyczekiwanie

Nie ma wolności bez

Solidarności

Pojedynek

Stół bez kantów

„Polska będzie nasza”

Przyspieszenie

Prezydent Rzeczypospolitej

Od autora

Wybrana bibliografia

Strona redakcyjna

Moim córkom: Julii, Joasi i Kasi

Człowiek upada i podnosi się, to normalne, ale ważne, żeby nigdy nie sprzedał najważniejszych spraw. Wierzę, że mnie się udało...

Lech Wałęsa, *Droga do prawdy.*  
*Autobiografia, 2008*

# Przedmowa

Lecha Wałęsę poznałem na przełomie lat 1978-1979, oczywiście nie domyślając się wcale, że będzie to jeden z najwybitniejszych Polaków XX wieku. Poznałem go, bo od lata 1978 roku obracałem się w kręgu gdańskich Wolnych Związków Zawodowych, a on – wyrzucony z pracy – potrzebował adwokata. Kiedy jednak przedstawiłem Wałęsie kolejność naszych sądowych



poczynać, to on moje propozycje odrzucił! Przynajmniej werbalnie i na początku.

Później w tej roli szło mi jednak znacznie lepiej. Przez kilka lat chodziliśmy razem do prokuratur i do sądów bez żadnych zbędnych dyskusji i nawet bez wielkich emocji. Także – o co troskliwie dbał socjalistyczny wymiar sprawiedliwości – bez specjalnych sukcesów.

Ale gdy sukces nadszedł, ten niezwykły, mający historyczny wymiar, otrzymałem od losu

wielki prezent. Pod sam koniec sierpnia 1989 roku przyjechałem do Gdańska z przybyłym właśnie do kraju „Kurierem z Warszawy”, Janem Nowakiem-Jeziorańskim, z którym miałem zaszczyt się przyjaźnić, i mogłem wprowadzić go do gabinetu Lecha Wałęsy. Przewodniczący już tam czekał na gościa zza oceanu. Obaj nie potrafili ukryć wielkich emocji podczas tego historycznego spotkania. Jan Nowak był niezmiernie wzruszony. Później powiedział mi, że prawdziwie wielkie dni

Lecha to był nawet nie tyle strajk sierpniowy, ile pierwsze tygodnie po wprowadzeniu stanu wojennego. Z pewnością miał rację. W tym bardzo ciężkim okresie cała przyszłość Solidarności, a więc i Polski, zależała od tego, jak postąpi ten pozbawiony wolności, samotny człowiek. I sam, bez możliwości kontaktu z doradcami czy współpracownikami, wybrał właściwą drogę postępowania. Nie zgodził się na żadne kompromisy. Odmówił ugody z generałami. Uratował Solidarność i polską wolność.

Wstępem do tej biografii Lecha Wałęsy powinny być słowa napisane przez Jana Nowaka-Jeziorańskiego. On – reprezentujący starszą generację, pokolenie Armii Krajowej – widział w nas swoich następców – kolejne przęsto w długim moście pokoleń. Rolę Lecha Wałęsy w przelomowym roku 1989 opisał tak:

„Zarówno o przyjęciu kompromisu wypracowanego przy okrągłym stole, jak też o powstaniu kompromisowego rządu Mazowieckiego zdecydował Lech Wałęsa. Nikt

wówczas nie kwestionował jego przywódczego autorytetu. Wobec poważnego ryzyka, jakie z tą decyzją się wiązało, była ta decyzja aktem wielkiej odwagi i niezwyklej intuicji. Nie zdają sobie z tego sprawy dzisiejsi krytycy, którzy twierdzą, że można było wtedy wydębić od Jaruzelskiego i spółki dużo lepsze warunki albo nawet zagarnąć wszystko, bo tamci i tak nie mogliby się bronić. Jest to typowy przykład mądrości po fakcie i po wszystkim, co się stało.

Powzięta przez Wałęsę

decyzja okazała się brzemienne w dalekosiężne skutki, które zmieniły nie tylko postać Polski, ale Europy i świata. Bierność Moskwy wobec powstania pierwszego w jej orbicie wpływów rządu niekomunistycznego i od niej niezależnego pokazała nagle ludności i opozycji w innych krajach satelickich, że król jest nagi. Decyzja Wałęsy obaliła barierę strachu przed Moskwą i zachęciła innych, by pójść śladami Polski. Stała się ona przysłowiowym kamyczkiem, który uruchomił łańcuchową

lawinę wydarzeń. Pierwszym ogniwem tego łańcucha było udzielenie przez Węgrów azylu dla masowego exodusu mieszkańców Berlina wschodniego, a później obalenie muru berlińskiego i zjednoczenie Niemiec. Ostatnim zaś upadek sowieckiego imperium” (Jan Nowak-Jeziorański, *Fakty - wydarzenia - opinie*, Warszawa 2001, s. 161).

Solidarność z lat 1980–1981 z pewnością przejdzie do historii w chwale. Była czymś więcej niż tylko organizacją czy też ruchem

społecznym służącym do odzyskania niepodległości. Stała się składnikiem polskiej tożsamości. Jest naszym bezcennym kapitałem na przyszłość. Wierzę, że biografia jej przywódcy w miarę upływu czasu wydawać się będzie coraz bardziej fascynująca. Dziś trudno jeszcze o niezbędny dystans, a Lecha Wałęsę wszyscy znamy. Niełatwo jest wyjaśnić jego fenomen. Jak to się stało, że odegrał tak wielką historyczną rolę? Siła charakteru i zdolności przywódcze wystarczająco tego nie



tłumaczą. Zresztą to wszystko, co nas spotkało i co nas wówczas popychało do działania, wciąż jest trudne do nazwania i do pojęcia. Mam nadzieję, że książka Jana Skórzyńskiego przyczyni się do uczciwej i twórczej debaty o tamtych czasach. Przede wszystkim jednak podziękujmy Opatrzności za tamte lata. I pomyślmy z wdzięcznością o tych wszystkich, którzy chociaż się później rozeszli, to wówczas trwali ramię w ramię, tworząc jeden z najwspanialszych ruchów w historii świata.

Jacek Taylor

# Z Popowa do Gdańska

Lech Wałęsa urodził się 29 września 1943 roku w Popowie, wsi położonej na Kujawach, niedaleko Dobrzynia. Był czwartym, najmłodszym dzieckiem drobnego rolnika Bolesława Wałęsy, który przed wojną gospodarował na sześciu morgach, a poza uprawą ziemi pracował jako wiejski cieśla. Wojna dotknęła rodzinę

boleśnie. Bolesław aresztowany zimą 1943 roku, dotkliwie pobity przez Niemców, wywieziony na roboty przymusowe, zmarł wskutek wycieńczenia wkrótce po powrocie do domu w 1945 roku. Bardzo wcześnie osierocony Lech dorastał pod opieką matki i ojczyma, którym został brat ojca Stanisław. Było to wychowanie tradycyjne, w duchu prostych zasad katolickich. Mieszkali w domu zbudowanym jeszcze przez ojca: „dwie proste izdebki, kuchnia z piecem i dużym okapem –

wspomina Wałęsa. – W kuchni duży, prosty stół, po bokach ławy, na których cała rodzina siadała wspólnie do posiłków”. Życie rodzinne nie przebiegało jednak bezkonfliktowo. Dzieci z obydwu małżeństw matki było siedmioro – córka i sześciu synów. Potomstwo Bolesława mocno odczuwało brak ojca. Lech był szczególnie związany z matką, potrafił stanąć w jej obronie i przygadać ojczymowi, jak wspomina jego siostra Izabela. Nie pozwalał traktować się lekceważąco; gdy się rozgniewał lub obraził, zakładał

ręce do tyłu i nie odzywał się do nikogo. Rodzeństwo mówiło o nim: „nasz sołtys”.

W wielodzietnej rodzinie Wałęsów nie przelewało się – dostawali ubrania i niewielkie zapomogi z Państwowego Domu Młodzieży we Włocławku. Istotną pomocą były paczki przychodzące co jakiś czas od ciotki ze Stanów Zjednoczonych. W ubogim gospodarstwie zatrudnieni byli wszyscy, chłopcy dorabiali też pracą u sąsiadów. „Najciężej pracowałem między ósmym a czternastym rokiem życia –

opowiada Lech. – Latem żywiłem się mlekiem, jesienią były grzyby. Jak chleb ze smalcem albo z masłem jedliśmy, to było święto. Mięso tylko na przednówku, i to niewiele. Zimą ziemniaki z zacierką na wodzie, kraszone skwarkami”. Do oddalonej o cztery kilometry szkoły podstawowej w Chalinie chodził na piechotę. Ukończył ją w 1958 roku i został przyjęty do klasy mechanizacji rolnictwa w Zasadniczej Szkole Zawodowej w Lipnie, odległym o kilkadziesiąt kilometrów od

Popowa. Zamieszkał w szkolnym internacie. Do nauki się nie przykładał, szczególną niechęć żywił ponoć do historii. „Jak każdy chłopak w tym wieku wolałem zabawy z kumplami niż ślęczenie nad zeszytami i książkami... Wtedy nauczyłem się łowić ryby, i tak mi zostało” – pisze w *Drodze do prawdy*.

Po skończeniu zawodówki w 1961 roku podjął pracę jako elektryk w Państwowym Ośrodku Maszynowym w Łochocinie. Remontował ciągniki i inne maszyny rolnicze, mieszkał w hotelu robotniczym.



Tak jak wszyscy, dorabiał sobie na boku tak zwanymi fuchami. Wspomina w *Drodze nadziei*, że uchodził za fachowca najlepszego w okolicy; naprawiał wszystko, od brony do telewizora. „Jak wchodziłem na zabawę, robił się szum: Wałęsa idzie, orkiestra grała, litr na stół. [...] Byłem kimś...”. Ważniejsze od zdolności mechanika były ujawniające się już wtedy jego talenty przywódcze. Śmiały z natury, chętnie zabierał głos na zebraniach, a koledzy traktowali go jak swego reprezentanta.

Potrafił dogadać się z kierownikiem, załatwić sprawy socjalne załogi.

Przerwał pracę na dwa lata obowiązkowej służby wojskowej. Pobyt w wojsku wspomina dobrze. Przyniósł mu podoficerski stopień kaprała i umiejętność dowodzenia ludźmi, a także sympatię do armii, co miało się ujawnić na późniejszych etapach życia. Po wojsku powrócił do pracy mechanika w okolicach Popowa, ale nie na długo. W maju 1967 roku dość nagle wyjechał do Gdańska. Podobno

bezpośrednim impulsem było zerwanie z dziewczyną, ale w samej przeprowadzce ze wsi do wielkiego miasta nie ma nic nadzwyczajnego – była to wówczas droga setek tysięcy młodych ludzi w Polsce.

Napotkany przypadkowo w Gdańsku kolega z Lipna zaprowadził Lecha do największego zakładu w mieście – Stoczni im. Lenina. Zatrudniono go jako elektryka okrętowego na wydziale W-4. Stocznia, licząca wówczas około 15 tysięcy pracowników, zrobiła wrażenie na

dwudziestoczteroletnim młodzieńcu. Praca była wyczerpująca, ale dawała większe niż gdzie indziej pieniądze i poczucie robotniczego prestiżu. Warunki były ciężkie. „Praca w stoczni to przede wszystkim robota na zewnątrz, przez cały rok, przy każdej pogodzie” – relacjonuje Wałęsa w *Drodze do prawdy*. Funkcje szatni pełniły stare wagony kolejowe, a stołówkę wybudowano dopiero w latach siedemdziesiątych. „Chodziliśmy brudni, w zniszczonych fartuchach, brakowało toalet”.

Nie było gdzie wysuszyć odzieży roboczej. Pracowało się ponad siły. Stale brakowało części zamiennych i sprawnych narzędzi, robotnicy musieli więc nadgodzinami nadrabiać fatalną organizację gospodarki socjalistycznej.

Obrotny Lech szybko się zakorzenił w rozwijającym się Gdańsku, pełnym takich jak on przybyszów. Mieszkał na kwaterze wraz z trzema kolegami. Gospodarze słuchali po cichu Radia Wolna Europa, więc do młodego stocznio-wca docierały pierwsze

nieocenzurowane wiadomości i opinie. W październiku 1968 roku poznał Danutę Mirosławę Gołoś, pracującą w kwiaciarni nieopodal jego mieszkania, pochodzącą ze wsi Krypy, z okolic Siedlec. „Przyszedł rozmienić pieniądze – wspomina pani Danuta. – Potem przyszedł za dwa, trzy dni, żeby mi podziękować. Najwyraźniej taki pretekst sobie znalazł, bo mu się podobałam. Przyniósł mi gumę do żucia. [...] Czytał dużo książek i nawet pożyczył ode mnie jakąś – nie pamiętam tytułu – po jakimś czasie przyszedł z tą

książką i od tego czasu zaczęliśmy się spotykać”. Rok później pobrali się w Węgrowie, rodzinnej okolicy panny młodej. Oboje wywodzili się z bardzo licznych rodzin – Danuta miała siedmioro rodzeństwa, Lech sześcioro – i ten wielodzietny model sami kontynuowali. Swojego mieszkania Wałęsowie nie mieli, musieli wynajmować pokoje sublokatorskie. Ich pierwszy pokój był przejściowy, a w drzwiach zamiast szyby wisiała tylko kretonowa zasłonka. W równie skromnym lokum, na poddaszu, pod koniec

1970 roku urodził im się pierwszy syn, Bogdan. Szybko pojawiły się kolejne dzieci – Sławomir (1972), Przemysław (1974), Jarosław (1976), Magdalena (1979), Anna (1980). Od roli ojca Lecha Wałęsę oderwać miały jednak wydarzenia publiczne.



# Lekcja grudniowa

W marcu 1968 roku stoczniovcy nie przyłączyli się do demonstracji studenckich, które w Gdańsku przybrały wielotysięczne rozmiary. Ale patrząc coraz bardziej krytycznie na rzeczywistość PRL Wałęsa namawiał, jak wspomina, kolegów do solidarności z protestującą młodzieżą. O brutalności policji świadczyły sine od pałek plecy jednego ze studentów

odbywających praktykę w stoczni. – Wiedzieliśmy na wydziale dokładnie, co się dzieje, agitowałem ludzi, żeby nie szli na wiec potępiający studentów – relacjonuje Wałęsa. Ludzie na wiec poszli, ale wygwizdali lokalnego szefa partii Stanisława Kociołka.

„Marzec był dla mnie polityczną lekcją, którą zaliczyłem, pracując w stoczni” – ocenia Wałęsa w *Drodze nadziei*. Najpoważniejsza lekcja nadeszła dwa lata później. W sobotę 12 grudnia 1970 roku rząd podjął decyzję o podwyżce

cen żywności i wielu innych podstawowych artykułów. Pierwsza zareagowała Stocznia Gdańska, rozpoczęła protest w poniedziałek 14 grudnia rano. Stoczniowcy wyruszyli w demonstracji pod gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR, lokalne władze nie chciały jednak z nimi rozmawiać. Przerażeni ludowym buntem komuniści nie myśleli o dialogu ze społeczeństwem. Zaatakowani przez milicję robotnicy odpowiedzieli próbą podpalenia gmachu Komitetu Wojewódzkiego. Starcia uliczne

w mieście trwały do wieczora.

Wałęsy tego dnia w pracy nie było – kupował wózek dla pierworodnego, co było w tamtych latach chronicznego niedoboru sporym wyzwaniem. W pierwszej manifestacji nie wziął więc udziału. Nazajutrz, 15 grudnia wczesnym rankiem stawił się w stoczni i trafił prosto na kilkutysięczny wiec przed siedzibą dyrekcji. Szybko znalazł się w gronie liderów protestu. Dla kolegów nie był osobą anonimową. Zyskał wcześniej „zaufanie załogi swymi śmiałymi i bezpośrednimi

wystąpieniami” – oceniała Służba Bezpieczeństwa. Razem z trzema innymi stoczniovcami wkroczył do budynku dyrekcji. Tam, jako najbardziej wygadany, przedstawił żądania protestujących: odwołanie podwyżki oraz uwolnienie aresztowanych poprzedniego dnia robotników. Rozmowa z dyrektorem nie przyniosła jednak żadnych rezultatów, o czym Wałęsa powiadomił z okna przez tubę robotników stojących na placu. Co robimy? – zapytał. Gdy ludzie postanowili znowu wyruszyć pochodem na miasto,

wyszedł ze stoczni razem z nimi, choć dyrektor próbował go przekupić i namawiał, by zatrzymał kolegów. Szybko wysforował się na czoło pochodu (bezpieka oceniła go potem jako „jednego z kierowników demonstracji ulicznej”). Wystraszył się pierwszego starcia z milicją. „Pomyślałem, że oberwę. [...] Myślę, że ludzie widzieli, że stchórzyłem”. Poszedł jednak dalej. Pod gmachem Komitetu Wojewódzkiego manifestanci daremnie domagali się rozmowy z miejscowym bossem

partyjnym. Wałęsa był wśród tych, którzy podeszli pod drzwi budynku, próbując się skontaktować z przedstawicielami władz.

Młody jeszcze wiekiem i stażem robotnik odkrył w sobie tego dnia ambicje przywódcze, starając się nie dopuścić do gwałtownej konfrontacji i rozlewu krwi. Kiedy stoczniowcy, szukający zatrzymanych podczas starć poprzedniego dnia kolegów, dotarli do Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej, Wałęsa wszedł

do środka i próbował  
wynegocjować z milicją  
uwolnienie aresztowanych.  
Samozwańczy negocjator naraził  
się swoim. Nie rozpoznano go i  
gdy pokazał się w oknie  
komendy, został obrzucony  
przez stoczniowców  
wzywiskami: zdrajca, szpicel,  
świnia. Tłum uspokoiło dopiero  
wyrzucenie karty zegarowej i  
kasku przez Wałęsę na dowód,  
że sam jest stoczniowcem.  
Według niektórych relacji kilku  
robotników zostało potem  
wypuszczonych. Wkrótce  
jednak siły porządkowe



zaatakowały demonstrantów.  
Wybuchły starcia.  
Zrezygnowany Wałęsa nie brał  
w nich udziału – wrócił do  
domu, coś zjadł, potem jednak  
znów wyruszył na miasto.  
Widział ślady po walkach,  
rozbite i ograbione sklepy,  
pijanych robotników.  
Przestraszył się, że wydarzenia  
przybiorą niebezpieczny obrót –  
jeśli ludzie się napiją, ktoś z  
łatwością może ich podburzyć.  
Raz jeszcze próbował  
pertraktować z napotkanymi na  
ulicy milicjantami, namawiał, by  
pozwolono starszym

stoczniovcorn przejechać samochodem po mieście z apelem do demonstrantów, by wracali do zakładu i wybrali przedstawicieli do rozmów z władzami – znowu bez powodzenia. Tymczasem zdeterminowany tłum skierował się ponownie pod siedzibę partii. Siły bezpieczeństwa zaczęły strzelać. W rezultacie walk demonstrantów z milicją padły pierwsze ofiary śmiertelne, a gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR został spalony. Płonęły także budynki komendy MO i Dworca

Głównego PKP. Dopiero wtedy robotnicy wrócili do stoczni.

15 grudnia po południu w stoczniowej sali BHP zebrali się delegaci poszczególnych wydziałów. Z wydziału elektrycznego do Rady Delegatów wybrano Lecha Wałęsę; znalazł się on też w kilkudziesięcioosobowym zespole, który miał opracować postulaty. Wyłoniony przez delegatów Komitet Strajkowy proklamował strajk okupacyjny Stoczni Gdańskiej. Część robotników, w tym Wałęsa, została na noc w zakładzie.

Jednak wybranemu *ad hoc* komitetowi nie udało się zapanować nad sytuacją w stoczni i pokierować protestem. „Nie miałem wtedy pojęcia o kierowaniu strajkiem” – wspomina Wałęsa swoje pierwsze kroki przywódcy robotniczego w *Drodze nadziei*.

Kolejne próby pertraktacji z władzami bezpieczeństwa podjęte przez niego i kilku kolegów z wydziału spaliły na panewce. 16 grudnia rano kilkutysięczny tłum znowu zgromadził się przed dyrekcją stoczni, domagano się obniżki

cen i uwolnienia aresztowanych. Kilkaset osób próbowało wyjść przez bramę numer dwa z otoczonej przez czołgi stoczni. Wojsko otworzyło ogień – dwóch ludzi zostało zabitych, jedenastu rannych. Stoczniowcy wycofali się i powołali pięcioosobowe prezydium Rady Delegatów Strajku Okupacyjnego, do którego wybrali Wałęsę. Organizacja protestu znacznie się usprawniła, wyznaczono milicję robotniczą. Na bramach i dźwigach pojawiły się biało-czerwone flagi przepasane

czarną krepą. Po południu ponownie ogłoszono strajk okupacyjny i powołano nowy Komitet Strajkowy Stoczni Gdańskiej – również z udziałem Wałęsy. Cały dzień układano listy postulatów; trwały dyskusje o tym, co robić, myślano nawet o nadaniu przez radiostację jednego z budowanych statków apelu do Zachodu o pomoc. Jednak 17 grudnia nad ranem pod groźbą szturmego wojska i milicji robotnicy opuścili zakład. W Gdyni rozpoczynała się właśnie największa grudniowa tragedia:

idących do pracy stoczniovców powitały salwy oddziałów wojska i milicji. Zabito osiemnaście osób.

W gdańskiej stoczni strajk przerwano, więc Wałęsa wrócił do domu. Zauważył śledzących go tajniaków. 19 grudnia przyjechali po niego. Spodziewając się najgorszego, zdjął obrączkę i zegarek. – Jak nie będziesz miała na chleb, sprzedasz to – powiedział żonie, zanim go zabrali.

Służba Bezpieczeństwa dobrze wiedziała, kogo szuka. O roli, jaką Lech Wałęsa odgrywał

podczas protestu, opowiedział  
bezpiece dwa dni wcześniej  
inżynier Karol Hajduga ze  
stoczni. Prowadzący z ramienia  
dyrekcji rozmowy z Komitetem  
Strajkowym inżynier zapamiętał  
tylko jednego przedstawiciela  
załogi: „człowieka w młodym  
wieku”, z „krótko ostrzyżoną  
bródką” – „pracownika wydziału  
W-4 Wałęsę”. Był on na tyle  
aktywny – donosił inżynier – że  
chciano go nawet wybrać na  
przewodniczącego komitetu. W  
ankiecie personalnej  
sporządzonej na początku 1971  
roku w MSW podkreślano, że



Wałęsa należał do wszystkich komitetów strajkowych, jakie istniały w Stoczni Gdańskiej i na jego wydziale, brał udział w opracowaniu postulatów, petycji i komunikatów nadawanych przez radiowęzeł. W chwili aresztowania był więc już zidentyfikowany przez władze jako jeden z przywódców strajku, prowodyr buntu, którego należało za wszelką cenę poskromić.

Co się z nim działo w gmachu bezpieczeństwa? Żadnych bliższych szczegółów nie znamy. Wiadomo jedynie, że był

przetrzymany w areszcie przez cztery dni. Ostro przesłuchiwany, z pewnością straszony, podjął bliżej nieokreślone zobowiązania wobec Służby Bezpieczeństwa. „Powiedziałem wtedy – wspomina w *Drodze nadziei* – że jeśli nie dopuszczą do powstania autentycznych organizacji robotniczych, zdolnych wyrażać i kontrolować rzeczywistość, dojdzie w niedługim czasie do większych jeszcze dramatów. I prawdą jest też, że z tego starcia nie wyszedłem zupełnie czysty. Postawili warunek: podpis! I

wtedy podpisałem”. „Jedynym celem było wydostanie się stamtąd” – pisze w *Drodze do prawdy*. Był potem jeszcze wielokrotnie wzywany przez bezpiekę. – Chyba musiałbym być desperatem, by się nie stawić – dodaje. Wiemy więc, że chodził na spotkania z SB. Czy kontakty te można uznać za regularną współpracę donosicielską z policją? Między rolą agenta a postawą człowieka uwikłanego, przymuszanego do informowania o atmosferze w swoim zakładzie pracy, jest duża różnica.

Dla

dwudziestosiedmioletniego

Lecha było to pierwsze zetknięcie z aparatem bezpieczeństwa. Pozostawiony sam sobie, pełen lęku o młodą żonę i ledwie dwumiesięcznego synka, w atmosferze brutalnego odwetu władzy na buntujących się proletariuszach mógł nie wytrzymać presji i zgodzić się na kontakty z policją. Młody robotnik, który nagle znalazł się w centrum wydarzeń jako jeden z przywódców wystąpień antyrządowych, był stosunkowo łatwym celem szantażu.

Grudzień był dramatem samotności – pisze w autobiografii. „Nie czuło się więzi nie tylko pomiędzy poszczególnymi środowiskami tu, w Gdańsku, ale nawet bliżej, w domu, na klatce schodowej. [...] Strach pomyśleć, jaki mroźny, mroczny i samotny był ten nasz Grudzień. Była to sprawa z gatunku straceńczych, w której nie liczyło się na nic i na nikogo. Idąc do domu, wiedziałem, że jestem sam na sam z SB. To była ta siła realna, nieznana, o niejasnym obliczu”. Ze statystyk bezpieczeństwa wynika, że

tej sile uległo między połową grudnia 1970 roku a połową stycznia 1971 roku ponad 130 osób w Trójmieście, zgadzając się na współpracę z policją. 29 grudnia jeden z nich został zarejestrowany jako tajny współpracownik (TW) „Bolek”.

W dokumentach SB „Bolek” identyfikowany jest z Lechem Wałęsą. „W latach 1970–72 wymieniony jako TW ps. »Bolek« przekazywał nam szereg cennych informacji dot[yczących] destrukcyjnej działalności niektórych pracowników – czytamy w

raporcie starszego szeregowca Marka Aftyki z Komendy Wojewódzkiej MO w Gdańsku z czerwca 1978 roku. – Na podstawie otrzymanych materiałów założono kilka spraw. W tym czasie dał się poznać jako jednostka zdyscyplinowana i chętna do współpracy. Po ustabilizowaniu się sytuacji w Stoczni dało się zauważyć niechęć do dalszej współpracy z naszym resortem. Tłumaczył on to brakiem czasu i tym, że na zakładzie nic się nie dzieje. Żądał również zapłaty za przekazywane informacje, które

nie stanowiły większej wartości operacyjnej. Podczas kontroli przez inne źródła informacji stwierdzono, że niejednokrotnie w przekazywanych informacjach przebijała się chęć własnego poglądu na sprawę, nadając jej niejako opinię środowiskową. Stwierdzono również, że podczas odbywających się zebrań dość często bez uzasadnienia krytykował kierownictwo administracyjne, partyjne i związkowe wydziału”.

Tyle szeregowiec Aftyka. Czy rzeczywiście przyszły przywódca Solidarności podjął



w grudniu 1970 roku zobowiązanie do współpracy i je potem realizował? Lech Wałęsa przyznaje, że podpisał wtedy kilka bliżej nieokreślonych dokumentów, wspomina także o późniejszych spotkaniach z bezpieką, ale stanowczo odrzuca oskarżenia o podjęcie roli tajnego współpracownika Służby Bezpieczeństwa (co nie wyklucza możliwości, że jako taki został zarejestrowany przez SB). Zwerbowaniu Wałęsy zaprzecza też funkcjonariusz SB, który go wówczas przesłuchiwał, a później był

pierwszym oficerem prowadzącym TW „Bolka”. Dokumentu rozstrzygającego w takich sprawach, czyli własnoręcznie podpisanego zobowiązania do współpracy i przyjęcia pseudonimu, nie ma. Nie ma też własnoręcznych donosów ani pokwitowań odbioru pieniędzy. Lepiej więc powstrzymać się od wydawania ostatecznych wyroków w tej sprawie. Zwłaszcza że wobec akt MSW prezentowanych jako dowody na agenturalną rolę robotniczego przywódcy trzeba zachować wielką ostrożność.

Wiadomo przecież, że w latach osiemdziesiątych władze bezpieczeństwa podjęły sporym nakładem sił specjalną akcję zmierzającą do skompromitowania Lecha Wałęsy – zarówno w kraju, jak i za granicą – jako TW „Bolka”. W tym celu esbecy dokonali wielu manipulacji, tworząc fałszywe dowody współpracy lidera Solidarności z komunistyczną policją polityczną.

Wydaje się, że jeżeli nawet po zdławieniu buntu na Wybrzeżu jeden z jego przywódców zobowiązał się w

policyjnym areszcie do kontaktów z bezpieką, mogło to mieć raczej charakter rozmów z realną władzą, którą z perspektywy sterroryzowanego Trójmiasta była Służba Bezpieczeństwa, niż kolaboracji z tajną policją. Być może młody robotnik próbował bezpiekę dość naiwnie przechytryć. Podobną grę podejmowali w tamtej „przedkorowskiej” epoce ludzie o wiele lepiej przygotowani do starcia z aparatem bezpieczeństwa. Ani w Warszawie, ani – tym bardziej – w Gdańsku mało kto wówczas

odmawiał rozmowy z bezpieką. Dopiero później, po powstaniu Komitetu Obrony Robotników w 1976 roku działacze opozycyjni, za radą takich adwokatów jak Jan Olszewski, przyjęli jako regułę odmowę odpowiedzi na pytania funkcjonariuszy. Naturalnie, i wcześniej większość przestuchiwanych opozycjonistów odmawiała zeznań, które mogły obciążyć przyjaciół czy kolegów, ale to byli ludzie wykształceni, znający system, mogący liczyć na pomoc swego środowiska.

Lecha Wałęsę, pozbawionego

w Gdańsku szerszego zaplecza środowiskowego i rodzinnego, bezpieka dość łatwo mogła uwikłać w jakąś formę współpracy, prezentując to jako sposób na informowanie czynników rządzących o potrzebach i nastrojach społecznych w celu niedopuszczenia do następnej tragedii. Źle mogła się tu przysłużyć Wałęsie jego wrodzona energia i ambicja, chęć odgrywania znaczącej roli w swoim środowisku, a także nastawienie na poszukiwanie porozumienia z władzą. Jest

jednak jasne, że ewentualne kontakty z SB nie mogły trwać długo (przychylam się do opinii tych historyków, którzy mówią o latach 1971-1972). Z pewnością zakończyły się na kilka lat przed przystąpieniem Wałęsy do ruchu opozycyjnego. Nawet więc jeżeli w okresie pogrudniowym był on uwikłany w jakiś rodzaj współpracy z policją, to potrafił się z tego uzależnienia wyrwać. Wiemy, że w drugiej połowie lat siedemdziesiątych Służba Bezpieczeństwa dwukrotnie próbowała nawiązać z nim

kontakty i że za każdym razem kategorycznie odmawiał. W 1976 roku władze traktowały go jednoznacznie jako przeciwnika. I tak już będzie do końca PRL.

Lekcja, jaką świeżo upieczony działacz robotniczy mógł wynieść z tragicznych wydarzeń 1970 roku, była dwojaka. Po pierwsze, żywiołowy bunt podjęty bez organizacji i bez programu jest skazany na klęskę. Wałęsa na długo zapamiętał obraz walk z milicją na ulicach Gdańska, płonący gmach partii i zabitych pod drugą bramą stoczniowców. A



także upokarzającą kapitulację strajku. Po drugie, sztuka przywództwa wymaga czegoś więcej niż tylko energii i odwagi. Trzeba zachować bliski kontakt z ludźmi, umieć przekonać ich do swoich celów, pociągnąć za sobą. Bez poparcia uczestników protestu i zrozumienia jego racji żaden lider nie może skutecznie działać. By szukać kompromisu z przeciwnikiem, trzeba mieć głębokie zaufanie swojej strony. Odebrane w dramatycznych okolicznościach roku 1970 nauki miały zaowocować po dziesięciu latach – w sierpniu

1980.

Najostrzejszą fazę kryzysu grudniowego zakończył upadek Władysława Gomułki i objęcie władzy przez Edwarda Gierka. Ludzie dobrze przyjęli tę zmianę na górze, ale do uspokojenia nastrojów było daleko. W styczniu 1971 roku Stocznia Gdańska była miejscem kolejnych strajków – pod hasłem ukarania winnych masakry grudniowej i odwołania podwyżek cen. Domagano się też rozmów z nowym szefem partii. 25 stycznia Gierek wraz z premierem Piotrem

Jaroszewiczem przyjechał do Gdańska. Wałęsa został wybrany przez kolegów z wydziału na spotkanie z najwyższymi władzami, w którym wzięli udział także inni stoczniowcy. Trafił wówczas po raz pierwszy na łamy gazet – jego charakterystyczny, zadziorny profil widać na opublikowanych w prasie zdjęciach z wizyty oficjeli w Trójmieście. Potrafiący nawiązać kontakt z robotnikami Gierek nie tylko na Wałęsie wywarł wtedy dobre wrażenie. Odpowiedzialność za Grudzień

zepchnął na Gomułkę, obietnice poprawy sytuacji materialnej przeplatał patriotycznymi sloganami. Jednak wbrew utrwalonej legendzie (obecnej także we wspomnieniach Lecha Wałęsy) na retoryczne pytanie I sekretarza: „Pomożecie?” ludzie wcale nie odkrzyknęli „Pomożemy!” – rozległy się jedynie umiarkowane oklaski.

Tak czy owak stoczniovcy, podobnie jak reszta kraju, dali kredyt zaufania nowemu szefowi partii. Wałęsa na fali odnowy wszedł do Rady Oddziałowej Związku

Zawodowego Metalowców. Jako działacz nowego typu, wyrosły z grudniowych protestów i obdarzony zaufaniem załogi, został w lutym 1971 roku opisany w „Życiu Warszawy” i w lokalnym „Głosie Wybrzeża”. Ze swoim zdroworozsądkowym, praktycznym podejściem nieźle pasował do propagandowej tonacji gierkowskiej odnowy, w której królował gospodarski pragmatyzm. W peerelowskiej rzeczywistości zmieniło się jednak niewiele. Jako związkowy inspektor pracy

Wałęsa musiał się wyklócać o właściwą odzież i inne sprawy socjalne. „Był to kanał, w którym zszarpie się największy kozak” – pisze w autobiografii. Ale i ta mała efektowna działalność kłuła w oczy dyrekcję zakładu. Wspomina były dyrektor stoczni Klemens Gniech: „Wałęsa gardłował o mydło, ręczniki, odzież ochronną [...]. To największy skurwysyn, który robił w zakładzie krecią, antysocjalistyczną robotę. Taka była o nim opinia kierownictwa”. Niepokorny działacz najniższego szczebla nie szczędził na

zebraniach słów krytyki pod adresem nomenklatury partyjnej i administracyjnej. Wziął także udział w kilku krótkich strajkach na tle ekonomicznym, przybierających charakter wieców przed siedzibą dyrekcji. W maju 1971 roku wraz z innymi przedstawicielami załogi, wśród których była Anna Walentynowicz, wynegocjował warunki zakończenia kolejnego protestu.

# Wolne Związki

Gierkowska polityka kupowania poparcia społecznego dawała się odczuć także w Gdańsku. Zarobki w stoczni rosły, ale okupowane były coraz większym wysiłkiem nadgodzin. Lecha Wałęsy nie przekonywały propagandowe slogany o tym, że Polska rośnie w siłę, a ludziom się żyje dostatniej... W 1972 roku zrezygnował z działalności w oficjalnych związkach zawodowych, widząc, że służą



wyłącznie kontroli partii komunistycznej nad bezwolną masą pracowników. Na wydziale zaczęły się rozmowy o potrzebie autentycznej reprezentacji robotniczej. W jednej z tych rozmów, odnotowanych przez Służbę Bezpieczeństwa, w lipcu 1974 roku Wałęsa przekonywał kolegów, że jedyną drogą jest pozbycie się ze związków „czerwonych pajaków”, czyli komunistów, którzy dbają tylko o siebie. Na razie partia na to nie pozwoli, ale taką reorganizację – czyli usamodzielnienie się związków

- może umożliwić następny strajk. Z powodu pogarszających się coraz szybciej warunków życiowych „powtórka grudnia 70 roku” jest pewna - dowodził. Należy to wykorzystać do „zbudowania związków na wzór państw zachodnich, gdzie związki organizują skutecznie strajki, gdy jest krzywda dla pracowników”.

Stocznia była czujnie obserwowana. Wałęsa kilkakrotnie napominany przez władze, by przestał gardłować przeciwko partii, nie posłuchał ostrzeżeń. W lutym 1976 roku

podczas zebrania wyborczego na swoim wydziale wystąpił z ostrą krytyką organizacji związkowych. To związki manekinów – wypalił. Zaatakował złą organizację pracy, przedterminowe wodowanie statków na pokaz, wyniszczającą, „głupią robotę”. Sięgnął też do spraw politycznych. Nie ma zapowiedzianych po Grudniu zmian, nie zostali ukarani mordercy robotników. „Gierek nie dotrzymał obietnic, oszukał naród, robi, co chce, nie pytając klasy robotniczej” – tak

odtwarza swoje wystąpienie po latach.

Miarka się przebrała. „W sposób szkalujący zarzucił niewłaściwe postępowanie kierownictwu partyjno-rządowemu” – oceniła bezpieka. Jego stoczniowy przełożony wystawił mu następującą opinię: „Pracownik trudny do współpracy. Tendencyjne i złośliwe występowanie publiczne pod adresem Kierownictwa Wydziału oraz organizacji polityczno-społecznych, co stwarza złą atmosferę pracy na wydziale”.

W efekcie wyleciał z pracy – po raz pierwszy.

Wałęsowie mieli już trzech synów, czwarty – Jarosław – miał się wkrótce narodzić. Żyli bardzo skromnie, tak jak większość Polaków. Długo mieszkali w hotelu robotniczym, gdzie była jedna kuchenka i łazienka na całe piętro. Od lat nieremontowane pokoje, zniszczone meble, robactwo – w takich warunkach spędzili pierwsze lata małżeństwa. W 1972 roku dostali od stoczni mieszkanie zakładowe w dzielnicy Stogi: jeden podzielony

na dwie części pokój z małą kuchnią. Jednak oboje wspominają ten okres z sentymentem, jako lata skromnego, ale szczęśliwego życia rodzinnego. „Nigdy nie celebrowałem zbyt swojej roli ojca w rodzinie – wspomina Lech. – Wraz z Danusią prałem pieluchy, kąpałem dzieci, karmiłem. [...] Największy problem był wieczorem, kiedy trzeba było całą piątkę pomyć, nakarmić i położyć do łóżek. Te łóżka trzeba było na noc stale rozstawiać, a kiedy dzieci podrosły, materace i łóżka

zajmowały całe mieszkanie, to jest oba małe pokoje, z których mniejszy był półtorametrową kiszka, zaś w większym toczyło się całe życie obok tapczanu, małego łóżeczka i stołu”.

Po wyrzuceniu ze stoczni ojciec coraz liczniejszej rodziny przez jakiś czas szukał pracy. W czerwcu 1976 roku zatrudnił się w bazie transportowej Gdańskich Zakładów Mechanizacji Budownictwa Zremb. Sprawny elektromechanik, umiał sobie poradzić na kiepsko płatnej państwowej posadzie.

Naprawiał samochody zakładowe, ale miał też liczne fuchy, remontując auta znajomym. Sobie wyszykował starą, zdezelowaną warszawę. Cała rodzina pojechała nią na wakacje w rodzinne strony Danuty. Gdy bezpieka próbowała go wówczas namówić na jakąś formę współpracy, kategorycznie odmówił. „Ponowne nawiązanie kontaktu z TW »Bolek« spowodowało u niego bardzo aroganckie zachowanie w stosunku do naszego pracownika i stwierdzenie, że na



żadne spotkanie nie przyjdzie, gdyż nie chce naszych organów znać” - ubolewał szeregowiec Aftyka w cytowanej już notatce z 1978 roku.

W protestach Czerwca '76 Wałęsa nie wziął udziału. Nie przestał jednak pomstować na system. „Leszek mówił po prostu - wspomina jeden z kolegów ze Zrembu - że robotnicy mają swoje prawa i że prawa te nie pochodzą od władzy, od Gierka czy kogokolwiek innego, ale należą do nas jak nasze nosy czy uszy. Nie można nam ich odebrać

inaczej jak siłą i nie można nas ich pozbawić”. Wkrótce nadeszła okazja do potwierdzenia tych deklaracji w praktyce.

Na przełomie lat 1976 i 1977 w Trójmieście zaczęły się tworzyć pierwsze grupy opozycyjne: środowisko związane z Komitetem Obrony Robotników oraz Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, z którego wyłoni się później Ruch Młodej Polski Aleksandra Halla. Najważniejszą postacią gdańskiej opozycji był Bogdan Borusewicz, który miał za sobą

wyrok trzech lat więzienia za kolportaż własnoręcznie wydrukowanych ulotek z Marca '68. Od grudnia 1976 roku członek KOR, a później Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”, był też w redakcji niezależnego pisma „Robotnik”, propagującego idee robotniczej samoorganizacji. Wokół kolportażu „Robotnika” i innych czasopism opozycyjnych wydawanych poza cenzurą zebrała się na Wybrzeżu grupa osób skupionych na sprawach pracowniczych. Należeli do niej Andrzej Gwiazda i jego żona

Joanna, Antoni Sokołowski,  
bracia Błażej i Krzysztof  
Wyszkowscy.

29 kwietnia 1978 roku, w  
przeddzień święta 1 Maja, grupa  
ta zawiązała Komitet  
Założycielski Wolnych  
Związków Zawodowych  
Wybrzeża. Przykład dał  
Kazimierz Świtoń z Katowic,  
który dwa miesiące wcześniej  
założył pierwszy w Polsce  
komitet Wolnych Związków  
Zawodowych. Gdańsk był drugi.  
Motorem przedsięwzięcia był  
Krzysztof Wyszkowski, który do  
swego pomysłu przekonał lidera

KOR Jacka Kuronia. Deklarację założycielską napisał Jan Lityński, podpisali ją Andrzej Gwiazda, Antoni Sokołowski i Krzysztof Wyszkowski. Oficjalne związki w PRL są przedstawicielem monopolistycznego pracodawcy, a nie pracowników – pisano w deklaracji WZZ. Społeczeństwa ma prawo „do demokratycznego kierowania swoim państwem”. Wszystkie warstwy społeczne muszą zdobyć możliwość samoorganizacji i tworzenia instytucji realizujących ich prawa. Celem wolnych

związków zawodowych jest „organizacja obrony interesów ekonomicznych, prawnych i humanitarnych pracowników”, bez różnicy przekonań czy kwalifikacji. Wzywano do tworzenia niezależnych przedstawicielstw pracowniczych, nie wykluczając także działania w oficjalnych radach zakładowych.

Powołanie WZZ nastąpiło wbrew początkowym oporom liderów KSS „KOR”, którzy obawiali się, że bez oparcia w zakładach pracy grupa założycielska zostanie łatwo

zgnieciona przez bezpiekę. Gdy decyzja została jednak podjęta, komitet udzielił wszechstronnej pomocy gdańskiej inicjatywie. Szczególnie czynni byli członkowie redakcji „Robotnika”: Jan Lityński, Helena i Witold Łuczywowie, Ludwika i Henryk Wujcowie, a także Bogdan Borusewicz. O przetrwaniu Wolnych Związków Wybrzeża zadecydowało zakorzenienie w środowisku lokalnym, kontakty z robotnikami, jakie mieli Borusewicz i Gwiazda, a których brakowało warszawskim

inteligentom. Ważne też było historyczne doświadczenie; w przeorany przez wydarzenia Grudnia Trójmieście grunt był lepiej niż gdzie indziej przygotowany do niezależnych działań w środowisku pracowniczym. „Grudzień był uniwersytetem dla robotników i nie tylko dla robotników – opowiadał Borusewicz. – Pewne sprawy były w Gdańsku i Gdyni zupełnie oczywiste. Nie trzeba było wyjaśniać, co to jest za system. Nie trzeba było tłumaczyć, co to jest cenzura. Wszyscy bowiem w grudniu



1970 roku widzieli, co działo się na ulicach, a co ukazało się w gazetach, radio i telewizji”.

Pod wpływem buntowniczej tradycji wątki socjalne w wolnych związkach łączyły się z silnym antykomunizmem. Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża plasowały się ponad ideowymi podziałami w opozycji – utrzymywano dobre kontakty zarówno z odwołującym się do tradycji narodowej demokracji Ruchem Młodej Polski, jak i akcentującym bardziej dziedzictwo lewicy niepodległościowej

środowiskiem korowskim.  
„Większości z nas najbliższe  
były ideały i tradycje polskich  
socjalistów” – pisała Joanna  
Duda-Gwiazda w „Robotniku  
Wybrzeża”, piśmie WZZ  
wydawanym własnymi siłami.  
Ale kwestie ideologiczne nie  
zaprzątały zbytnio uwagi  
twórców niezależnego ruchu  
związkowego. „Startowaliśmy z  
parteru – opowiadał Andrzej  
Gwiazda. – Na spotkaniach nie  
mówiło się o patriotyzmie, ale o  
braku rękawic roboczych, o tym,  
czy jest kaszanka w bufecie, o  
sytuacji ekonomicznej

poszczególnych zakładów. Z analizy zarobków i cen niepodległość wychodziła nam sama. Jako warunek *sine qua non*, by Polska była Polską, a ludzie mogli żyć normalnie”.

Cele *stricte* polityczne, jak zniesienie cenzury czy wolne wybory, nie pojawiały się w dokumentach grupy. Najważniejsza była niezależność ruchu związkowego od pracodawcy. Działacze WZZ zdawali sobie sprawę, że w realiach dyktatury komunistycznej zakres spraw politycznych jest „niezmiernie

szeroki i obejmuje prawie wszystko, z wyjątkiem wycieczki na grzyby”. Zgodnie ze strategią przyjętą przez KOR woleli zajmować się konkretnymi kwestiami, ważnymi dla zwykłych ludzi, niż wznoszeniem haseł antykomunistycznych. Nie akceptowali rządów monopartii, ale uważali swoją działalność za zgodną z prawem i konstytucją PRL. Wolność zakładania związków zawodowych i ich samodzielne działanie gwarantowała także konwencja nr 87 Międzynarodowej

Organizacji Pracy, którą Polska podpisała jeszcze w 1956 roku. Wykorzystać owe prawa, istniejące tylko na papierze, do walki o podstawowe swobody pracownicze – z tą myślą wolni związkowcy podjęli swoje syzyfowe, jak mogło się wydawać, prace.

Lech Wałęsa nawiązał kontakt z WZZ niedługo po ich powstaniu. Wspomina, że usłyszał o nich po raz pierwszy 1 maja 1978 roku, podczas składania wieńców pod bramą stoczni. Z charakterystyczną pewnością siebie zaczął od

krytyki: „Nie szło im dobrze, działali w niewielkiej, praktycznie izolowanej grupce, niewielu ludzi o tym wiedziało, udział robotników w ich działaniach był prawie żaden. Poszedłem do Wyszковского do domu, tam spotkałem się z Andrzejem i Joanną Gwiazdami i powiedziałem im, że to trzeba lepiej. [...] Potem doszła Anna Walentynowicz i już zaczęło się to wszystko lepiej kręcić”. We wspomnieniach Aleksandra Halla rola przyszłego lidera Solidarności wygląda skromniej: „Do sierpnia 1980 Wałęsa był

jednym z wielu robotników, którzy rozrzucali ulotki, modlili się w [kościel] Mariackim i brali udział w demonstracjach. Choć już wówczas było widać, że manifestacje to jego żywioł”.

Według Bogdana Borusewicza Wałęsa pojawił się u niego w maju 1978 roku; adres znalazł w „Robotniku Wybrzeża”. Borusewicza nie było w domu, uczestniczył wówczas w głodówce w obronie aresztowanego Błażeja Wyszковского. Na początku czerwca Wałęsa odnalazł go więc tam, gdzie

głodował – w mieszkaniu Krzysztofa Wyszkowskiego, poznał też od razu gospodarza i Andrzeja Gwiazdę. Zapamiętali jego niechęć do głodówki i radykalne propozycje walki z milicją. „Zaskoczył nas od razu twierdzeniem, że wszystko źle robimy – wspomina Wyszkowski. – Oburzony metodą naszego protestu, twierdził, że to trzeba robić zupełnie inaczej. Nie możemy, jego zdaniem, płacić własnym zdrowiem za draństwo reżimu. Oni nas prześladują, a my się dodatkowo osłabiamy



głodówką. Późniejszy laureat pokojowej Nagrody Nobla z pasją i pełen chrześcijańskiego oburzenia [...] doradzał walkę oko za oko, ząb za ząb. Za każdego aresztowanego jedna komenda w powietrze. Oczywiście bez ofiar, w nocy, gdy jest pusto”. Wałęsa szybko jednak dał się przekonać do pokojowej strategii opozycji. Prosto od Wyszkowskiego pojechał z Magdaleną Modzelewską i Bożeną Rybicką z RMP do Bazyliki Mariackiej na mszę w intencji aresztowanych działaczy opozycji.

Odtąd włączył się na całego w niespokojny rytm życia wolnych związkowców. Na początku lipca uczestniczył już w zebraniu całej grupy u Borusewicza. Kronika represji wobec opozycji demokratycznej odnotowuje nazwisko Lecha Wałęsy po raz pierwszy 9 lipca 1978 roku, gdy milicja zatrzymała go podczas rozdawania „Robotnika” przed kościołami w Trójmieście. Dwanaście dni później zatrzymano go znowu – tym razem w Węgrowie, u teściów – za rozprowadzanie druków WZZ

i KSS „KOR”. Gdańska bezpieka nie przeoczyła akcesu jednego z przywódców Grudnia '70 do wolnych związków. 11 lipca w Komendzie Wojewódzkiej MO założono mu sprawę operacyjnego sprawdzenia kryptonim „Bolek”. Teczka „Bolka” szybko się zapełniła. W aktach zapisano, że we wrześniu „wykonał własnoręcznie dwie ramki do sita powielacza, które przekazał Andrzejowi Gwieździe”. Na zebraniach Komitetu Założycielskiego WZZ sypał pomysłami. Chciał zwołać uczestników spotkania z

Gierkiem w 1971 roku i doprowadzić, by odwołali złożoną wtedy deklarację „Pomożemy”. Proponował też zorganizowanie na początku grudnia manifestacji przed bramą numer dwa stoczni ku czci poległych w 1970 roku. 3 października znowu przyłapano go na kolportażu „Robotnika” – w stołówce zakładowej.

Służba Bezpieczeństwa postanowiła mu się przypomnieć. 6 października 1978 roku w bazie transportowej Zrembu pojawili się dwaj oficerowie SB.

Sprowadzony przez kierownika na rozmowę z nimi Wałęsa od razu oświadczył kategorycznie, że nie wyrzeknie się działalności w Wolnych Związkach Zawodowych, a w ogóle to nie życzy sobie, by mu przeszkadzano w pracy. Według sporządzonej przez bezpiekę notatki funkcjonariusze próbowali go nakłonić do podjęcia współpracy, wspominając kontakty z początku lat siedemdziesiątych, które miały ułatwić uspokojenie sytuacji po wydarzeniach grudniowych i doprowadzić do

załatwienia wielu postulatów robotniczych. Wałęsa odparł, że ocenia to jako swój błąd, o czym zresztą opowiedział kolegom z opozycji. Otwarcie zadeklarował, że jego życiowym celem jest stworzenie takich związków zawodowych, które będą bronić robotników, czego obecne związki nie robią. Trzeba więc zapoznawać pracowników z sytuacją panującą w kraju za pomocą publikacji wydawanych poza cenzurą i zagranicznych rozgłośni, bo przecież władze nie udostępnią do tych celów „Trybuny Ludu” ani Polskiego

Radia. Poinformował również, że opozycjoniści zamierzają uroczyście złożyć wieńce pod Stoczną Gdańską w rocznicę Grudnia, a on sam planuje poprosić wojewodę o zamknięcie na ten czas ruchu drogowego. Na żadną współpracę się nie zgadza, może jedynie informować o swoich zamierzeniach, które będzie realizował.

Próba werbunku – już druga od 1976 roku – ponownie spaliła więc na panewce. Trzeba przyznać, że początkującemu działaczowi opozycji nie

brakowało tupetu. W rozmowie z wysokimi funkcjonariuszami SB ujawniły się charakterystyczne cechy jego stylu działania. Zadziorność połączona ze sporą dozą sprytu i przebiegłości, zapowiedź nieustępliwej walki o swoje cele idąca w parze z poważnym traktowaniem przeciwnika i pewną gotowością do ustępstw – wszystko to będzie można znaleźć w późniejszej polityce przywódcy Solidarności. A także zdumiewającą ambicję utworzenia autentycznej, niezależnej organizacji



związkowej w komunistycznym państwie, w którym monopol na reprezentację pracowników miały oficjalne związki, pełniące rolę pasa transmisyjnego partii do mas.

Tydzień po tej rozmowie Lech Wałęsa stał się dla Służby Bezpieczeństwa formalnie – i nieodwołalnie – tak zwanym figurantem (czyli osobą pod policyjnym nadzorem) sprawy operacyjnego rozpracowania kryptonim „Bolek”. Bezpieka miała pełne ręce roboty, Wałęsa bowiem konsekwentnie realizował swoje zapowiedzi.

„Rozpowszechnia w miejscu pracy wiadomości dotyczące działalności antysocjalistycznej oraz kolportuje materiały nielegalnych wydawnictw publikowanych w kraju” – pisano w raportach. Zatrzymania na 48 godzin i rewizje stały się chlebem powszednim młodego działacza i jego towarzyszy z WZZ. Nie była to liczna grupa. Wedle Jerzego Borowczaka w działaniach związków stale uczestniczyło około 20 osób, na spotkania przychodziło blisko 40, nieco więcej płaciło składki i czytywało „Robotnika

Wybrzeża”. Najbardziej masowymi akcjami były obchody rocznicy Grudnia '70.

W 1978 roku zaplanowano, że w czasie grudniowych uroczystości Wałęsa przywiezie pod drugą bramę stoczni wieniec od Wolnych Związków. Jednak SB mu to uniemożliwiła – 17 grudnia został zatrzymany. Po wyjściu z aresztu 20 grudnia podjął ponownie wraz z kolegami próbę złożenia wieńca, ale znowu go zatrzymano na 48 godzin. 22 grudnia kolegium do spraw wykroczeń skazało go na 5 tysięcy złotych grzywny „za

chuligaństwo”.

Równie śmiało poczynął sobie w pracy. Jako delegat wydziału do zakładowej Konferencji Samorządu Robotniczego – ciała w dużej mierze fikcyjnego, będącego namiastką samorządu pracowniczego – zaprotestował przeciwko ustawionym według partyjnego klucza wyborom. – Po co ja tu właściwie przyszedłem, jeśli tu wszystko już wybrane? – oświadczył ku zdumieniu aparaczyków. – Mam tu taką broszurę Jacka Kuronia i tam on pisze, że to nonsens, co wy tutaj robicie...

W styczniu 1979 roku wyrzucono go z pracy w Zrembie, ale zastraszyć się nie dał. W lutym wszedł do redakcji „Robotnika Wybrzeża”. Odtąd jego podpis figurował pod wszystkimi dokumentami niezależnego ruchu związkowego. Idee opozycji krzewił w oryginalny sposób podczas kilkumiesięcznych poszukiwań pracy (rodzinę utrzymywał wtedy dzięki zapomódze od WZZ). Jak sam wspomina, do zakładu, którego adres dostawał w biurze pośrednictwa pracy, udawał się

z teczką wypchaną numerami „Robotnika Wybrzeża”, książkami wydawnictw niezależnych i ulotkami. Tam przedstawiał się jako działacz wolnych związków i rozdawał bibułę dyrekcji oraz pracownikom. Politycznie niepewnego osobnika nikt naturalnie nie chciał przyjąć, więc wracał do pośredniaka po kolejny adres. Jako opozycyjny domokrażca zdołał obejść kilkanaście przedsiębiorstw, zanim w połowie maja zatrudnił się w Zakładzie Robót Elektrycznych Elektromontaż.

W nowym miejscu pracy szybko dał się poznać jako „element antysocjalistyczny”. Już po dwóch tygodniach przyłapano go na kolportażu „Robotnika” i książki *Wojna z Rosją o niepodległość 1918-1920*. „Fakt ten powtórnie wystąpił 11 czerwca 1979 r.” – odnotowała bezpieka w aktach sprawy „Bolka”. „Z każdym dniem działalność Wałęsy w tym okresie staje się coraz bardziej aktywna” – oceniono. Wkrótce zaczął organizować grupę WZZ w Elektromontażu. Bibułę dostarczał także do

innych zakładów. W lipcu SB skonfiskowała mu 158 egzemplarzy wspólnego apelu KSS „KOR” i redakcji „Robotnika”.

W tym czasie poznał go Jacek Kuroń. Było to na imieninach Henryka Wujca, na które Borusewicz przywiózł z Gdańska ekipę związkową – oprócz Wałęsy małżeństwo Gwiazdów, Annę Walentynowicz, Alinę Pieńkowską. Lech zrobił na warszawskich opozycjonistach duże wrażenie. „W tym swoim ubogim, wyświechtanym



garniturze, nieprawdopodobny  
gawędziarz, chwalipięta,  
Zagłoba czy Falstaff, ojciec  
wielodzietnej rodziny,  
wyrzucany bez przerwy z pracy,  
mieszkający w jednoizbowej  
ruderze i przy tym ani słowa o  
jakimś postępiństwie, służbie  
ojczyźnie czy coś w tym stylu.  
Dowcip, pogoda ducha” –  
wspominał Kuroń. Wałęsa  
przedstawił mu wtedy swoje  
polityczne *know-how*: „Jak ja za  
bardzo do przodu idę, to  
przestaję za sobą prowadzić  
ludzi w zakładzie. Bo oni mówią  
tak: No, Wałęsa, ten to sobie

może – bo jak za daleko do przodu jestem, to oni już myślą, że jestem kimś innym od nich. Tak bardzo do przodu nie należy, działacz powinien być jednak bliżej ludzi”. Tę regułę działania „blisko ludzi” pamięta również Jan Lityński.

Na warszawskim spotkaniu rozmawiano o projekcie ogłoszenia specjalnej deklaracji na temat gwałconych w PRL praw pracowniczych oraz celów niezależnego ruchu związkowego. Po wielu miesiącach dyskusji ostateczny tekst napisali redaktorzy

„Robotnika”. Datowana na lipiec-sierpień 1979 roku Karta Praw Robotniczych została opublikowana w specjalnym numerze „Robotnika”. Podpisało ją 65 działaczy z całego kraju – wśród nich Lech Wałęsa. W Karcie stwierdzano, że celem długofalowym ruchu jest „stworzenie systemu samoobrony ludzi pracy, przede wszystkim niezależnych związków zawodowych”. Domagano się godziwych zarobków, przestrzegania czasu i bezpieczeństwa pracy, protestowano przeciwko

przywilejom milicji i aparatu partyjnego. „Prawo do strajku musi być ustawowo zagwarantowane”. „Wszędzie tam, gdzie istnieją silnie zorganizowane środowiska robotnicze, które potrafią bronić swoich przedstawicieli przed wyrzuceniem z pracy, aresztowaniem – należy tworzyć komitety wolnych związków zawodowych [...]. Tylko niezależne związki zawodowe, mające oparcie w robotnikach, których reprezentują, mają szansę przeciwstawić się władzy, tylko

one stanowić będą siłę, z którą władza musi się liczyć i z którą będzie pertraktować jak równy z równym”.

Zawarty w Karcie program inicjowania wolnych związków zawodowych był odważny – szedł dalej niż deklaracja WZZ. Fakt, że przekonali się do niego ludzie KOR, wcześniej sceptyczni ze względu na bardzo ostre represje wobec inicjatywy śląskiej, był efektem pozytywnych doświadczeń z Wybrzeża. Związkowcy z Trójmiasta, stanowiący silną, zintegrowaną grupę, która sama

potrafiła się bronić, dowiedli, że niezależna organizacja robotnicza może przetrwać, jeśli będzie zakorzeniona w lokalnym środowisku. Dali także dobry przykład współpracy między opozycyjną inteligencją a robotnikami.

Wolne Związki Zawodowe wysuwały postulaty pracownicze i broniły represjonowanych, ale były też miejscem formacji i samokształcenia niezależnych działaczy robotniczych. Podczas regularnych spotkań w mieszkaniu Anny

Walentynowicz młody  
pracownik naukowy  
Uniwersytetu Gdańskiego Lech  
Kaczyński objaśniał robotnikom  
peerelowskie prawo. Oprócz  
kwestii teoretycznych zajmował  
się też stroną praktyczną: jako  
prawnik pomagał działaczom  
WZZ szykanowanym w pracy,  
między innymi Walentynowicz i  
Wałęsie. „Mówiłem o prawie  
pracy, ale szybko się  
zorientowałem, że prawo pracy  
to ich nudzi. Jak ktoś zgłaszał się  
z jakąś sprawą, to ja się nią  
zajmowałem. A tak to  
opowiadałem o historii Polski, o

okupacji, Katyniu, 56 roku” – relacjonuje. O historii najnowszej i o polityce władz PRL mówił także Bogdan Borusewicz, absolwent wydziału historycznego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Podczas jednego ze spotkań Wałęsa opowiadał o Grudniu '70. Według Gwiazdów i Walentynowicz miał wtedy się przyznać do współpracy z policją w pogrudniowych miesiącach. Jednak Borusewicz temu zaprzecza.

Prawdziwym agentem SB był Edwin Myszak, bardzo aktywny



działacz WZZ. Do grupy związkowej wprowadził go Krzysztof Wyszkowski. Zatrudniony w stoczni, był długo przygotowywany przez bezpiekę do roli opozycjonisty. Dobre wrażenie zrobił też na Borusewiczu i Kuroniu. „Jednym z zadań E. M. była próba rzucenia podejrzenia, że agentem jest Wałęsa, którego policja od początku wysoko oceniała – opowiadał Wyszkowski w 1990 roku. – Przy podziale rejonów do rozrzucania ulotek E. M. zawsze potrafił twierdzić, że Wałęsa

wcale nie rozrzuca tych ulotek”. Misja skompromitowania kolegi się nie powiodła. Sam Myszak został zdemaskowany jako szpicel na początku 1979 roku dzięki informacjom od funkcjonariusza SB kapitana Adama Hodysza, który współpracował z opozycją.

„Prelekcje, drukowanie i rozrzucanie ulotek na mieście i w zakładach, odczyty, kolejne numery »Robotnika Wybrzeża« – wspomina tamten czas Wałęsa, który miał swoją własną grupę na Stogach. „Zatrzymania były na porządku

dziennym. Ale miało to i dobre strony. W areszcie człowiek przynajmniej nie musiał iść do pracy, mógł się przez czterdzieści osiem godzin wyspać – bo na tyle zwykle nas wsadzano – i odpocząć, mimo że prycze były strasznie niewygodne. [...] I taka to była prosta robota – organizowaliśmy spotkania, rozklejaliśmy ulotki i przygotowaliśmy akcje na rocznice”. Rocznicowe

manifestacje były na Wybrzeżu organizowane znacznie częściej niż w innych miastach. Sprzyjał temu fakt, że w Gdańsku

różnice ideowo-polityczne między ugrupowaniami opozycyjnymi nie przeszkadzały we wspólnych przedsięwzięciach. Związany ze środowiskiem korowskim Lech Wałęsa miał dobre kontakty z ludźmi z Ruchu Młodej Polski oraz z Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Bezpieka odnotowała, że w październiku 1979 roku brał udział w spotkaniu z szefem Konfederacji Polski Niepodległej Leszkiem Moczulskim. W następnym roku podpisał się – między innymi z

Moczulskim – pod  
oświadczeniem w obronie  
aresztowanych działaczy  
ROPCiO.

Wraz z RMP i ROPCiO  
organizował w 1979 roku  
obchody 61. rocznicy  
odzyskania niepodległości,  
jednak w przeddzień  
11 listopada trafił do aresztu.  
Aleksander Hall został  
przywieziony do tego samego  
aresztu już po manifestacji. Gdy  
opowiedział napotkanym w celi  
kryminalistom, z jakiego powodu  
go zamknięto, okazało się, że  
uprzedził go już Lech Wałęsa,

który odśpiewał na korytarzu „Jeszcze Polska nie zginęła...” i krzyczał: „Dziś narodowe święto!”. Zrobiło to duże wrażenie na innych aresztantach, zatrzymanych z bardziej prozaicznych powodów. Wychodząc z aresztu po czterdziestoośmiogodzinnej odsiadce, Wałęsa miał zwyczaj opowiadania ludziom w tramwaju o tym, kim jest, dlaczego go zamknięto i co robią Wolne Związki Zawodowe. Zazwyczaj spotykał się wówczas z wyrazami sympatii i wsparcia. Ta tramwajowa

agitacja też miała swoje  
znaczenie w propagowaniu  
celów opozycji.

# Niech każdy przyniesie kamień...

Przed obchodami kolejnej rocznicy Grudnia nie dał się już złapać. W Gdańsku manifestację zorganizowano z dużym rozmachem. Opozycja wydrukowała setki ulotek. Służba Bezpieczeństwa odnotowała, że Wałęsa 7 grudnia 1979 roku przemycił do Zrembu klepsydry informujące o obchodach. W Trójmieście



władze zatrzymały w aresztach kilkanaście osób (w tym Borusewicza, którego przewieziono do Warszawy), ale pozostali na wolności działacze nie zrezygnowali. 18 grudnia 1979 roku pod bramą numer dwa Stoczni Gdańskiej, tam gdzie zginęli stoczniowcy, zgromadziło się kilka tysięcy osób. Ksiądz Bronisław Sroka zaintonował hymn narodowy i pieśń *Boże, coś Polskę*. Dariusz Kobzdej z RMP w emocjonalnym przemówieniu powiedział: „Zbliża się czas, kiedy zdobędziemy to, o co

walczymy: wolną ojczyznę, gdzie będziemy [...] rządzić według praw ustanowionych przez naród wolnych Polaków”. Studentka Maryla Płońska odczytała odezwę Wolnych Związków Zawodowych.

Na koniec przemawiał Wałęsa, który nauczony doświadczeniem z poprzedniego roku, gdy rocznicę przesiedział w areszcie, tym razem ukrył się na kilka dni wcześniej, a ze swego zakładu wywieziony został w zaplombowanym kontenerze. Wygłosił słynne wezwanie, aby za rok każdy

przyniósł kamień na budowę pomnika ofiar Grudnia. To wystąpienie warto – za raportem bezpieczeństwa – obszernie przytoczyć. Uwagi w nawiasach, opisujące atmosferę zgromadzenia, pochodzą od SB.

„Jestem członkiem komitetu założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych. (Okrzyk z tłumu – niech żyją Wolne Związki Zawodowe). W grudniu 70 roku byłem członkiem pierwszego i drugiego Komitetu Strajkowego Stoczni Gdańskiej. Jestem też współtwórcą słowa

»pomożemy«. W związku z tymi faktami czuję się moralnie odpowiedzialny za tych, co zginęli, jak również za tych, co przeżyli, a zaufali mi. Dlatego też rozliczając ten okres oświadczam, że najważniejsze postulaty nie zostały spełnione. Zaliczam do nich budowę pomnika tej straszliwej tragedii, to jest obowiązek nas, żyjących (brawa), a zarazem przestroga dla rządzących.

»Pomożemy« to nie znaczy, że ze wszystkim się zgodzimy. To, co wyrabia w ostatnich czasach aparat władzy, nie ma nic

wspólnego z patriotyzmem (oklaski). Znęcanie się nad patriotami, deptanie podstawowych praw, to są metody naszej władzy [...]. Z poczynań niektórych widać, że zależy komuś na tym, aby wymazać z pamięci naszych poległych kolegów, jak również wymazać poległych patriotów polskich w Katyniu. (Okrzyki z tłumu – Chcemy prawdy o Katyniu...). [...] Tylko niezależnie zorganizowane grupy społeczne mogą temu przeciwdziałać. Mówię o tym dlatego, żeby prawdziwi patrioci zrozumieli, że

w naszej ojczyźnie dzieje się bardzo źle. (Okrzyki z tłumu - Bardzo źle).

Chcemy, by prawo zapanowało nad bezprawiem. Chcemy, by nigdy Polak na Polaka nie musiał podnosić ręki. (Okrzyk z tłumu - Na partyjnego zawsze - oklaski i śmiechy. Skandowanie: Precz z partią, precz z partią, precz z partią). [...] Aby temu przeciwdziałać, organizujemy niezależne grupy samoobronne, pomagajmy sobie wzajemnie, dołączcie do grup niezależnych, które już są zorganizowane. (Pytanie z tłumu

- Co to za partia robotnicza, która wydaje rozkazy strzelać do robotnika? Niech żyją Wolne Związki. Pachołki kremlowskie, precz z komunizmem).

Moje pokolenie jest wychowane w duchu religijnym, dlatego też stać nasze pokolenie dzięki tym naukom na podniesienie ręki w obronie Boga i ojczyzny. Swoje dzieci chcę też wychować w duchu religijnym. Dlatego też zdecydowanie domagam się powrotu religii do szkoły (aplauz). [...]

W przyszłym roku będziemy

obchodzić 10. rocznicę tej tragedii – musimy postawić pomnik. Jeżeli do tego czasu nie powstanie, proszę wszystkich, by każdy na przyszłą rocznicę przyniósł ze sobą kamień. Jeśli wszyscy przyniosą po jednym, to na pewno zbudujemy pomnik (aplauz tłumu – oklaski). Będzie to pomnik niezwykły, ale i sytuacja była niezwykła. Władza ludowa strzelała do ludu swego (gwizdy). Z tego miejsca pragnę powiadomić władzę, że tak bezkarne aresztowania, jak były w tym roku, były to ostatnie aresztowania. (Okrzyki – Niech



żyje, niech żyją). W przeciwnym razie pójdziemy i więzienia otworzymy. Jeśli w przyszłym roku mnie tu nie będzie – nazywam się Lech Wałęsa – przyjdźcie po mnie, a jeśli ja będę, a kogoś z was nie będzie, ja pójdę po was (aplauz – oklaski). [...]

Niech nikt nie ośmiela się pomawiać nas o brak patriotyzmu, kierowanie z zewnątrz czy niepolskość. Jesteśmy Polakami, patriotami, kierujemy się hasłami – Bóg, ojczyzna wolna i sprawiedliwa (aplauz) [...]”.

Przemówienie to otworzyło Lechowi Wałęsie drogę do wielkiej polityki. Potrafił w trafiających do wszystkich, prostych słowach wyrazić nastrój grudniowej rocznicy, a także zachęcić innych do solidarnego działania w obronie swoich praw. Znakomitym pomysłem było wezwanie do wzniesienia pomnika z przyniesionych przez ludzi kamieni. To zobowiązanie zostanie zrealizowane za rok w wymiarze przekraczającym najśmielsze marzenia.

Na razie wszakże powróciła

opozycyjna codzienność. Zaraz po manifestacji Wałęsa został zatrzymany przez milicję. W pracy spotykały go kolejne szykany, ale nie dawał za wygraną. 2 stycznia 1980 roku rozdał w stołówce kilkadziesiąt numerów „Robotnika”. Gdy w odwecie za udział w grudniowej manifestacji dyrekcja Elektromontażu zwolniła kilkunastu pracowników, utworzył wraz z kilkoma kolegami Komisję Robotniczą. Był to bardzo ważny precedens. Powstała 23 stycznia 1980 roku grupa, którą poparła jedna

trzecia pracowników zakładu, dowodziła sporych możliwości gdańskiej opozycji i energii Wałęsy. Nigdzie indziej w Polsce nie udało się zorganizować niezależnej komisji w przedsiębiorstwie. Stanowiło to przekroczenie ważnej bariery w działaniach opozycji, a dla bezpieczeństwa musiało być sygnałem alarmowym.

Wałęsa poczynił sobie coraz śmieiej. 24 stycznia kolportował odezwę Komisji Robotniczej do załogi, w której powiadomił o powstaniu tej grupy i akcji protestacyjnej przeciwko

redukcji etatów. 28 stycznia przyniósł do pracy magnetofon z nagraniem audycji Radia Wolna Europa, „którą odtwarzał swym współpracownikom w sposób oficjalny” – notowała SB. Komisji Robotniczej udało się obronić niektórych pracowników przed wyrzuceniem na bruk. Z pracy wyleciał jednak Wałęsa.

Od lutego do sierpnia 1980 roku był bezrobotny. „W jak trudnej znajdował się sytuacji, świadczy fakt, że sprzedał swoją warszawę, żeby wyżywić rodzinę – opowiadał Dariusz

Kobzdej. – Otrzymał pomoc finansową z KOR-u. Wówczas też zaczął bronić go mecenas Jacek Taylor. Chcąc się zrewanżować za pomoc prawną, zaofiarował, że będzie mu „naprawiał samochód”. Bezrobocie ojca piątki dzieci było dla rodziny źródłem poważnych problemów, ale umożliwiło mu zaangażowanie się na całego w działalność opozycyjną, która na Wybrzeżu nabrała wyjątkowej intensywności. Wałęsa stał się w gruncie rzeczy zawodowym rewolucjonistą – organizował

akcje ulotkowe, w swoim ciasnym mieszkaniu drukował „bibułę”. Skupił wokół siebie grupę robotników ze swojej dzielnicy. Jeden z jej uczestników wspomina: „O Lechu wiedzieli ludzie na Stogach tyle, że jest to facet, który trochę rozrabia, trochę go milicja zamyka, że o coś tam walczy, o coś się dopomina, dokładniej mało co kto wiedział”. Policja wiedziała więcej. W styczniu 1980 roku w tajemniczych okolicznościach zginął Tadeusz Szczepański, uczestnik grupy Wałęsy,

również wyrzucony z pracy w Elektromontażu. Jego ciało znaleziono po kilku tygodniach w Motławie – z okaleczoną głową i odciętymi stopami. Pogrzeb, w którym uczestniczyły ponad dwa tysiące osób, był opozycyjną demonstracją. Wałęsę, który niósł wieniec od Komitetu Założycielskiego WZZ, władze zatrzymały przed cmentarzem i wsadziły do aresztu na 48 godzin. Nie zrezygnował – po wypuszczeniu raz jeszcze pojechał na cmentarz z dwoma synami.



Jako autentyczny robotnik, a przy tym człowiek wygadany i zawsze skory do rozmowy, bywał odwiedzany przez zagranicznych korespondentów. Przywoził ich na Stogi Borusewicz. Jak wspominała Alina Pieńkowska, Wałęsa zachowywał się naturalnie, tak jakby od wielu lat rozmawiał z dziennikarzami. Chyba już wtedy lubił być obiektem zainteresowania. Nie bał się też kontaktów z zachodnimi dyplomatami. W lutym w swoim pełnym dzieci mieszkanku przyjął konsula Wielkiej

Brytanii, opowiadał mu o niezależnej aktywności.

Przed wyznaczonymi na marzec 1980 roku wyborami do sejmu Wolne Związki przeprowadziły masową akcję, wyprodukowano 30 tysięcy ulotek. Wezwanie do bojkotu fikcyjnego głosowania rozdawano pod kościołami, rozrzucano w stocznicach. Wałęsę, który brał w tym aktywny udział, milicja zatrzymała podczas rozklejania ulotek na klatce schodowej, rekwirując mu 45 sztuk ulotek i słoik kleju. Kolejną próbą się

była zorganizowana przez Ruch Młodej Polski manifestacja 3 Maja, w przedwojenne święto narodowe zlikwidowane w PRL. W uroczystej mszy świętej uczestniczyło blisko 15 tysięcy osób. Po niej uformował się pochód. Wałęsa szedł na czele i niósł transparent z hasłem „Niepodległość”. Pod pomnikiem Jana III Sobieskiego przemówienia wygłosili Dariusz Kobzdej z Ruchu Młodej Polski oraz Tadeusz Szczudłowski z Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Wkrótce po manifestacji obu aresztowano i

skazano na trzy miesiące. Gdańska opozycja podjęła w ich obronie akcję o bezprecedensowym zasięgu (rozzrzucono 100 tysięcy ulotek). Wałęsa znowu był na pierwszej linii. Kolportował ulotki, a także – wraz z Magdaleną Modzelewską i Bożeną Rybicką – prowadził w kościele Mariackim codzienne modlitwy w intencji aresztowanych. Były to, jak wspomina, „takie przedstrajkowe rekolekcje solidarnościowe – bo w intencji kolegów”.

Gdańskich niepokornych

otuchą mógł napawać fakt, że ich działania spotykają się z coraz bardziej znaczącym odzewem, a w akcjach bierze udział coraz więcej osób. Działo się to jednak kosztem wielkiego wysiłku czołowych aktywistów. Jacek Kuroń wspominał swoje spotkanie z Lechem Wałęsą 1 lipca, na procesie Marka Kozłowskiego (jego uwolnienie będzie jednym z 21 postulatów MKS): „Normalnie robił na nas niestęchanie dobre wrażenie, ale wtedy coś taki zły przyjechał, zgorzkniały. Wziął mnie na bok i mówi, że trzeba by

powołać takie grupy, które by przypieprzały czasem milicji, jednemu czy drugiemu ubekowi po cichu, bo za bardzo rozzuchwalili się. Był bardzo zmęczony, kilka dni wcześniej zamknięto go razem z najmłodszą, paromiesięczną córeczką. Dość często go wtedy ciągali po komendach”. 12 lipca milicja zatrzymała go na gdańskim targowisku, gdzie rozdawał „ulotki o treści antysocjalistycznej”.

Według bilansu Służby Bezpieczeństwa Wałęsa podczas działalności w Wolnych

Związkach Zawodowych trafił do aresztu w sumie dwanaście razy. W celi spędził nawet dzień, w którym urodziła się jedna z jego córek. Pewnego dnia, podczas rozrzucania ulotek, dostał się w ręce milicji wraz z kilkumiesięczną Magdą. „Zrobiliśmy dwa tysiące ulotek – opowiadał jeden z kolegów z WZZ. – Przyszedł jakiś major i mówi, że mają polecenie wylegitymować nas i zatrzymać. I jak wpychali wózek z dzieciakiem do milicyjnej nyski, to główka zahaczyła o dach samochodu. Milicjant nacisnął

głowę dzieciaka, Lechu go popchnął, milicjant przekazał do radiotelefonu: – Nie daje mi wózka wsadzić, uderzył mnie. – Wtedy usłyszeliśmy przez radiotelefon: – Co sk...synu łapiesz ręką jego dzieciaka, zostaw, trzymaj łapy przy sobie, coś się jeszcze uszkodzi”. W rezultacie Lech sam prowadził wózek, milicjanci szli za nim, a kolega jechał „suką”. Na komisariacie wybuchła kolejna awantura – o zmianę pieluchy. W końcu funkcjonariusze woleli pozbyć się kłopotu i zwolnili Wałęsę z dzieckiem do domu.



Była to jedyna niemowlęca  
odsiadka w historii opozycji.

# Strajk sierpniowy

W kraju wrzało, po lipcowej podwyżce cen wszędzie wybuchwały strajki na tle ekonomicznym. Władze starały się je zażegnać, szybko spełniając postulaty płacowe. Bały się, że na czele protestu staną działacze opozycji, próbowały więc kontratakować – na początku sierpnia 1980 roku zwolniono z pracy w Stoczni Gdańskiej im. Lenina Annę Walentynowicz. W

kategoriach etycznych była to krzywda wyrządzona jednej z najstarszych pracownic stoczni, w kategoriach politycznych był to błąd. Ludzie WZZ uznali, że muszą bronić osoby tak mocno zaangażowanej w budowę wolnych związków. Był to też dobry powód do wywołania strajku w sztandarowym zakładzie regionu, który zawsze dawał hasło do buntu.

Głównym organizatorem akcji był lider gdańskiej opozycji Bogdan Borusewicz, który wyznaczył termin rozpoczęcia protestu na 14 sierpnia.

Zainicjować strajk w stoczni mieli młodzi, dwudziestoletni robotnicy: Jerzy Borowczak, Bogdan Felski i Ludwik Prączyński, jednak nie mogli stać na jego czele. Ludzie w ich wieku nie mieli szans na zdobycie zaufania starszych pracowników. Borusewicz wybrał Lecha Wałęsę, znacznie lepiej znanego i szanowanego, obarczonego rodziną, a przy tym byłego stoczniowca i jednego z przywódców strajku w 1970 roku. 10 sierpnia, podczas imprezy u Ewy i Piotra Dyków wydanej z okazji uwolnienia

Kobzdeja i Szczudłowskiego, ustalono wszystkie szczegóły. Młodzi mieli rano przemyścić Wałęsę do stoczni. Borusewicz dał do podziemnej drukarni napisane przez siebie ulotki. Sygnowane przez Komitet Założycielski WZZ i redakcję „Robotnika Wybrzeża”, w tym Lecha Wałęsę, wzywały pracowników Stoczni Gdańskiej do obrony „suwnicowej Anny Walentynowicz”.

Wszystko poszło w zasadzie zgodnie z planem, choć Wałęsa mocno się spóźnił. 14 sierpnia od 5 rano Borusewicz z kilkoma

chłopakami z WZZ rozdawali ulotki w kolejce podmiejskiej, którą ludzie dojeżdżali do pracy. Godzinę później Borowczak z Prądyńskim i Felskim, nie doczekawszy się starszego kolegi, sami rozpoczęli protest w Stoczni Gdańskiej. Żądano przyjęcia z powrotem do pracy Anny Walentynowicz, odślonięcia tablicy pamięci ofiar Grudnia i podwyżki płac. Udało się poderwać do strajku kilka wydziałów, ale moment krytyczny nastąpił, gdy ludzie zgromadzili się w okolicy bramy numer dwa. Dyrektor zaczął ich

namawiać do podjęcia pracy. Wówczas pojawił się Wałęsa. „Leszek podszedł do dyrektora – opowiada Borowczak – i groźnym głosem zapytał: poznaje mnie pan? Dziesięć lat pracowałem na stoczni i czuję się nadal stoczniowcem, ponieważ mam mandat zaufania załogi. A potem powiedział: zakładamy strajk okupacyjny! Na te słowa ze wszystkich stron rozległo się: hurra!”.

Wejście Wałęsy zapewne przeważało szalę, przekonało wahających się robotników do strajku. Już w pierwszym

wystąpieniu samorzutnie zajął pozycję lidera, przedstawił się – nieco na wyrost – jako rzecznik załogi i zaproponował od razu formę protestu: strajk okupacyjny. Dobrze pamiętał lekcję Grudnia, wiedział, że trzeba zrobić wszystko, by nie dopuścić do wyjścia robotników na ulicę, bo to może się skończyć powtórzeniem tamtej tragedii.

Jak się dostał na teren stoczni? Słynną, choć niekiedy kwestionowaną opowieść o skoku przez płot potwierdza raport SB. „Dnia 14 sierpnia



1980 roku, dowiedziawszy się o strajku w Stoczni im. Lenina w Gdańsku, L. Wałęsa udaje się pod bramę wymienionego zakładu z zamiarem dostania się do wewnątrz. Nie zostaje jednak wpuszczony przez straż przemysłową. Zamiar swój zrealizował o godzinie 11.00 [...]. Przez ogrodzenie dostał się na teren Stoczni im. Lenina i dotarł do strajkujących”. Dlaczego nie przyszedł wcześniej? Sam nie wyjaśnia tego precyzyjnie. Może po prostu się wahał, bojąc się o rodzinę. Byłoby to zupełnie

naturalne. Właśnie urodziło mu się szóste dziecko (Anna), żona była jeszcze bardzo słaba po porożu, nie był to więc najlepszy moment na rozpoczynanie ryzykownej przygody strajkowej. A o tym, że rzecz może się zakończyć rozmaicie, nikt nie wiedział lepiej od niego, grudniowego weterana. Borusewicz opowiada, że Wałęsa nie był nastawiony entuzjastycznie do jego planu, wspominał o małym dziecku, chciał przesunąć termin protestu. „To było normalne, wszyscy się bali” – ocenia. „Nie

ustalałem, dlaczego się spóźnił [...], gdyż wygraliśmy. Gdybyśmy przegrali, to bym go rozliczył. Ale po takiej wygranej?! Jakie to ma znaczenie?”.

Gdy w końcu się zjawiał w stoczni, wydarzenia potoczyły się właściwym torem. Działacze WZZ szybko ujęli protest w ramy organizacyjne. Wałęsa stanął na czele Komitetu Strajkowego, ustalono krótką listę postulatów. Oprócz dużej podwyżki płac (o 2 tysiące złotych) oraz przywrócenia do pracy Anny Walentynowicz i Lecha Wałęsy stoczniowcy

domagali się wybudowania pomnika poległych w Grudniu, wyrównania zasiłków rodzinnym do poziomu pracowników wojska i MSW, wolnych wyborów do zakładowych ogniw związkowych oraz uwolnienia więźniów politycznych. Aby utrzymać żywy kontakt z załogą stoczni, szef komitetu przytomnie zarządził, by rozmowy z dyrekcją – odbywające się w sali BHP – transmitowano przez radiowęzeł na cały zakład. Tak samo nagłośnione były późniejsze

pertraktacje z delegacją rządową. Dzięki temu wszystko odbywało się przy otwartej kurtynie, a strajkujący mieli poczucie udziału w wydarzeniach. Ten pomysł dobrze świadczył o zdolnościach politycznych Wałęsy. Był zgodny z regułą bycia „blisko ludzi”, przedstawioną przez niego rok wcześniej Kuroniowi.

„Tylko Wałęsa – robotnik, wyrzucony ze Stoczni w 1976 roku, mógł zostać przywódcą tego strajku – wspominał w 1990 roku Krzysztof Wyszkowski, później przeciwnik

dawnego kolegi z WZZ. – Zastanawiające było tylko to, bo tego nie przewidywano, że jednocześnie ma on wybitne talenty przywódcze”.

Tego dnia o rozpoczętym w Gdańsku strajku debatowano w Warszawie podczas posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR. Stanisław Kania, członek kierownictwa partii, któremu podlegał aparat bezpieczeństwa, powiadomił towarzyszy, że w stoczni „rej wodzą dwaj korowcy oraz zwolniony z pracy Wałęsa, związany z grupą Kuronia”.

Sytuacja była na tyle niepokojąca, że postanowiono skierować na Wybrzeże dodatkowe siły MO i postawić w stan gotowości trzy pułki wojska. Odwołano z urlopu ministra spraw wewnętrznych, poproszono też Edwarda Gierka o szybki powrót do kraju z wakacji, spędzanych – jak nakazywały komunistyczne zwyczaje – na radzieckim Krymie.

Ponieważ pierwsza tura negocjacji z dyрекcją nie przyniosła rezultatu, postanowiono strajk

kontynuować, pozostając na noc w zakładzie. Nazajutrz lista postulatów rozszerzyła się o poprawę zaopatrzenia i rozwiązanie rady zakładowej – stoczniowcy domagali się „Wolnych Związków Zawodowych, niezależnych od partii i dyrekcji zakładu pracy”. Najbardziej zacięte dyskusje z dyrekcją toczyły się o podwyżkę płac. W rozmowach uczestniczyli wszyscy członkowie Komitetu Strajkowego, między innymi Anna Walentynowicz, ale głównym negocjatorem był



Wałęsa. „Panie dyrektorze, naprawdę to jest nasze ostatnie zdanie – przekonywał. – Niech pan przekáže, że można nas wystrzelać, ale nie można zmienić naszej woli! Taka jest prawda”. Potrafił zagrozić przerwaniem rozmów, ale też gotów był do pewnych ustępstw. Starał się zapanować nad żywiołem strajku, uporządkować chaotyczne obrady komitetu, sprowadzić różne żądania do kilku wyrazistych punktów. Nie dawał się zwieść pustym obietnicom dyrekcji. „Bawić się można

jeden dzień, dziesięć godzin, ale trochę za dużo tej zabawy jest, dlatego też proponuję konkretnie, krótko załatwić sprawy” – oświadczył.

Gdy okazało się, że Walentynowicz ma być zatrudniona nie na swoim macierzystym wydziale, przeprowadził błyskawiczne głosowanie na ten temat, które podsumował: „Taka jest wola ludu i tak musi być!”. Kiedy przedstawiciele kierownictwa zakładu wspominali o tym, że poprzedniego dnia ustalenia były inne, zuchwale odparł: „To

było wczoraj, a dzisiaj jest dzisiaj! [...] Wczoraj byłem najedzony, dziś jestem głodny”. Umiał się jednak odwołać do bardziej rzeczowych argumentów. Gdy dyrektor, odrzucając żądania podwyżki zarobków, powiedział, że z pustego i Salomon nie należy, Wałęsa stwierdził, że robotnicy zdają sobie z tego sprawę i chcą pracować, ale chcą też wiedzieć, za co pracują: „Ustępowaliśmy 30 lat, a teraz ani kroku, ani milimetr do tyłu”. Tego dnia niczego definitywnie nie ustalono. „W związku z tym,

że jednak sprawa odrzucona – stoimy. Nie cofamy się” – ogłosił i zarządził przygotowania do noclegu w stoczni. „Proponuję przetrwać jeszcze jedną noc! Taka jest konieczność i taka jest sytuacja – przekonywał stoczniowców myślących już o powrocie do domu. – Jeśli się teraz cofniemy, oj, bardzo niedobrze zrobimy. Dlatego też apeluję o rozsądek i rozwagę”.

Siła strajku tymczasem rosła. Rozszerzały się protesty robotnicze w Trójmieście. Stanęły gdańskie tramwaje i autobusy, a także porty i

Stocznia im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Przedstawiciele innych zakładów zgłaszali się do Stoczni im. Lenina, widząc w niej centrum ruchu strajkowego.

Trzeciego dnia strajku, 16 sierpnia, doszło do ugody. Dyrektor zaaprobował niemal wszystkie postulaty, łącznie ze zgodą na działalność wolnych związków i budowę pomnika ofiar Grudnia. Władze dały też Komitetowi Strajkowemu gwarancje bezpieczeństwa na piśmie i przystały na podwyżkę płac o 1500 złotych dla każdego. Do pracy w stoczni

przyjęto Annę Walentynowicz i Lecha Wałęsę. Był to ewidentny sukces, ale czy należało zakończyć protest? Opozycyjni liderzy wiedzieli, że Trójmiasto z wolna ogarnia strajk powszechny. Pracę przerywało coraz więcej zakładów, ujawniał się ogromny potencjał buntu przeciwko skompromitowanej, oskarżanej o korupcję i nieudolność ekipie Edwarda Gierka. Tymczasem dzięki sprytnemu manewrowi dyrekcji Komitet Strajkowy Stoczni im. Lenina został poszerzony o delegatów

wydziałów i rozrósł się do ponad stu osób. Ludzie związani z WZZ znaleźli się w nim w mniejszości. Gdy uzgodniono porozumienie, nowy komitet szybko przegłosował zakończenie strajku, co w jego imieniu ogłosił, chcąc nie chcąc, Wałęsa.

Była sobota, godzina 14.00 – załoga zaczęła wychodzić ze stoczni. Opowiada Borusewicz: „Po czternastej wpada tramwajarka Henryka Krzywonos z krzykiem, że stoczniowcy ich zdradzili. Wytłuką nas teraz jak pluskwy.

My się dołączyliśmy, poparliśmy was, a wy kończycie?! – krzyczała, używając słów nieparlamentarnych. Wałęsa skonfundowany. Co robić? No to kontynuujemy. Krzyknął do mikrofonu: Kontynuujemy strajk! Ale mikrofon był już wyłączony”. Po zakończeniu strajku w stoczni mniejsze przedsiębiorstwa w Trójmieście, które się do niego przyłączyły, zostawały na lodzie. Najgłośniej protestowały kobiety – Ewa Ossowska, Alina Pieńkowska i Anna Walentynowicz, zatrzymywały w bramach



wychodzących do domu robotników. Zorientowawszy się, że popełnił błąd, Wałęsa proklamował strajk solidarnościowy. Zapowiedział, że on wyjdzie ze stoczni ostatni. Większość załogi, usatysfakcjonowana porozumieniem, opuściła już jednak zakład. Na noc pozostało jedynie kilkuset stoczniowców.

Rozpoczęcie strajku w stoczni na nowo, po załatwieniu wszystkich własnych postulatów, było przełomowym momentem Sierpnia. Protest przekroczył wtedy ramy

lokalnego konfliktu socjalnego – stał się zarzewiem politycznej rewolty w całym kraju. Jego charakter świetnie ujmowała użyta przez Wałęsę formuła „strajku solidarnościowego”. Oznaczała ona podjęcie spraw ogólnospołecznych, odsunięcie na drugi plan partykularnego, bezpośredniego pożytku na rzecz celów szerszej wspólnoty. O takim rozwoju wydarzeń zdecydowała determinacja działaczków WZZ i elastyczność samego Wałęsy, który potrafił szybko zmienić decyzję, przesądzając o kontynuacji

strajku. Przewyciężony w sobotę kryzys w istocie wzmocnił przywódców protestu.

W nocy z soboty na niedzielę do Stoczni Gdańskiej przybyły delegacje 28 innych zakładów, które zawiązały Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Jego

przewodniczącym został Lech Wałęsa. W niedzielę 17 sierpnia rano ksiądz Henryk Jankowski odprawił mszę świętą pod drugą bramą stoczni, w której wzięli udział liczni mieszkańcy Trójmiasta. Po mszy Wałęsa wraz z kolegami ustawił

drewniany krzyż w miejscu, gdzie w 1970 roku zginęli stoczniowcy i gdzie zamierzano postawić pomnik. Powołano kilkunastoosobowe Prezydium MKS, które miało kierować strajkiem, obejmującym już całe Wybrzeże. Do Stoczni im. Lenina powróciła część załogi i przyłączyła się do strajku okupacyjnego. W nocy zaczęto układać jednolitą listę żądań spośród punktów zgłaszanych w poszczególnych przedsiębiorstwach.

Ostatecznego wyboru dokonał w poniedziałek nad ranem

Borusewicz, stawiając najważniejsze żądania na początek. Skreślił punkt o wolnych wyborach do sejmu, wprowadzony przez działacza ROPCiO, zniesienie cenzury zamienił na jej ograniczenie. Dodał natomiast żądanie transmisji mszy świętej w radio. Tak powstała lista 21 postulatów – wspólnych dla wszystkich zakładów. Na jej pierwszym miejscu widniało żądanie „akceptacji niezależnych od partii i pracodawców wolnych związków zawodowych”.

Czy komuniści mogli się zgodzić na powstanie autentycznych syndykatów robotniczych? Całe doświadczenie rządów PZPR temu przeczyło, toteż można było uważać wysunięcie postulatu wolnych związków jedynie za gest, świadectwo społecznych aspiracji, bez wielkich nadziei na jego realizację. Lech Wałęsa patrzył na to inaczej: „Mnie nie interesowała demonstracja – chciałem wygranej”. O tym, że miał instynkt przywódcy, wspomina Lech Kaczyński:

„Kiedy kolejne zakłady dołączały do strajku i ich przedstawiciele tworzyli Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, codzienne narady w stoczniowej Sali BHP stawały się coraz bardziej gorące. Panował niepokój. Sytuacja była napięta. Wałęsa potrafił wyjść, zaproponować hymn, a potem natychmiast zamknąć zebranie. Umiał doskonale wyczuć nastrój sali i łagodzić jej lęki. [...] Potrafił fenomenalnie panować nad tłumem”.

Te umiejętności przydały się zwłaszcza trzeciego dnia strajku

solidarnościowego, w poniedziałek 18 sierpnia, gdy do stoczni wróciła większość pracowników, którzy poszli w sobotę do domu. Nie było pewne, czy przyłączą się do rozpoczętego od nowa protestu. Pod wpływem rozrzucanych z samolotu ulotek i apeli dyrektora, przypominającego przez radiowęzeł o sobotnim porozumieniu, niektóre wydziały podjęły pracę. W opanowaniu tego kolejnego kryzysu pomogła interwencja Wałęsy. Najpierw o siódmej rano pojawił się przy bramie numer dwa, zachęcając



niepewnych: „Śmiało  
wchodźcie. Musimy walczyć o  
to, co nam się słusznie należy.  
[...] Nic nikomu nie grozi” –  
mówił. Sam chodził po  
zakładzie, nakłaniając do  
wyłączenia maszyn, namawiając  
do strajku. Gdy zawodziło  
zwyczajne przekonywanie,  
odwoływał się do uczuć  
patriotycznych, intonował *Boże,  
coś Polskę*. Stoczną znowu  
udało się zatrzymać, protest  
trwał.

W następnych dniach  
Trójmiasto ogarnął strajk  
powszechny. Do

Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego przystępowały coraz to nowe przedsiębiorstwa. „Możemy śmiało powiedzieć, że jesteśmy pierwszym autentycznym wolnym przedstawicielem rzesz pracowniczych w naszym kraju – ogłaszał MKS 19 sierpnia. – Nakłada to na nas wielką odpowiedzialność wobec całego społeczeństwa. Naszym głównym celem jest utworzenie Wolnych Związków Zawodowych niezależnych od PZPR i pracodawców, tylko bowiem wówczas prawa i

interesy pracowników mogą być skutecznie bronione [...]. W imieniu reprezentowanych załóg oświadczamy, że pragniemy jak najszybciej podjąć pracę, ale jako pełnoprawni obywatele, będący rzeczywistymi współgospodarzami zakładów pracy [...]. Walczymy o słuszną sprawę i zwyciężymy, z każdym dniem jest nas coraz więcej, a jedynie od władzy zależy wielkość społecznych kosztów zwłoki”. Władze przez wiele dni nie chciały jednak podjąć rozmów ani uznać robotniczego przedstawicielstwa. W

Komitecie Centralnym PZPR rozważano nawet interwencję specjalnych jednostek milicji i zdławienie strajku siłą. Próbowano też dogadać się z mniejszymi zakładami poza MKS. Gdy te starania się nie powiodły, komunistom nie pozostało nic innego, jak pójść do Canossy – zastukać do bram Stoczni im. Lenina.

Zanim to nastąpiło, władze podjęły ofensywę przeciwko wspomagającym strajkujących opozycjonistom, zwłaszcza działaczom Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”.

Bogdana Borusewicz nie można było aresztować, gdyż nie wychodził ze stoczni, ale zatrzymano wielu innych korowców. Od 20 sierpnia w aresztach znaleźli się między innymi Mirosław Chojecki, Jan Lityński, Jacek Kuroń, Adam Michnik, Zbigniew Romaszewski. – Oficjalnie oświadczam, że jak władza nie przestanie aresztować działaczy KOR i innych organizacji, nie będzie negocjacji żadnych! – zareagował na to Lech Wałęsa. – Nie może być żadnych aresztowań i zatrzymań ludzi,

którzy nam pomagają i trochę wcześniej przetarli niektórym oczy. Wspominał o roli inteligenckiej opozycji w kształtowaniu postaw działaczy robotniczych, o historycznej i obywatelskiej edukacji, jaką tacy jak on od nich odebrali.

W stoczni panowała atmosfera spokojnej determinacji. Mimo upływu czasu przekonani o własnej racji strajkujący nie tracili pogody ducha. Wałęsa chodzi po stoczni i sobie pyka – mówiono o palącym wówczas fajkę Lechu. – A Pyka (szef pierwszej komisji

rządowej, która nie chciała  
uznać MKS) chodzi po Gdańsku i  
się wałęsa. 22 sierpnia Wałęsa  
jednak bezpardonowo  
zaatakował władze. „Czarowali,  
czarują i czarować w dalszym  
ciągu chcą! Czekamy ponad  
tydzień czasu na nich, a oni  
spekulacje se przeprowadzają!  
Tu jest stół i tu trzeba przyjść! –  
mówił podczas zebrania MKS. –  
Żebyśmy się nie wkurzyli na  
nich! Bo my im pokażemy, jak  
się załatwia sprawy! Bez  
przerwy tylko krwi chcą od nas!  
Dlatego też ostrzegam władze –  
niech się zastanowią. Koniec

zabawy!”. Nie musiał długo czekać na reakcję. Jeszcze tego samego dnia wicepremier Mieczysław Jagielski, wysłany na miejsce Pyki przez rząd na Wybrzeże, przyjął delegację MKS, co było pierwszym sygnałem zmiany polityki władz wobec strajku. Wpłynęło na to z pewnością rozlewanie się protestów po całym kraju. Międzyzakładowe Komitety Strajkowe, grupujące kilkadziesiąt zakładów, powstały w Elblągu i Szczecinie. W podwarszawskim Ursusie utworzono Robotniczy Komitet



Solidarności z pracownikami Wybrzeża.

22 sierpnia do Gdańska przyjechali Bronisław Geremek i Tadeusz Mazowiecki, by przekazać list ze słowami poparcia od 64 znanych osób ze świata nauki i sztuki. Wałęsa podziękował i zapytał przybyłych z Warszawy intelektualistów, jak konkretnie mogą pomóc robotnikom. – Możemy występować w roli doradców, ekspertów – odparł Geremek. – I to była myśl! – wspomina Wałęsa. Nazajutrz Międzyzakładowy Komitet

Strajkowy powierzył  
Mazowieckiemu misję  
utworzenia Komisji Ekspertów.  
Złożona z ludzi umiarkowanej  
opozycji (Geremek był  
działaczem niezależnego  
Towarzystwa Kursów  
Naukowych, które organizowało  
wykłady Uniwersytetu  
Latającego, Mazowiecki też  
należał do TKN, był członkiem  
władz Klubu Inteligencji  
Katolickiej w Warszawie i  
redaktorem miesięcznika  
„Więź”) komisja tworzyła krąg  
doradców politycznych MKS.  
Jednym z fenomenów

sierpniowego strajku był fakt, że zupełnie nieznani stoczniowcom „jajogłowi” ze stolicy tak szybko potrafili zdobyć zaufanie Wałęsy oraz jego kolegów. Najlepszą referencją dla robotników stanowiła odpowiedź Mazowieckiego na pytanie, jak długo tu z nami będziecie. – Do końca.

Rozmowy z komisją rządową rozpoczęły się 23 sierpnia wieczorem. Wałęsa przywitał Jagielskiego i innych przedstawicieli władz zaraz za bramą stoczni. Gdy szli w szpalerze stoczniowców

skandujących: „Leszek, Leszek...”, mogli dostrzec jedność robotników oraz siłę poparcia dla komitetu strajkowego i jego przywódcy. Potem musieli jeszcze przedefilować przed frontem całego MKS, zgromadzonego w sali BHP, zanim znaleźli się w mniejszej, ale nagłościonej sali, gdzie miano prowadzić negocjacje. Na przedstawicielach aparatu władzy nieprzywykłych do takich niekontrolowanych zachowań społecznych wszystko to musiało wywołać

wielkie wrażenie. W krótkim wstępnym przemówieniu Wałęsa podkreślił, że Międzyzakładowy Komitet Strajkowy reprezentuje 370 zakładów z trzech województw. „Świadomość, że reprezentujemy setki tysięcy ludzi, upewnia nas, że walczymy o słuszną sprawę. Ma pan możliwość zobaczenia stoczni, w której robotnicy rządzą się sami – powiedział wicepremierowi. – Może się pan przekonać, jaki w niej panuje porządek i ład”. Była to odpowiedź na ataki oficjalnej

propagandy, oskarżającej strajkujących o chuligaństwo i bezhołowie, ale także aluzja do gospodarczego bałaganu, jaki panuje w państwie rządzone przez partię komunistyczną.

Przywódcą strajku wrócił do tego wątku pod koniec pierwszego dnia rozmów, prezentując wolne związki zawodowe – „Silne i prężne. Takie jak sobie świat pracy życzy” – jako sposób na zaprowadzenie w kraju porządku. Od razu przy tym odrzucił oskarżenia o zamiar obalenia władzy. „To nie jest

polityczna sprawa, to jest rzeczywiście przeciwwaga i kontrola. Będziemy się kontrolować sami, będziemy sami widzieć błędy, sami podpowiadać rozwiązania” – tłumaczył Jagielskiemu. Nie trzeba prześladować ludzi nastawionych krytycznie; nie należy używać aparatu bezpieczeństwa. Jeśli rząd będzie w porządku, mówił Wałęsa, to nie będzie musiał się obstawiać tak bardzo milicją i Służbą Bezpieczeństwa. Dlaczego tak się dzieje, że co 10 lat społeczeństwo musi

protestować? Dlaczego wciąż wracamy, zataczamy koło i znowu jesteśmy w tym samym miejscu? I jakie mamy gwarancje, że nie będziemy musieli znowu strajkować? – pytał wicepremiera prosty elektryk. „Nie naprawimy nigdy błędów, jeśli nie poznamy ich źródeł”. Coś jest nie tak w sterowaniu i kierowaniu krajem – stwierdził lider robotniczy. Zgadza się, jest coś nie tak – przyznał bezradnie Jagielski. I zapowiedział, że w tej sprawie wypowie się w najbliższych dniach plenum Komitetu



Centralnego PZPR.

Można wątpić, czy ta obietnica usatysfakcjonowała stoczniowców, ale pierwsze spotkanie MKS z delegacją rządową przebiegło w niezłej atmosferze. – Proponuję na zgodę zaśpiewać „Jeszcze Polska...” – powiedział na koniec Wałęsa. – Chciałbym, żebyśmy grzecznie delegację pożegnali. Na pewno się dogadamy... – stwierdził optymistycznie i sam odprowadził przedstawicieli rządu do bramy. Ten optymizm zachowywał w następnych dniach, mimo że nie było

żadnych wiadomości z Warszawy. Obiecywane przez Jagielskiego plenum odbyło się 24 sierpnia, ale nie przyniosło istotnych zmian. Przemówienie Gierka wywołało w stoczni śmiech. – Jak rozumiem, nie za bardzo się wszystkim podobało – podsumował Wałęsa. – Znow będziemy pertraktować. Dlatego proponuję nie rozpędzać się ani nie jechać do tyłu. Nasze zdanie od początku było jasne i zdecydowane. Tylko wolne związki...

Do drugiej tury rozmów doszło dopiero 26 sierpnia, gdy

władze odblokowały łączność telefoniczną Trójmiasta z resztą kraju – był to warunek wstępny MKS. Brak łączności i tak nie powstrzymał rozwoju ruchu strajkowego. Przez kraj szła fala protestów. Tego dnia powszechny strajk solidarnościowy objął Wrocław. Miejscowy MKS przyjął jako własne 21 postulatów gdańskich. Stawały przedsiębiorstwa w Wałbrzychu, Łodzi, Krakowie, Bielsku-Białej, Rzeszowie i innych miastach.

Wałęsa na początek uspokoił

Jagielskiego, że stoczniowcy nie walczą przeciwko ustrojowi. „Nie chcemy naruszać zasad społecznej własności środków produkcji. Nasze zakłady pracy uważamy za własność narodu polskiego. Ale żądamy, abyśmy byli prawdziwymi gospodarzami w zakładzie i w kraju. Wiele razy nam to obiecywano, teraz postanowiliśmy żądać tego za pomocą strajków”. Odżegnując się od wywrotowych zamiarów, o co oskarżała go rządowa propaganda, uprzedził jednocześnie, że rozmowy będą trudne, więc wszyscy będą

musieli wykazać cierpliwość i dobrą wolę. Dyskusja nad postulatem numer jeden, która potem nastąpiła, dowiodła, że rozbieżność stanowisk jest ogromna. Rząd gotów był zgodzić się jedynie na zreformowanie istniejących organizacji zawodowych, podczas gdy MKS domagał się prawa do utworzenia nowych związków. „Nie chcemy wymieniać starej krwi na świeżą, chcemy po prostu organizmu zupełnie nowego” – podsumował Bogdan Lis z Prezydium MKS.

W tym czasie w Warszawie ważyły się losy strajkujących. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przedstawiło kierownictwu partii plan operacji zdławienia protestów. Jej kluczowym punktem była akcja oddziału komandosów, którzy mieli zrobić wypad do stoczni, ująć członków komitetu strajkowego wraz z Wałęsą i się wycofać. Jednak szefowie partii, przede wszystkim Gierek, ale także Kania i sprawujący wówczas funkcję ministra obrony narodowej Wojciech Jaruzelski nie zgodzili się na

zastosowanie siły wobec robotników, chociaż byli przerażeni perspektywą strajku generalnego całego kraju. Sytuacja w Polsce mocno niepokoiła też towarzyszy radzieckich. 25 sierpnia w Moskwie powołano specjalną Komisję do spraw Polskich, na której czele stał główny ideolog Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Michaił Susłow. Skład komisji odzwierciedlał wagę spraw, którymi miała się zajmować; tworzyli ją między innymi ministrowie spraw zagranicznych i obrony oraz szef

KGB Jurij Andropow. Kreml naciskał na Warszawę, by nie ustępować „kontrrewolucji”, ale milcząco zaaprobował miękką linię Gierka i Kani.

Następne dni w stoczni były wypełnione kolejnymi rundami negocjacji, choć równie wiele było godzin oczekiwania na decyzje partyjnej góry w Warszawie. Istotną rolę w rozmowach odegrali doradcy. Szlifowali tekst porozumienia, podsuwali ekspertyzy prawne i proponowali ujęcie postulatów w formie ułatwiającej ich przyjęcie przez komunistów.



Najważniejszym przykładem inicjatywy Komitetu Ekspertów był pomysł zamiany formuły „wolne związki zawodowe” na związki „niezależne i samorządne”. Decyzje podejmowało jednak Prezydium MKS i to jemu trzeba przypisać główną zasługę za wielkie sierpniowe zwycięstwo. Bardzo duże znaczenie miało też poparcie protestu przez mieszkańców Gdańska, którzy codziennie gromadzili się pod bramą numer dwa stoczni. Codziennie też spotykał się z nimi Lech Wałęsa, informując o

sytuacji i zapewniając, że strajkujący nie zrezygnują ze swoich żądań. Podczas dialogów z sympatykami strajku ujawniły się jego talenty trybuna ludowego. „Załatwimy wszystko wspólnie – mówił 28 sierpnia, apelując o niepodejmowanie innych strajków. – Położyłem swoją głowę na szalę, ale pamiętajcie o moich dzieciach. Mam całą kupę dzieci, aż sześć”. Mówiąc pół żartem, pół serio o najważniejszych sprawach, zdobywał sobie popularność daleko przekraczającą bramy stoczni.

Do ostatniej tury negocjacji doszło 30 sierpnia. Protesty objęły już wówczas kopalnie na Górnym Śląsku (w kopalni Manifest Lipcowy w Jastrzębiu powstał MKS), Hutę Katowice, zakłady w Poznaniu, Bydgoszczy i Toruniu, Hutę im. Lenina, Hutę Warszawa i wiele, wiele innych. Przyparta do muru partia, stojąca przed groźbą strajku generalnego całego kraju, zgodziła się w końcu na wszystkie główne żądania. Wicepremier Jagielski parafował punkt 1 i 2 porozumienia. Na zakończenie

rozmów Wałęsa raz jeszcze postawił sprawę korowców, prosił o zaprzestanie aresztowań i wypuszczenie opozycjonistów. – Oni nam pomagali, ale nie byli z nami. Jak będą źle robić, to my będziemy nawet sami za tym, żeby ewentualnie jakieś sprawy wynikły. Ale na razie nie robią nic złego – argumentował. Obiecując, że wróci wieczorem, by podpisać porozumienie, wicepremier wyjechał do Warszawy na plenum KC PZPR, które miało ostatecznie zatwierdzić umowę społeczną.

Stoczniowcy ponieśli Wałęsę na ramionach pod drugą bramę. „Najważniejsze za nami – powiedział. – Od pełnego sukcesu dzieli nas tylko krok. Do naszych postulatów dołączamy punkt 22. Nie powrócimy do pracy i nie podejmiemy pertraktacji, jeżeli nie będzie z nami premiera Jagielskiego. Czekamy na jego powrót z Warszawy”.

W niedzielę 31 sierpnia o godzinie 16.40 w sali BHP, gdzie urzędował Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, Lech Wałęsa

i Mieczysław Jagielski podpisali historyczne porozumienie. Wygłoszone wtedy przemówienie Wałęsy było znakomitym przykładem politycznego pragmatyzmu. „Pokazaliśmy, że Polacy mogą, jak chcą, zawsze się porozumieć ze sobą. Jest to sukces obu stron. Będziemy o tym pamiętać. Liczymy, że to, co zostało podpisane, będzie dokładnie i w pełni przestrzegane. Jestem pewny, że to dobrze jest dla kraju [...]. Uzyskaliśmy wszystko, co w obecnej sytuacji mogliśmy uzyskać. Resztę też uzyskamy,

bo mamy rzecz najważniejszą:  
nasze niezależne, samorządne  
związki zawodowe! To jest  
nasza gwarancja na przyszłość.  
Walczyliśmy nie tylko dla siebie,  
dla własnych interesów, ale dla  
całego kraju [...]. Wywalczyliśmy  
prawo do strajku, uzyskaliśmy  
pewne gwarancje obywatelskie,  
a co najważniejsze,  
wywalczyliśmy prawo do  
niezależnych związków  
zawodowych. Dbajmy o to, by  
pozostały one zawsze  
niezależne i zawsze  
samorządne, pracujące dla nas  
wszystkich, dla dobra kraju, dla

Polski. Ogłaszam strajk za zakończony!”.

Przywódca protestu na Wybrzeżu podkreślił fakt, że konflikt między władzą a społeczeństwem został – po raz pierwszy w PRL – zakończony pokojowo, drogą negocjacji. Przed podpisaniem dokumentów podziękował jeszcze Jagielskiemu i wszystkim, którzy nie pozwolili na siłowe rozwiązanie sprawy, za to, że „dogadaliśmy się tak jak Polak z Polakiem. Bez użycia siły. Tylko i wyłącznie w rozmowach, w pertraktacjach, z



małymi ustępstwami, i tak zawsze powinno być”. Będzie to odtąd naczelną zasadą polityki powstającego ruchu, który nigdy nie odżegnywał się od negocjacji z komunistami, choć swoje argumenty często wspierał presją strajkową.

„Potwierdzam i w pełni podtrzymuję, [to] co było powiedziane – odpowiadał wicepremier. – Rozmawialiśmy tak, jak Polacy ze sobą powinni rozmawiać. Jak rozmawia Polak z Polakiem. [...] Nie ma przegranych ani wygranych. Najważniejszą sprawą, którą

trzeba ocenić, to jest właśnie to, żeśmy się porozumieli. Powiem: dogadaliśmy się!”. Gdyby polityka prowadzona przez PZPR w następnych miesiącach była zgodna z tym słowami, to eksperyment Solidarności – niezależnego związku w kraju „demokracji ludowej” – mógłby zakończyć się inaczej. Ale Mieczysław Jagielski, zapewne poruszony powagą chwili, prezentował w stoczni jedynie własny punkt widzenia.

Po podpisaniu porozumienia delegacja rządowa opuściła salę BHP. Wyszedł też Wałęsa, ale

zaraz wrócić. – Popęłniłem niegrzeczność – powiedział. – Nie podziękowaliśmy naszym ekspertom, którzy nam doradzali, i to dobrze doradzali, i muszą dalej pomagać. Po czym przedstawił dziesięciu członków komisji, którą kierował Tadeusz Mazowiecki. Dopiero potem został zanieiony na ramionach stoczniowców do głównej bramy, gdzie wygłosił ostatnie ze swych improwizowanych wystąpień. „Mamy wreszcie niezależne samorządne związki zawodowe! Mamy prawo do strajku! A następne prawa

ustanowimy już niedługo! – powiedział wiwatującym ludziom. – Pierwszy etap wygrany, ale drugi [będzie] dużo cięższy. Bardzo się go boję. Na pewno będą potknięcia, na pewno ktoś będzie chciał nas wyprowadzić na manowce. Taka jest prawda. Ale my się nie damy, bo wszyscy bierzemy odpowiedzialność, nie ja sam, ale wszyscy razem to jest siła, to jest moc! I my to zrobimy!”.

Trzydziestosiedmioletni Lech Wałęsa, przemawiający do tłumów zgromadzonych pod bramą stoczni w ostatnim dniu

sierpnia, nie był już postacią nieznaną. W ciągu dwóch tygodni trafił na czołówki gazet całego świata i do pierwszych rzędów polskiego życia publicznego. Jego pozycja ukształtowała się nie od razu, niektórzy koledzy z WZZ na początku strajku nie widzieli w nim naturalnego lidera. Był to, jak sam oceniał, „trudny moment dla dotychczasowej grupy, w której w nieformalnej hierarchii byłem numerem trzecim, czwartym, albo i piątym. I teraz przeskakuję na miejsce pierwsze, idę samodzielnie,

ustawiam się w roli przywódcy, narzucam swoją wolę grupie; pomimo rozgoryczenia dawnych kolegów, które przecież wyczuwam. W rzeczywistości nie narzucam nic wprost, chcę nadal wobec nich być lojalny, ale sam czuję intuicyjnie, że jestem bliższy niż oni realiów. Że trzeba już teraz, u źródła, narzucić sobie ograniczenia, kontrolować wzrost słusznych może, ale nierealnych żądań politycznych, po to, żeby w efekcie wygrać”.

Spór, jaki podzielił środowisko WZZ, zaczął się właśnie wtedy.

Wałęsa w swych wspomnieniach opisuje go jako konflikt celów politycznych, przeciwstawiając swój rozsądek i umiarkowanie w gorącej wodzie kąpanym kolegom. Czynnikiem rywalizacji personalnej o przywództwo grał chyba jednak w tym sporze większą rolę. Tym bardziej że Lech przed 1980 rokiem należał do drugiego szeregu gdańskich opozycjonistów. Wiedziano o nim głównie to, że dobrze rozrzuca ulotki, nie boi się i jest zdeterminowany, ale czy potrafi udźwignąć ciężar

ogólnokrajowego protestu? Wałęsa przyznaje, że w WZZ był „bardziej słuchającym niż wypowiadającym się”. „Dopóki wszystkie sprawy były rozważane teoretycznie, ja się nawet nie chciałem przyrównywać do ludzi swobodnie poruszających się w problematyce historycznej, w teoretycznych analizach” – pisze w *Drodze nadziei*. Jego praktyczne zdolności działacza społecznego rozkwitły natomiast w całej pełni w strajkującej stoczni. Tutaj czuł się u siebie i był przez



stoczniovców traktowany jako swój. Ludzie, jak wspomina, nie poszliby „za żadnym najwspanialszym teoretykiem, choćby im przedstawił racje tak jasne jak słońce, bo nie pracował między nimi, nie znali go, baliby się jego »manipulacji«, nie potrafiliby nadażyć za tokiem jego argumentacji”. Toteż przywództwo Wałęsa sprawował zgodnie ze swoją zasadą trzymania się blisko zwolenników, wyprzedzania ich tylko o krok, tak by stale zachować kontakt i zrozumienie. „Dla strajkujących byłem

wystarczająco mądry, mądrzejszego nie chcieli – twierdzi. – Byłby ponad nimi, a tego mieli dość”.

W sierpniu w Prezydium MKS znaleźli się inni, lepiej znani działacze WZZ – jak Andrzej i Joanna Gwiazdowie czy Anna Walentynowicz. Niezwykle ważna była też rola Bogdana Borusewicza, politycznego mózgu strajku, trzymającego się w cieniu ze względu na swoją przynależność do Komitetu Obrony Robotników i obawy przed propagandowym wykorzystaniem tego faktu

przez władze. Osobą numer jeden był jednak bez wątpienia Lech Wałęsa. Im dłużej trwał protest, tym bardziej stawało się to oczywiste. Wałęsa nie tylko kierował strajkiem w Stoczni Gdańskiej, który przerodził się w strajk generalny całego Wybrzeża i wielu innych regionów kraju (pod koniec sierpnia brało w nim udział blisko milion ludzi z kilkuset zakładów pracy), ale wyrastał na robotniczego przywódcę w skali ogólnopolskiej. To on podejmował najważniejsze decyzje – o kontynuacji strajku

czy powołaniu Komisji  
Ekspertów. To on  
przewodniczył rozmowom z  
delegacją rządową, zachowując  
świadomość granic  
politycznych, których strajk nie  
powinien przekraczać, ale też  
jego siły i hierarchii celów. To  
on wreszcie spotykał się z  
mieszkańcami Gdańska,  
towarzyszącymi strajkującym po  
drugiej stronie stocznioowego  
muru, a jego improwizowane  
przemówienia wygłaszane ze  
szczytu drugiej bramy były  
najlepszą promocją celów  
strajku, nadawały robotniczemu

protestowi wymiar sprawy narodowej. Jako trybun ludowy Wałęsa znakomicie wykorzystywał swoje naturalne zdolności i skłonności, doskonale wiedział, jak trafić do emocji słuchaczy. Lepiej niż inni zdawał też sobie sprawę ze znaczenia gestów medialnych, o czym znakomicie świadczył ogromny długopis z wizerunkiem papieża, jakim podpisał porozumienie.

Przywódstwo Wałęsy bywało kwestionowane przez strajkowych radykałów niezadowolonych z

umiarkowanej linii przewodniczącego. Istotnie, jego celem było raczej poszukiwanie korzystnego dla robotników kompromisu (na przykład w sprawach płacowych) niż zwycięstwo powalające władze na kolana. Nie dążył do eskalacji protestu. Namawiał nawet delegację rządową do ogłoszenia, że osiągnięte w Gdańsku porozumienie będzie dotyczyło całego kraju, aby powstrzymać niepotrzebne jego zdaniem strajki w innych regionach. Do rządowych rozmówców nie

żywił osobistej niechęci, niektórych (szefa PZPR w województwie gdańskim Tadeusza Fiszbacha i wicepremiera Mieczysława Jagielskiego) zdołał w jakiś sposób ująć, co nie było bez znaczenia dla wyniku negocjacji. Manewrując, prowadząc grę, nie tracił jednak z oczu zasadniczego celu strajku – niezależnych związków zawodowych. Twardo upierał się przy postulacie numer jeden. Toteż porozumienie sierpniowe było także jego osobistym sukcesem. Czy zdawał sobie

sprawę z rozmiarów zwycięstwa i jego konsekwencji? Chyba nie – zaskoczony, tak jak inni, błyskawicznym rozwojem wydarzeń, starał się po prostu dotrzymać im kroku i nadawać kierunek.

Potrafił też zmienić zdanie i przyjąć przeciwny punkt widzenia. Tak było 17 września 1980 roku, gdy w sali klubu Sterwe Wrzeszczu zebrali się przedstawiciele ponad 3 milionów ludzi, którzy na podstawie porozumień sierpniowych tworzyli niezależne związki w całym



kraju. Wałęsa był początkowo niechętny idei utworzenia jednego ogólnopolskiego związku zawodowego, dał się jednak do tego przekonać przez osoby spoza Wybrzeża: Karola Modzelewskiego, Jana Olszewskiego, Jana Rulewskiego i innych. Mimo oporu grupy gdańskiej, która bała się zdominowania przez nieznaną sobie działaczy, postanowiono na wniosek Modzelewskiego powołać ogólnopolski Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Solidarność. Pracami

związku miała kierować Krajowa Komisja Porozumiewawcza. Nie ulegało wątpliwości, że jej przewodniczącym może być tylko Lech Wałęsa.

# Samoograniczająca się rewolucja

We wrześniu rodzina Wałęsów przeniosta się do większego mieszkania, przydzielonego jej przez władze miasta w jednym z bloków dzielnicy Żąbno. Lech – ojciec sześciorga dzieci – rzadko jednak bywał w domu. Publiczne obowiązki zostawiały niewiele czasu na zajęcia rodzinne. Już 7 września został w Warszawie przyjęty przez

prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego. Kościół katolicki po pierwszych wahaniach poparł nowy ruch społeczny, jednym z jego źródeł była przecież pielgrzymka Jana Pawła II z 1979 roku (portret papieża ozdabiał bramę strajkującej stoczni). Prymas, który od ponad trzydziestu lat odpierał komunistyczne próby podporządkowania Kościoła, obdarzył Lecha Wałęsę szacunkiem, cenił jego zdrowy rozsądek i umiarkowanie. Narodziny ruchu wolnościowego, tak silnie

zakorzenionego w chrześcijaństwie, witał z nadzieją, przestrzegał jednak przed triumfalizmem. – Trzeba być niezwykle rozumnym – mówił do związkowców. – „Potrzeba wam ducha pokoju, a może i pokory, ale przede wszystkim rozwagi, roztropności, cierpliwości...”.

Krajowa prasa pominęła milczeniem spotkanie niezależnych działaczy związkowych z przywódcą polskiego Kościoła, będącym najwyższym autorytetem duchowym w kraju. Opisała je

natomiast prasa światowa, widząc w tym dowód bliskości dwóch wielkich sił społecznych w Polsce i znak błogostawieństwa dla nowego ruchu. Duchownym z pewnością podobała się manifestacyjna religijność strajkujących i składane przez działaczy związku deklaracje przywiązania do tradycji katolickiej. Biskupi przestrzegali jednak przed naruszeniem kruchej równowagi politycznej, zrodzonej po Sierpniu, i przed nadmiernym radykalizmem, który mógł zniweczyć dotychczasowe

osiągnięcia. „Chociaż  
mielibyście różne pokusy natury  
politycznej, pamiętajcie, że  
pierwszym waszym celem jest  
realizacja zadań zawodowo-  
społecznych” – zalecał  
związkowcom Wyszyński,  
stawiając jako najważniejsze  
kwestie pracownicze, warunki  
pracy, ustawodawstwo socjalne.

Jesień 1980 roku stała pod  
znakiem żywiołowego rozwoju  
wielomilionowej Solidarności i  
pierwszych konfliktów z  
władzami. Wałęsa wyruszył w  
podróż po całym kraju.  
Odwiedził Warszawę, a potem

Nową Hutę, Kraków, Nowy Targ, Nowy Sącz, Tarnów, Jastrzębie, Katowice i Częstochowę, witany wszędzie jako lider ruchu narodowej i społecznej emancypacji. Wyraźnym nawiązaniem do tradycji wolnościowych była przysięga, jaką złożył na krakowskim Rynku, ponawiając gest Tadeusza Kościuszki. Urodzony trybun świetnie się czuł na wiecach, improwizował, dowcipkował, z refleksem odpowiadał na padające z tłumu pytania.

Miał nie wiadomo skąd



zaczepniętą umiejętność poruszania najtrudniejszych tematów, takich jak stosunki polsko-radzieckie. Potrafił bronić Solidarności przed zarzutami o nierozumny antykomunizm, narażający kraj na inwazję sowiecką. – Nikt z zewnątrz nie musi bronić nas i socjalizmu – mówił w październiku w Krakowie. – My nie podważamy sojuszków, nie podważamy podstaw... Następnego dnia w Nowym Sączu powtarzał: „My nie zagrażamy innym krajom, żadnym sojuszom, my nie

podważamy socjalizmu. My robimy porządek – ten mały i ten wielki, i przypuszczamy, że gdzie indziej też należałoby zrobić swoimi siłami porządek. My się nikogo nie boimy [...] ale nie przypuszczam, żeby ktokolwiek śmiał nam robić porządek. My jesteśmy sami od porządku”. Dzień później oznajmił w Katowicach: „My się niczego nie boimy. Przyjdą czołgi, to wyjdziemy, przywitamy ich, w lufy włożymy kwiaty. My nie będziemy strzelać, my walczymy uczciwością, prawdą i wiarą”.

Sowieckiego kierownictwa te słowa zapewne nie przekonały, ale były dobrze odbierane na Zachodzie, gdzie mocno obawiano się o los polskiego eksperymentu. Przysporzyło to ruchowi sympatii w Europie, choć nie powstrzymało prasy radzieckiej, czechosłowackiej i berlińskiej od kłamliwych ataków na solidarnościową „kontrrewolucję” i wąsatego elektryka stojącego na jej czele. Wszakże tym bardzo swoistym połączeniem zuchwałości i ostrożności, bezceremonialnym traktowaniem kwestii, o jakich

wcześniej nigdy nie mówiło się otwarcie, Wałęsa zdobywał to, co najważniejsze – poparcie uczestników ruchu. „Dobry, bliski kontakt z ludźmi, bezwzględne porozumienie, które wynosiłem z tych wielkich publicznych spotkań, które czuliśmy wtedy między nami, były moją siłą w kontaktach z władzą” – napisał później.

Można się było o tym przekonać, obserwując mityngi, podczas których był fetowany niczym gwiazda sportu. 18 października w Nowej Hucie czekało na niego na stadionie

12 tysięcy ludzi. – Brama jest otworzona. Teraz każdy już może robić to, co słuszne. Zabrać się do wyprowadzania, wyczyszczania, wypierania... A zacząć ma każdy od siebie – mówił Wałęsa w swoim niepowtarzalnym stylu, który często był z gramatyką na bakier, ale doskonale trafiał do słuchaczy zmęczonych oficjalną nowomową. Następnego dnia w katedrze wawelskiej odprawiono uroczystą mszę w intencji nowych związków. Homilię wygłosił ksiądz Józef Tischner. „Historia wymyśla

słowa, aby następnie słowa mogły kształtować historię. Słowo »Solidarność« przyłączyło się dziś do innych, najbardziej polskich słów, aby nadać nowy kształt naszym dniom. Jest takich słów kilka: wolność, niepodległość, godność człowieka – a dziś solidarność. Każdy z nas czuje ogromny ciężar ukrytych w tym słowie treści. [...] Sens tego słowa określa Chrystus: Jeden drugiego ciężary nieście, a tak wypełnicie prawo Boże. Cóż to znaczy być solidarnym? Znaczy nieść ciężar drugiego

człowieka”. Podczas tego kazania narodził się pierwszy rozdział *Etyki Solidarności*, książki napisanej później przez księdza Tischnera.

Na Podhalu nastrój był mniej refleksyjny, a bardziej żywiołowy. „Gdy 19 października Lech przyjechał do Nowego Targu, na lodowisku był nadkomplet ludzi – wspomina działacz podhalańskiej Solidarności Antoni Antolak. – W tym okresie spotkanie z Wałęsą to było coś, co stawiało człowieka na nogi. Było w tym coś

niesamowitego, kiedy pełna hala zaśpiewała »Jeszcze Polska nie zginęła...« Taki dreszcz po człowieku przeszedł, widać było tę moc. Wałęsa mówił, że ten system musimy naprawić, że tak nie może być. Wręczyłem mu ciupagę, Róża Bigos – obraz Matki Boskiej Ludźmierskiej, a Kazek Piszczek nałożył mu na głowę kapelusz góralski”.

Jednak entuzjazm tłumów dla przewodniczącego Solidarności wywoływał też mieszane uczucia. „Wałęsa zjawiał się wraz z delegacją MKZ gdańskiego w Warszawie: odbył rozmowę z



Jagielskim, konferencję prasową, złożył wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza, był noszony na rękach, śpiewano mu hymny. Myślę, że miał nie mniej owacji i nie mniej doznał publicznej czci niż Piłsudski 11 listopada 1918 roku” – zapisał Andrzej Kijowski w swoim dzienniku. Sięgająca chwilami rozmiarów kultu popularność gdańskiego robotnika budziła niepokój pisarza. „Zdaje mi się jednak, że Wałęsa posuwa się za daleko w tym osobistym sukcesie, że ten osobisty sukces właśnie w tej

chwili jest niepotrzebny, że siła tego ruchu powinna polegać na jego bezimiennej liczebności [...]. Władza powinna być pewna, że na miejsce jednego przywódcy skompromitowanego i ośmieszonego stanie stu innych, że to jest masa samorządna, a więc społeczność, a nie tłum porwany charyzmą przywódcy [...]"

O nadmierne eksponowanie własnej osoby oskarżali go nie tylko intelektualiści, ale też niektórzy koledzy z Solidarności. Choć rosnąca popularność w

kraju wzmacniała jego pozycję w związku, dość szybko zaczęła ona być kwestionowana. Rostała grupa młodych przywódców, którzy w swoich regionach cieszyli się wielkim mirem: Zbigniew Bujak w Warszawie, Władysław Frasyniuk we Wrocławiu, Andrzej Słowik w Łodzi, Jan Rulewski w Bydgoszczy. Wielką estymą darzono nie tylko w Szczecinie szefa drugiego wielkiego ośrodka strajkowego w Sierpniu Mariana Jurczyka. Najwięcej problemów Wałęsa miał w macierzystym Gdańsku, gdzie do

ról przywódczych aspirowało wielu kombatantów Sierpnia. Zdeklarowanymi przeciwnikami Wałęsy stali się jego dawni koledzy z Wolnych Związków Zawodowych: Joanna i Andrzej Gwiazdowie, Anna Walentynowicz, Andrzej Kołodziej. Wspierała ich część środowiska korowskiego, z Jackiem Kuroniem na czele, krytykująca zwłaszcza autorytatywny i egocentryczny styl przywództwa Lecha. Wspomina Bogdan Borusewicz: „Wałęsa zmieniał się niekorzystnie, i to na moich

oczach. Stawał się apodyktyczny. Trzaskał drzwiami”. W 1981 roku z powodu konfliktu z przewodniczącym Borusewicz, który był przecież jego opozycyjnym ojcem chrzestnym, wycofał się z działalności w związku.

W sporze tym, który mocno zaciążył na całej historii Solidarności, trudno oddzielić czynnik osobistej niechęci i rywalizacji od różnic politycznych. Był on zresztą umiejętnie podsycany przez bezpiekę, dla której

wewnętrzne konflikty w związku tworzyły pole do manipulacji i osłabienia ruchu. Na płaszczyźnie politycznej podział przebiegał pomiędzy zwolennikami wywierania stałej presji na władze i zmuszania komunistów do kolejnych ustępstw a skrzydłem umiarkowanym, skupionym na obronie już uzyskanego zakresu autonomii społecznej i poszukiwaniu kompromisu z rządzącymi. W tej drugiej grupie Lecha Wałęsę wspierali przede wszystkim Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek, z którymi

łączyły go wspólne przeżycia Sierpnia. Sojusz ten przetrwa do końca lat osiemdziesiątych.

W wywiadzie udzielonym radiu francuskiemu 13 września Wałęsa przewidywał, że drugi etap budowania związków będzie trudniejszy niż ten pierwszy – strajkowy. Chyba miał rację. Rządzący komuniści na różne sposoby próbowali zahamować rozwój związku, w niektórych regionach wprowadzając coś w rodzaju stanu wyjątkowego. W końcu września Krajowa Komisja Porozumiewawcza zdecydowała

o przeprowadzeniu strajku ostrzegawczego. 1 października, po nieudanych rozmowach z wicepremierem Jagielskim, który znowu przyjechał do Gdańska, przewodniczący Solidarności oskarżył rząd o nierealizowanie porozumień sierpniowych. „Związek nasz z całą powagą traktuje trudną sytuację gospodarczą w kraju i [...] pragnie przyczynić się do wyjścia z istniejącego kryzysu. Warunkiem tego jednak jest pełne utrzymanie i zrealizowanie osiągniętych porozumień – stwierdził



Wałęsa. – Mieliśmy nadzieję, a z nami całe społeczeństwo, że osiągnięte porozumienia unormują sytuację. Tymczasem, zarówno w dziedzinie realizacji płacowych, [...] oraz stworzenia w całym kraju warunków swobodnego organizowania się niezależnych i samorządnych związków zawodowych – postanowienia porozumienia i jego duch nie są utrzymywane”.

„Koniec zabawy” – oświadczył, zapowiadając strajk w całym kraju. W gronie współpracowników – według raportu SB – mówił, że władza

nie ma na co liczyć w wypadku konfrontacji – „i czołgi nie pomogą, bo społeczeństwo nie ma zaufania do niej”. Coraz większym zaufaniem społeczeństwo darzyło natomiast niezależny związek. Zorganizowany 3 października strajk był wielkim sukcesem powstałego kilka tygodni wcześniej ruchu. Tego samego dnia Wałęsa zgłosił gotowość rozmów z Jagielskim i Fiszbachem. „Z tym ludźmi istnieją możliwości porozumienia się” – mówił francuskiej agencji prasowej

AFP. Była to próba wprowadzenia podziałów po stronie partii, wygrywania zwolenników linii umiarkowanej przeciwko tak zwanemu betonowi – zachowawczemu skrzydłu PZPR, uważającemu niezależny związek po prostu za kontrrewolucję.

Przywódcą nowego ruchu nie był jednak rewolucjonista. Lepiej niż niektóre gorące głowy rozumiał, że w każdej sprawie nie da się strajkować. W połowie października, na kolejnym posiedzeniu KKP, przekonywał, że strajki są

bronią, której należy używać tylko w ostateczności, gdyż ich efekty odczują wszyscy. „Losy naszego kraju są naszymi losami i strajk uderza w nas samych” – powtarzał kolegom. Na wiecu zorganizowanym na Politechnice Gdańskiej mówił studentom: „Jesteście przyszłymi kierownikami i dyrektorami. Pamiętajcie: tak kierować, abyśmy nie musieli przeciw wam strajkować”. Wciąż starał się powstrzymać żywiołowo wybuchające protesty – na przykład 23 października w Ursusie – by

uporządkować działania  
związku. Partyjna góra  
z przerażeniem obserwowała  
narodziny nowego, całkowicie  
od niej niezależnego autorytetu  
społecznego. „Co to jest za  
sytuacja, że Wałęsa musi  
przyjechać i uspokajać »Ursus«  
do roboty. To jest anarchia” –  
oceniał weteran Politbiura,  
dawny szef komunistycznych  
związków zawodowych  
Władysław Kruczek.  
Odpowiadał mu inny  
doświadczony działacz PZPR,  
Andrzej Werblan: „Gdybyś mógł  
uspokoić »Ursus«, to byśmy

ciebie wystali”.

Trwałe uspokojenie nie leżało jednak w interesie władz, pragnących osłabienia ruchu wolnościowego w niezliczonych sporach. Nowy powód konfliktu był bardzo poważny – arbitralne zmiany w statucie związku. 24 października 1980 roku Sąd Wojewódzki w Warszawie wpisał wprawdzie Solidarność do rejestru związków zawodowych, ale skreślił w jej statucie punkty dotyczące prawa do strajku i dopisał sformułowanie o kierowniczej roli PZPR. „Zdaje mi się, że

zarejestrowano inny związek niż ten, który ja reprezentuję” – skomentował Wałęsa. W Polsce zawrzało. Zapowiedziano strajk powszechny. „Będzie to strajk, jakiego świat nie widział – mówił buńczucznie lider ruchu w wywiadzie dla brytyjskiego dziennika „The Guardian”. – Możemy strajkować rok czy dwa, aż wygramy”. Kompromis udało się znaleźć podczas czternastogodzinnych rokowań z rządem 31 października. Władze obiecały, że Sąd Najwyższy szybko rozpatrzy odwołanie od decyzji Sądu

Wojewódzkiego, potwierdziły rejestrację związku i uzyskanie przezeń osobowości prawnej, zgodziły się na wydawanie ogólnopolskiego tygodnika. Ruch wywalczył też ustępstwa w sprawach płacowych.

W poufnych negocjacjach ekspertom Solidarności i delegatom rządu udało się także znaleźć salomonowe rozwiązanie problemu ze statutem. Kwestię „kierownicy”, czyli kierowniczej roli partii w państwie, ujętej w konstytucji PRL, rozwiązano, umieszczając w aneksie do statutu fragment



porozumienia gdańskiego, w którym ta formuła się znalazła. Wałęsę, który nie chciał się na to zgodzić, przekonała dopiero aprobata prymasa Wyszyńskiego. Dzień ogłoszenia decyzji – 10 listopada – został przyjęty jako kolejne zwycięstwo Solidarności. Sąd Najwyższy uchylił wprowadzone przez niższą instancję zmiany, a cała sprawa stała się demonstracją siły nowego ruchu. W ostatniej chwili przedstawiciel władz próbował jeszcze wprowadzić ograniczenia prawa do strajku,

ale związkowcy się oparli. „Z gmachu sądu Wałęsę wyniesiono na rękach – wspomina Wiesław Chrzanowski. – Powiedział kilka zdań o potrzebie porozumienia, po czym zaintonował *Boże, coś Polskę*, kończąc [słowami] »Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie«”. Kilka tysięcy ludzi czekających na ulicy na werdykt śpiewało z nim, po czym wszyscy udali się złożyć kwiaty pod Grobem Nieznanego Żołnierza.

Zaraz potem liderzy Solidarności pojechali do

prymasa, który właśnie powrócił z Rzymu. Kardynał Wyszyński przekazał robotnikom najlepsze pozdrowienia od papieża, który, naturalnie, bardzo się interesował ruchem zrodzonym pod jego duchowym patronatem. Prymas, znawca społecznej nauki Kościoła, opowiedział też o własnej działalności w chrześcijańskich związkach zawodowych w czasach II Rzeczypospolitej. Zwieńczeniem tego dnia był koncert w Teatrze Wielkim dany przez warszawskich artystów na cześć Solidarności. Następnego

dnia, 11 listopada, w Gdańsku przewodniczący związku wziął udział w tradycyjnej manifestacji Ruchu Młodej Polski w rocznicę odzyskania niepodległości. Spod pomnika Jana III Sobieskiego wezwał do pracy nad budowaniem Solidarności, ale namawiał też do zachowania spokoju.

Wszystkie te symboliczne sceny budowały wokół ruchu i jego przywódcy aurę pełną odwołań do tradycji patriotycznej. Pierwsze miesiące Solidarności przypominały w pewnym sensie

kolejne, tym razem bezkrwawe, polskie powstanie. Lech Wałęsa dodawał do tego wolnościowego entuzjazmu sporą dozę zdrowego rozsądku i politycznego sprytu. Podczas kolejnych rokowań z rządem dawały o sobie znać jego zdolności negocjacyjne: elastyczność i pragmatyzm połączone z wiernością najważniejszemu celom ruchu. Toteż nigdy nie uchylał się od rozmów z przedstawicielami władz. Po rozwiązaniu kryzysu rejestracyjnego chętnie spotkał się ze Stanisławem Kanią,

nowym szefem partii, który zastąpił Edwarda Gierka.

Władze PZPR, zaskoczone błyskawicznym wzrostem niezależnego związku, próbowały go powstrzymać. Jednak podejmowane przez komunistów wysiłki obracały się przeciwko nim, mobilizowały zwolenników ruchu i umacniały brak zaufania do rządowego partnera. Warszawa była jednak stale naciskana do bardziej energicznego przeciwdziałania przez Moskwę, przekonaną, że Polskę „zalewa fala kontrrewolucji”. „Wałęsa

podróżuje wzdłuż i wszerz kraju, z miasta do miasta, i wszędzie podejmują go z honorami. Polskie kierownictwo stuliło gębę. Prasa również. Nawet telewizja nie przeciwstawia się elementom antysocjalistycznym” – narzekał sekretarz generalny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Leonid Breżniew. Być może – mówił w końcu października 1980 roku – będzie trzeba wprowadzić stan wojenny. Do gotowości podjęcia walki środkami „niepokojowymi” wzywał polskich towarzyszy

także Jurij Andropow, wówczas szef KGB. „Nawet jeśli zostawicie Wyszyńskiego i Wałęsę w spokoju, to Wyszyński i Wałęsa nie zostawią was w spokoju, aż osiągną swój cel. Chyba że zostaną zmiażdżeni przez partię i odpowiedzialną część klasy robotniczej” – przestrzegał szefów polskiej bezpieki. „To walka o władzę. Jeśli Wałęsa i jego faszystowscy sprzymierzeńcy dojdą do władzy, to zaczną pakować komunistów za kraty, zaczną ich rozstrzeliwać i prześladować na



różne sposoby. W takiej sytuacji najbardziej zagrożeni będą aktywiści partyjni, czekiści [czyli SB – J. S.] i dowódcy wojskowi”.

Prawdziwa Solidarność była o wiele mniej krwiożercza i miała znacznie skromniejsze cele. Lech Wałęsa manifestacyjnie odżegnywał się od polityki, zapewniając, że jest tylko związkowcem. „Nie

kwestionujemy socjalizmu ani naszych sojuszy, respektujemy realia, to jest nieuniknione – mówił tygodnikowi „Polityka”. – Na pewno nie wrócimy do kapitalizmu ani nie skopiujemy

żadnego rozwiązania zachodniego, bo tu jest Polska i chcemy mieć rozwiązania polskie. Socjalizm to jest system niezły i niech będzie, ale kontrolowany”. Nie zamierzamy wysuwać programów politycznych, a w żadnym wypadku ich realizować – zapewniał w rozmowie opublikowanej na początku listopada 1980 roku. Ile w tym było uników taktycznych, a ile rzeczywistego przywiązania do hasła socjalizmu, trudno wymierzyć. W potocznej świadomości Polaków elementy

ideologii socjalistycznej były silnie obecne, a nieufność do kapitalizmu powszechna, zarówno wśród inteligenckich dysydentów, jak i zbuntowanych przeciw realnemu socjalizmowi robotników.

Kierownicza grupa związku zdawała sobie sprawę, że eksperyment Solidarności może w każdej chwili – po przekroczeniu niepisanej granicy politycznego bezpieczeństwa – wywołać gwałtowną kontrakcję władz i zakończyć się katastrofą. W systemie komunistycznym, opartym na zasadzie monopolu

partii, nie było miejsca na niezależny ruch społeczny, który samym swoim istnieniem kwestionował fundamenty ustrojowe. Przyparta do muru PZPR zgodziła się na powstanie Solidarności, ale dynamika i rozmiary ruchu przekroczyły jej najgorsze przewidywania. Ludzie przestali się bać. Spod kontroli partii wymykały się nie tylko związki zawodowe, ale inne obszary życia społecznego: organizacje studenckie, związki rolników, środowiska twórcze. Toteż nad solidarnościowym karnawałem stale wisiąca groźba

sowieckiej interwencji militarnej, realna zwłaszcza pod koniec 1980 roku. Przestrożą były tu doświadczenia Węgier z 1956 roku i w jeszcze większym stopniu Czechosłowacji z 1968 roku. Stąd deklaracje działaczy związku o niechęci do polityki i odżegnywanie się od zamiarów obalenia ustroju czy przejmowania władzy, co stale zarzucała im komunistyczna propaganda.

Zarzuty były nieprawdziwe. Liderzy Solidarności rzeczywiście nie chcieli obalać rządów PZPR, choć domagali się

wolności działania oraz prawa do krytyki i kontroli władzy. Ten projekt utrzymania ruchu w ryzach geopolityki dobrze opisywała koncepcja „samoograniczającej się rewolucji” autorstwa Jadwigi Staniszkis, która w sierpniu 1980 roku należała do Komisji Ekspertów w Stoczni Gdańskiej. Działania Lecha Wałęsy doskonale mieściły się w tej formule. Na przełomie lat 1980–1981 jego pierwszoplanowym zajęciem – obok targów z władzami – było gaszenie lokalnych strajków i

próba ujęcia żywiołowych rewindykacji w karby jakiej takiej dyscypliny, podporządkowanie niezliczonych postulatów szczegółowych linii generalnej związku. Wszystkich złodziei w Polsce i tak nie uda się posadzić – argumentował. Konflikty jednak nie ustawały, niektóre zresztą były prowokowane przez władze, co niedoświadczeni i ambitni działacze związku nie zawsze dostrzegali. Na ich tle Wałęsa wyróżniał się opanowaniem i politycznym rozumem, choć

stale spotykały go oskarżenia bardziej krewkich związkowców o zbytnią ugodowość.

Istotnie, nie był radykałem. „W miarę poznawania zasad i realiów życia politycznego w Polsce jego poglądy stają się bardziej umiarkowane – pisano o nim w związkowym *Who's who*, wydanym w 1981 roku. – Uważany jest za człowieka centrum walczącego z poglądami najbardziej radykalnymi”. Naturalne umiarkowanie Wałęsy wzmocniali jego najbliżsi współpracownicy, politycy



ostrożni, opowiadający się raczej za umacnianiem *status quo* niż rozszerzaniem pola konfliktu i za unikaniem niepotrzebnych zatargów z władzą – Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek, Wiesław Chrzanowski, Władysław Siła-Nowicki, Andrzej Wielowieyski. Taką samą rolę odgrywał Andrzej Celiński, sekretarz KPP.

Podobnie oddziaływał Kościół, a zwłaszcza kontakty z prymasem Stefanem Wyszyńskim, który stale namawiał do roztropności i umiaru. Prymas był przekonany,

że próba odebrania władzy PZPR i wyrwania Polski z bloku sowieckiego zakończy się w najlepszym razie porażką, a w najgorszym – narodową tragedią, jaką byłaby inwazja wojsk Układu Warszawskiego. Trzeba tę władzę ścierpieć jeszcze przez jakiś czas, do momentu, kiedy można będzie ją ukształtować „na obraz i podobieństwo własne” – mówił. „Nie wolno podejmować takich działań, które mogłyby narazić naszą Ojczyznę na niebezpieczeństwo zagrożenia wolności i państwowości” –

ostrzegali w grudniu 1980 roku biskupi. Przywódca Solidarności był człowiekiem bardzo religijnym: codziennie rano uczestniczył w mszy świętej i publicznie demonstrował swoją wiarę, nosząc w klapie wizerunek Matki Boskiej z Częstochowy. Jego chłopski szacunek dla duchowieństwa nie owocował jednak podporządkowaniem się opinii biskupów. W sprawach religijnych wierny syn Kościoła katolickiego – w sprawach natury politycznej był samodzielny, choć nie wahał się,

zwłaszcza w latach stanu wojennego, korzystać z pomocy kleru. Od polskiego Episkopatu przejął natomiast w jakiejś mierze styl uprawiania polityki, w którym spotykały się elementy przystosowania do realiów PRL i zdolność do stawiania oporu komunizmowi. Wierność własnym pryncypiom połączona z elastycznością polityczną, świadomością, kiedy trzeba powiedzieć *non possumus*, a kiedy okazać gotowość do kompromisu, umiejętność czekania na szansę realizacji swoich celów –

wszystko to miało mu się przydać w latach następnych.

Wiele pochwał za umiar i walkę o prawa obywatelskie prowadzoną bez przemocy usłyszał od Jana Pawła II, gdy złożył mu w połowie stycznia 1981 roku wizytę na czele delegacji Solidarności. Był to pierwszy wyjazd za granicę w życiu trzydziestosiedmioletniego robotnika. Papież nadał najwyższą rangę audiencji przedstawicieli niezależnego związku zawodowego, podjął Wałęsę i jego towarzyszy według scenariusza

przeznaczonego dla głów państw. Było to pierwsze spotkanie dwóch Polaków, którzy zmienili bieg historii w ostatnich dekadach XX wieku. Nawiązana pomiędzy nimi serdeczna więź będzie dla przywódcy Solidarności ważnym, nie tylko duchowym, wsparciem i nie ulegnie przerwaniu aż do śmierci Jana Pawła II.

W wygłoszonym wówczas improwizowanym przemówieniu Wałęsa mówił o prawach człowieka, które muszą być przestrzegane niezależnie od

granic systemów politycznych.  
„Ojcze Święty, przychodzimy do Ciebie z nowym związkiem »Solidarność«, który zrodził się, gdy społeczeństwo zrozumiało, że potrzeba innych rozwiązań, dyktowanych sercem, ale i rozumem. Wyrośliśmy i wychowaliśmy się w duchu wiary i wierzę, że aby człowiek był człowiekiem, musi pamiętać o tym, że ma rozum, że musi kierować się tym rozumem, nie tylko po to, by zabezpieczyć dobrobyt materialny, ale również po to, by osiągnąć porządek wewnętrzny [...]. Nie

jesteśmy grupami politycznymi, nas sprawy polityczne nie interesują, interesuje nas [...] prawo do człowieczeństwa, prawo do wiary, swobodnego głosu jej i wyznawania”. W odpowiedzi papież podkreślał obywatelską dojrzałość, jaką ludzie Solidarności potrafili okazać w trudnych chwilach: „Na tle wydarzeń, których nie brak w dzisiejszym świecie, a w których jakże często metodą działania staje się gwałt i przemoc, na tle działającego w różnych krajach terroru, który nie oszczędza niewinnych ludzi



- ten właśnie sposób działania, wolny od gwałtu i przemocy, szukający rozwiązań na drodze wzajemnego dialogu i merytorycznych racji, z uwzględnieniem dobra wspólnego, przynosi zaszczyt zarówno przedstawicielom świata pracy z Wybrzeża, Śląska i innych regionów, którzy obecnie zrzeszyli się w »Solidarności«, jak też przedstawicielom polskich władz”.

Kilka dni po oficjalnej audiencji papież przyjął przywódców Solidarności raz

jeszcze – na porannej mszy świętej i śniadaniu w prywatnych apartamentach Watykanu. Połączenie determinacji w obronie wyznawanych wartości z otwartością na dialog, a przede wszystkim wyrzeczenie się przemocy – te cechy określające styl politycznego działania Solidarności zapewniały jej poparcie Jana Pawła II. Zdobywały także dla ruchu powszechną sympatię na świecie. Lech Wałęsa mógł się o tym przekonać podczas podróży zagranicznych. We Włoszech

witały go razem wszystkie główne centrale związkowe. Również we Francji, którą odwiedził w październiku 1981 roku, polski związek cieszył się poparciem wszystkich odłamów ruchu pracowniczego, komunistycznej centrali CGT nie wyłączając. Na koncert w paryskiej Olimpii zaprosił go wówczas słynny aktor i piosenkarz Yves Montand, który przez całe lata osiemdziesiąte pozostał przyjacielem Solidarności. Wcześniej, w maju, delegacja związku wraz z przewodniczącym była w

Japonii. W 1981 roku Wałęsa odwiedził także Szwecję, gdzie odebrał nagrodę „za zasługi dla ruchu robotniczego”. Szczególny charakter miała czerwcową wizyta w Genewie, gdzie uczestniczył w sesji Międzynarodowej Organizacji Pracy, przemawiając jako przedstawiciel Polski w obecności ministra pracy PRL. Wszędzie przyjmowany był zarówno przez związkowców, jak i polityków, przypatrujących się z wielkim zainteresowaniem fenomenowi polskiego niezależnego ruchu

związkowego i jego znanemu już na całym świecie przywódcy.

W kraju wielką manifestacją pamięci i siły ruchu były obchody dziesiątej rocznicy Grudnia '70. Lech Wałęsa mógł wypełnić swoją zapowiedź sprzed roku, gdy jako ścigany przez komunistyczną policję działacz WZZ obiecywał wzniesienie pomnika ofiar Grudnia pod drugą bramą Stoczni Gdańskiej. Realizacja tej pochopej, jak się mogło wydawać, zapowiedzi daleko przekroczyła oczekiwania. Na odśłonięcie 16 grudnia 1980

roku Pomnika Poległych Stoczniowców do Gdańska przyjechały setki tysięcy z całej Polski – były delegacje związkowe, przedstawiciele Kościoła, władze lokalne. Nawet władze państwowe nie mogły zlekceważyć tej uroczystości. Uczestniczył w niej przewodniczący Rady Państwa PRL Henryk Jabłoński, a telewizja pokazała spore fragmenty. Lider Solidarności zapowiedział spotkanie pod pomnikiem za rok. „Wygłoszone przez niego przemówienie w zasadzie nie zawierało wrogich

akcentów politycznych” –  
odnotowała gdańska bezpieka.

# Niespokojne dni

Atmosfera narodowej rekoncylacji panująca podczas uroczystości grudniowych nie trwała długo. nierozwiązana pozostawała kwestia rolników, którzy domagali się prawa do tworzenia niezależnych związków. Przedmiotem kolejnego konfliktu między władzą a Solidarnością stały się wolne od pracy soboty, zagwarantowane przez porozumienie kończące strajk



górników, podpisane 3 września 1980 roku w Jastrzębiu. Rokowania w tej sprawie, do których doszło 21 stycznia 1981 roku z udziałem premiera Józefa Pińkowskiego, zakończyły się fiaskiem mimo kompromisowej postawy związku. „Jeśli panowie ostatecznie chcecie, to możemy wrócić do stoczni na 18 dni, może to coś pomoże” – oświadczył zdenerwowany Wałęsa. I wezwał, by nie iść do pracy w najbliższą sobotę. Apel został wysłuchany. Dopiero ponowne negocjacje 30

stycznia przyniosły rozstrzygnięcie sporu o wolne soboty w myśl oczekiwań związku. Nie zdołano jednak przełamać oporu rządu w sprawie organizacji chłopskich. Przywódcy ruchu nie chcieli zaognić atmosfery w kraju, ale nie mogli zrezygnować z popierania swobody zrzeszania się. „Musi być rozsądek, ale bez cofania się” – tak postawę Solidarności ujął przewodniczący Krajowej Komisji Porozumiewawczej.

Kolejnym testem tej linii postępowania były konflikty z

lokalnymi władzami w Bielsku-Białej i Jeleniej Górze. Skala korupcji i nadużyć ujawniona na fali posierpniowej odnowy spowodowała w obu regionach strajki pod hasłem natychmiastowego ukarania winnych i ograniczenia przywilejów aparatu partyjnego. Przywódcy Solidarności, mimo niechęci do takich żywiołowych rewindykacji, na początku lutego przyjechali ze wsparciem. Jeden z oficjalnych dzienników, „Sztandar Młodych”, tak opisywał wizytę Wałęsy w Bielsku-Białej: „Mówi do ludzi

tak, jak się mówi do kumpla – na luzie. I ludziom oczy zachodzą mgłą... Oni wszyscy czują w nim swoją część i ta ich część w nim jest nobilitacją dla każdego z tłumu... Zauważa, że ten strajk szkodzi im, bije w robotników. Rozliczenia winnych lepiej odłożyć na potem, po cichu złodziei ukarać. Ale skoro zaczęło się, to trzeba walczyć do końca. Musicie wytrzymać”. Szefa komisji rządowej, która przyjechała na negocjacje, przekonywał, że podobne problemy są w całym kraju. „My się możemy w tym utopić... Jak

się to rozejdzie po Polsce, może dojść do rewolty, wtedy ktoś nam pomoże...” – rysował perspektywę społecznego buntu i sowieckiej interwencji. Namawiał więc do przecięcia wężła konfliktu i usunięcia lokalnych kacyków. Udało się to jednak dopiero po interwencji Episkopatu.

Niechęć władzy do ustępstw doprowadziła do zaognienia konfliktu w Jeleniej Górze, gdzie Wałęsa musiał także pojechać. – Cel macie słuszny, ale obrona przez was forma walki jest niewłaściwa. Stawiajmy

postulaty po kolei. Nie po partyzancku. Inaczej z jednego bałaganu zrobimy drugi – ostrzegali jeleniogórskich związkowców. „Nie możemy dla partykularyzmu przegrywać spraw wielkich”. Ostatecznie rząd spełnił niektóre lokalne żądania.

Nadzieje na to, że rozmowy z władzą nie będą dialogiem głuchych, przyniosło objęcie stanowiska premiera przez generała Wojciecha Jaruzelskiego w lutym 1981 roku. W dobrze skonstruowanym, choć

niepозbawionym pogróżek  
przemówieniu sejmowym  
zaapelował on o  
„dziewięćdziesiąt spokojnych  
dni”, bez strajków i konfliktów.  
Uczył też kilka polubownych  
kroków. Do kontaktów z ruchem  
związkowym wyznaczył nowego  
wicepremiera Mieczysława F.  
Rakowskiego, który jako  
redaktor „Polityki” postulował  
prowadzenie wobec  
Solidarności polityki  
„szanowania partnera”.  
Rakowski przyjął Lecha Wałęsę  
już drugiego dnia urzędowania.  
„Niskiego wzrostu, krępy,

wzbudzał zaufanie – zanotował wicepremier. – Ubrany był w sztruksowe spodnie i kurtkę. W lewej klapie wpięty znaczek »Solidarności« i sporych rozmiarów plakietka z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej”. Wałęsa deklarował chęć współpracy z rządem, z szacunkiem wyrażał się o generale Jaruzelskim, zapewniał, że nie chce być uważany za człowieka wrogiego ani w Warszawie, ani w Moskwie. Jednocześnie postawił palące kwestie uwolnienia więźniów



politycznych, dostępu Solidarności do radia i telewizji, blokowanego przez władze „Tygodnika Solidarność”. Wspomniął także o potrzebie renegotjacji porozumień.

Rozmowa z Jaruzelskim odbyła się 10 marca i przebiegała również w tonie pojednawczym. Przewodniczący odnosił się do premiera z respektem; miał nawet obiecać powstrzymanie antyradzieckich karykatur w prasie związkowej, która ukazywała się bez cenzury. „Ja zrobię porządek z tymi misiami” – powiedział

według relacji Rakowskiego (ZSRR przedstawiano na rysunkach satyrycznych w postaci niedźwiedzia). Podczas dwugodzinnego spotkania w cztery oczy mowa była o generalnej sytuacji w kraju, a także o konfliktach lokalnych, grożących destabilizacją. W *Drodze nadziei* Wałęsa pisze, że generał zrobił na nim pozytywne wrażenie, a ich spotkanie stworzyło dobry początek drogi do porozumienia. Ale każdy z nich miał coś innego na myśli. „Ja myślałem, że powstaje punkt wyjścia do

mądrym kompromisu między aspiracjami ludzi a monopolem władzy [...]. Natomiast z drugiej strony była nadzieja pewnego oswojenia”. Jednak ani Solidarność, ani jej przywódca nie dali się oswoić i dostosować do świata realnego socjalizmu.

Na początku marca 1981 roku mogło się wydawać, że zawieszenie broni proponowane przez obie strony politycznego konfliktu doszło do skutku. Protesty rolników w Rzeszowie i Ustrzykach Dolnych skończyły się – z istotnym udziałem Wałęsy – podpisaniem

porozumienia, w którym zagwarantowano nienaruszalność chłopskiej własności ziemi. Ugoda z ministrem nauki zakończył się trzytygodniowy strajk studentów w Łodzi, wspomagany przez uczelnie z innych ośrodków akademickich; Niezależne Zrzeszenie Studentów zostało w końcu zalegalizowane. Uśmierzono spór Solidarności z aparatem władzy w Radomiu, gdzie ze stanowiska ustąpił szef Komitetu Wojewódzkiego PZPR. „Nie powinniśmy się

cofać, ale nie powinniśmy też wyniszczać samych siebie strajkami, zwłaszcza wobec ciężkiej sytuacji gospodarczej kraju – tłumaczył Wałęsa podczas wiecu w Radomiu 16 marca. – Nowy premier, generał, to widzimy, że chce dobrze. Potrzebny nam jest silny rozsądny rząd, który nie będzie przeszkadzał, ale musi on mieć czas, żeby poprzestawiać meble, a stare wstawić do lamusa”.

Konfrontacja, do jakiej doszło trzy dni później w Bydgoszczy, przekreśliła nadzieje związane z Jaruzelskim. Brutalna

interwencja milicji podczas sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej, w której brali udział działacze bydgoskiej Solidarności, zakończyła się ich ciężkim pobiciem. Szef regionalnego związku Jan Rulewski i dwaj inni działacze znaleźli się w szpitalu, a kierownictwo związku odwołało wszystkie rozmowy z przedstawicielami władz. Był to najpoważniejszy konflikt od sierpnia 1980 roku. Krajowa Komisja Porozumiewawcza ogłosiła gotowość strajkową w całym kraju. Powagę sytuacji od razu zrozumiał prymas Stefan

Wyszyński. 21 marca, ciężko chory, napisał list do Wałęsy, by nie przerywał dialogu z rządem. Nazajutrz podczas radiowej mszy wezwał obie strony konfliktu do umiaru: „Władze państwowe muszą się liczyć z następstwami każdego nierozważnego kroku czynników porządku publicznego. A obywatele, zmierzający do osiągnięcia słuszných praw społecznych, zrzeszania się i rewindykacji ekonomicznych, muszą wiedzieć, że dla osiągnięcia tych żądań trzeba wiele czasu, cierpliwości,

możliwości funkcjonalnych”. Kilka dni później w osobistej rozmowie z premierem Jaruzelskim Wyszyński naciskał na rozwiązanie bezpośredniej przyczyny konfliktu i zalegalizowanie Solidarności rolników. Władze jednak spychały na związek odpowiedzialność za incydent, uchylały się od wyświetlenia jego przebiegu ani nie zamierzały ukarać winnych. Krajowa Komisja Porozumiewawcza postanowiła więc przeprowadzić ogólnopolski strajk



ostrzegawczy, a jeśli nie przyniesie on efektu – strajk generalny.

Chcemy zgody narodowej, ale nie damy się bić po twarzy – mówił Wałęsa w Bydgoszczy. Jednak wybór nie był taki prosty. Związek nie mógł zaakceptować milicyjnej brutalności i coraz bardziej wojowniczego tonu komunistów, z drugiej strony rozpoczęcie strajku generalnego oznaczało wkroczenie na wojenną ścieżkę i wielkie ryzyko starcia siłowego, z którego tylko władza mogła wyjść zwycięsko.

Nie można też było lekceważyć zagrożenia interwencją sowiecką. W Polsce trwały wówczas przedłużone bezterminowo manewry wojsk Układu Warszawskiego. „Wiedziałem, że jeśli ruszymy, może okazać się, że nie będziemy potrafili się zatrzymać i wtedy ci na górze nie będą mieli wyboru” – wspomina Wałęsa. Toteż starał się ważyć słowa i podkreślał, że grupa w aparacie władzy zmierzająca do konfrontacji nie jest tożsama z osobą i polityką premiera. „Ktoś ma za długie pazurki. Przytniemy

te pazurki” – zapowiedział.

Rozmowy 22 marca z delegacją rządową, której przewodził Rakowski, nic nie dały. Wieczorem lider Solidarności spotkał się z Jaruzelskim – w cztery oczy. Generał przyjechał prosto z manewrów „Sojuz-81” – był w długich, oficerskich butach i w mundurze. „Lech Wałęsa przekazał mi swoje poglądy i uwagi na temat wydarzeń w Bydgoszczy, a ja ustalenia, którymi dysponowałem. Każdy z nas miał częściowo inną wersję – wspomina. – Zrozumiałe, że

Wałęsa nie mógł być obojętny, zwłaszcza wobec pobicia związkowców. To była także sprawa jego prestiżu jako przewodniczącego. Mówił więc ostro i krytycznie o postępowaniu władz. Przy okazji przypomniał różne incydenty z przeszłości. Z kolei ja rewanżowałem się informacją o anarchizujących działaniach wielu ogniw związku. Wałęsa oświadczył, że stara się zapanować nad sytuacją, ale napięcie jest bardzo duże. Chociaż nasze spojrzenie na przyczyny powstałej sytuacji

było odmienne, łączyła nas świadomość, iż znaleźliśmy się na ostrym zakręcie”.

Umówiono się wówczas, że generał przekaze ostrzeżenie, gdyby miało dojść do „nadzwyczajnych rozwiązań”: przywódca Solidarności miał dostać cztery dni wcześniej sygnał, który byłby ostatnią szansą na powstrzymanie stanu wyjątkowego. „Obiecałem mu to – pisze Jaruzelski w książce *Stan wojenny. Dlaczego...* – Po 13 grudnia miał prawo mieć pretensje, że nie spełniłem obietnicy”.

Wałęsa twierdzi w *Drodze nadziei*, że podczas kryzysu bydgoskiego postawił na przetrwanie, które – kosztem rezygnacji z dalej idących postulatów demokratycznych – przedłużyłoby Solidarności legalny żywot. Przeprowadzenie tej linii postępowania nie było łatwe. 23 marca na wyjazdowym posiedzeniu KKP w Bydgoszczy Wałęsa wystąpił przeciwko większości kierownictwa związku i rzucił na szalę cały swój autorytet, torpedując plany strajku generalnego niepoprzedzonego

strajkiem ostrzegawczym. Opowiadał się za stanowczością, ale unikaniem otwartej konfrontacji. Apelował, by nie dolewać oliwy do ognia. Otwarcie też stwierdził, iż sytuacja jest tak poważna, że trzeba ograniczyć demokrację wewnątrzwiązkową. „W Bydgoszczy doszło wówczas do strasznego konfliktu, Wałęsa wyszedł z obrad, obrażając Komisję Krajową” – opowiada Andrzej Celiński. Dalszą obecność na obradach przewodniczący uzależnił od wyników głosowania. Były po

jego myśli, choć wielu członkom kierownictwa związku nie odpowiadała ugodowość Wałęsy ani tym bardziej jego dyktat. Zdecydowano, by w razie niepowodzenia kolejnych rozmów z rządem przeprowadzić strajk ostrzegawczy 27 marca, a jeśli to nic nie pomoże, 31 marca rozpocząć okupacyjny strajk generalny.

Dla związkowych radykałów była to zbyt słaba odpowiedź na pobicie działaczy bydgoskich. Dla rządzących stanowiła jednak niemal wypowiedzenie wojny.



Szukając jakiegoś kompromisu z władzą, Wałęsa zapewniał w oświadczeniu skierowanym do wicepremiera Rakowskiego, że ruch nie chce być partią polityczną i że nie zamierza odbierać władzy komunistom. „Jednocześnie nie będziemy ustępować i będziemy czekać, kiedy nasze żądania zostaną spełnione. Wszystko musi być załatwione w sposób prawny i logiczny, nie mamy innego wyboru. Nie mamy antysocjalistycznego nastawienia, ale uważamy, że to nie jest praworządność i mamy

obawy, że mogą mieć miejsce dalsze podobne wypadki”. Jednak podczas spotkania 25 marca wicepremier nie miał nic do zaproponowania. Po kilku godzinach zupełnie bezowocnych negocjacji Wałęsa zaproponował: „To może my się pójdziemy przespać, a panowie się na jutro przygotowują”. Jednak również nazajutrz rozmowy niczego nie przyniosły. Władze nie tylko nie czuły się niczemu winne, ale obwiniwały o wszystko Solidarność. Po jednej z kolejnych tyrad strony rządowej

lider związku zapytał więc: Czy to my pobiliśmy ministra?

Napaść na działaczy Solidarności w Bydgoszczy wywołała wstrząs w całej Polsce. Opinia publiczna była całkowicie zgodna. Nastrój antyrządowej mobilizacji ogarnął miliony członków związku. Krajowy Komitet Strajkowy z udziałem Lecha Wałęsy, Zbigniewa Bujaka, Andrzeja Gwiazdy, Mariana Jurczyka, Bogdana Lisa i Andrzeja Słowika sprawnie pokierował przygotowaniem do największej akcji protestacyjnej w 1981

roku. 27 marca Solidarność przeprowadziła czterogodzinny strajk ostrzegawczy w całym kraju. Miał on charakter powszechny i był w istocie wielką narodową manifestacją; w wielu zakładach wzięli w niej udział także członkowie partii i związków branżowych. Na 31 marca zapowiedziano strajk generalny.

28 marca dramatyczne ostrzeżenie skierował do przywódców Solidarności prymas Wyszyński, bardzo przejęty groźbą inwazji radzieckiej, którą uważał za

realną. „Odpowiedzialność za życie dzieci polskich to jest odpowiedzialność straszna. Straszna. I dlatego też ja, zastanawiając się nad sytuacją, pytam siebie, sam siebie: czy lepiej z narażeniem naszej wolności, naszej całości, życia naszych współbraci już dzisiaj osiągnąć postulaty stawiane jak najśluszniesze, czy też lepiej osiągnąć coś niecoś dzisiaj, resztę odłożyć na później?” – pytał Wałęsę i delegację związku, która złożyła mu wizytę. Strajk generalny zacząć jest łatwo, ale skończyć trudno

- upominał śmiertelnie już chory prymas. - Jego konsekwencji przewidzieć nie sposób. A my mamy obowiązek zapewnić naszej ojczyźnie, naszym rodzinom, naszej kulturze narodowej, „żebyśmy jak najdłużej byli sami u siebie”. „Najpilniejszą sprawą jest ta, żebyście, chcąc wiele, nie stracili i tego, co macie dziś. Wiem, że ruch »Solidarności« jest tak prężny i tak zdecydowany, iż łatwo sobie wydrzeć nie da z rąk tego, co już osiągnął. Pytanie, jaką cenę wypadnie wam za to zapłacić?”.

Było to zasadnicze pytanie, jakie stawiał sobie w tych dramatycznych dniach także przywódca ruchu. „Radykałowie chcieli walczyć. Czym, pytam? Łomami przeciw ZOMO? Wiedziałem, że jedynym rozwiązaniem są negocjacje – pisze w *Drodze do prawdy*. – Mieliśmy rację i poparcie społeczne, to była nasza siła. Oni mieli wojsko, milicję i aparat opresji. Trzeba to było zrobić mądrze. Dlatego starałem się wyciszać nastroje i doprowadzać do ugody w takich sprawach. Wielu uważało to za

zdradę. Ale ja nie chciałem powtórki z tragedii Grudnia czy Ursusa [w 1976 roku - J. S.]". Politykę przewodniczącego w szerszych, geopolitycznych kategoriach ujmuje Celiński: „Wałęsa wiedział jedno, że Polska nie jest krajem suwerennym do końca i że mrzonką jest przeświadczenie, iż możemy jakby swoją siłą wewnętrzną wymusić zmianę statusu Polski”. Dlatego usiłował uniknąć starcia, sądząc, że istnieje szansa modyfikacji systemu na drodze pokojowej. Jak się miało okazać, myliły się



obie strony tego wewnątrzsolidarnościowego sporu.

Trudno powiedzieć, w jakim stopniu realna była wówczas groźba radzieckiej interwencji wojskowej, przed którą ostrzegali Amerykanie. Z całą pewnością wszakże Polska stała na krawędzi czynnej konfrontacji między władzą komunistyczną a wolnościowym ruchem społecznym. Negocjatorzy związku, wsparci przez nawołującego do ugody prymasa, chcieli tego za wszelką cenę uniknąć. 30 marca

wieczorem, po wielogodzinnych rozmowach z rządem, pod presją informacji o planach wprowadzenia stanu wojennego podpisali porozumienie tylko częściowo odpowiadające na postulaty ruchu. Tym samym udało się zakończyć najostrzejszy kryzys pomiędzy władzą a Solidarnością w 1981 roku.

Komunikat o zawieszeniu strajku generalnego, który miał się rozpocząć nazajutrz, ogłosił w telewizji Andrzej Gwiazda jako wiceprzewodniczący Solidarności. Większość

członków związku przywitała ugodę z zadowoleniem. „Przed URM-em w Warszawie tysiące ludzi. Czy będą strajkować? Delegacja związkowa »Solidarności« wychodzi z gmachu, trzymając ręce do góry z palcami ułożonymi w znak V. Udało się. Podpisali. Nie będzie strajku. Bliżej stojący podnoszą samochód z Wałęsą, ci co dalej padają sobie w ramiona. Wiwaty i łzy” – notował jeden z uczestników ruchu Jan Szewc. Radość z uniknięcia konfrontacji przeplatała się jednak z uczuciami zawodu i

rozczarowania.

Wynegocjowana głównie przez Wałęsę, Geremka i Chrzanowskiego tak zwana ugoda warszawska przyniosła ubolewanie rządu z powodu bydgoskiej akcji sił porządkowych i pobicia działaczy Solidarności, a także zapowiedź ukarania winnych (niezrealizowaną). Ważnym krokiem było uznanie legalności komitetów założycielskich Solidarności Rolników Indywidualnych i zobowiązanie do rychłego uregulowania tej kwestii. Dla wielu działaczy było

to jednak o wiele za mało. Podczas dwudniowych obrad Krajowej Komisji Porozumiewawczej 31 marca i 1 kwietnia w Gdańsku mocno krytykowano ugodę, a zwłaszcza podjęcie samowolnej, bo bez zgody KKP, decyzji o odsunięciu strajku generalnego. Wałęsa twardo się bronił. Wezwany do szczegółowego przedstawienia swojej roli podczas negocjacji beczelnie odparł: „Chciałem państwu powiedzieć, że wam nic nie mam do powiedzenia. Mogę wam pokazać teleksy z waszych zakładów [z poparciem

dla porozumienia - J. S.] i spytać, kogo reprezentujecie". Powoływał się też na radość warszawiaków po zawarciu ugody, którzy podnieśli mu samochód do góry. „W jakim imieniu ty przemawiasz, kogo ty narażasz? - pytał atakującego go Andrzeja Słowika. - Człowieku, wygrywaj, ale wygrywaj, nie narażając innych ludzi, możesz sam głowę podstawić". Dopóki ja będę służył związkowi, będę wykorzystywał wszystkie możliwości - mówił przewodniczący. - Mogę siebie

narazić, ale nie ludzi. Będę szedł krok po kroku, wykorzystując wszystkie kanały. „Zejdźcie na dół, zobaczcie, co ludzie myślą” – krzyczał do kolegów z KKP. „Cały świat mówi, że balansujemy na linie, a nie spadamy. Nie spadamy dzięki temu, że maksymalnie osiągamy – jednocześnie z ustępstwami! Ale krok po kroku, krok po kroku – inaczej nie wolno. I tak będę szedł; jeśli nie, dziękuję uprzejmie! Inaczej nie będę szedł!”.

Podczas tego dramatycznego posiedzenia Wałęsa rzucił

wyzwanie komisji krajowej,  
stawiając swoje osobiste  
przywództwo i wyczucie  
sytuacji przeciwko  
mechanizmom  
demokratycznego  
podejmowania decyzji. Polska  
zbyt wiele ryzykowała –  
twierdził, atakowany między  
innymi przez Jacka Kuronia za  
złamanie reguł związkowej  
demokracji. – I choćbym miał  
wystąpić przeciwko wszystkiemu,  
tak bym postąpił.

Głosowanie przebiegło po  
jego myśli – strajk generalny  
ogromną większością głosów



odwołano. Z funkcji rzecznika Solidarności zrezygnował jednak w proteście Karol Modzelewski, zarzucając liderowi związku lekceważenie statutu i skłonności monarchy absolutnego. Związek tak się ukształtował, że na jego czele stoi król – mówił Modzelewski, z zawodu historyk średniowiecza. – Koło króla jest dwór, a oprócz tego jest komisja krajowa, czyli parlament. „A ponieważ to nie jest malowany król, to rządzi dwór, a nie parlament”. Decyzje podejmowane są więc zgodnie z

mechanizmem monarchicznym, a stosunek do Lecha jest wiernopoddańczy. – Uważam, że jest w tym ogromne zagrożenie dla Solidarności, gdyż każda krytyka tego systemu decyzyjnego będzie uważana za spisek, atakowanie Wałęsy, atakowanie związku, próbę przejęcia władzy nad związkiem przez taką lub inną siłę. To mechanizm myślenia totalitarnego, który jest dla związku zabójczy.

W tej monarchicznej metaforze dwór stanowili doradcy Wałęsy, których

oskarżano o przejmowanie funkcji kierowniczych i monopolizowanie dostępu do uszu przewodniczącego. Zarzuty tego rodzaju miały odtąd stale towarzyszyć karierze politycznej Lecha Wałęsy i jego otoczeniu. Nie były bezpodstawne, choć samo porozumienie warszawskie z historycznej perspektywy można ocenić jako jeszcze jeden kompromis z władzą, dający Solidarności dziesięć dodatkowych miesięcy legalnego istnienia. Wysoką cenę za tę ugodę zapłacił sam Wałęsa. Jego pozycja uległa

poważnemu zachwianiu, choć nawet Modzelewski przyznawał, że atakowanie Wałęsy z zamiarem usunięcia go lub podważenia jego stanowiska przewodniczącego związkowych byłoby „samobójcze”, gdyż jest on „symbolem w oczach milionów ludzi tego Związku i jego jedności”. Oskarżany przez radykałów o tchórzostwo, obwiniany przez czołowych działaczy związkowych o skłonności dyktatorskie i zakulisową grę z władzą, nie odzyskał już w Krajowej Komisji Porozumiewawczej statusu

niekwestionowanego przywódcy, który potrafi przeforsować każdą decyzję.

W życiu rodziny Wałęsów kryzys bydgoski zaznaczył się boleśnie – będąca w ciąży pani Danuta poroniła. Lech nie mógł jednak poświęcić więcej czasu najbliższym. Jeśli chciał dotrzymać kroku wydarzeniom, nie mógł zmniejszyć tempa publicznej aktywności.

Gwałtowne różnice zdań we władzach związku nie wpływały na społeczną popularność jego lidera. Pozycja przewodniczącego wśród

szeregowych członków była bardzo silna. Można się było o tym przekonać w czerwcu 1981 roku podczas jego kolejnej tury po kraju. Wałęsa odwiedził Warszawę, Lublin, Chorzów, Jastrzębie, Opole, Wrocław i Poznań. W stolicy Wielkopolski podczas uroczystości odsłonięcia Pomnika Poznańskiego Czerwca 1956 apelował: „Jeśli chcemy, by takich pomników więcej nie było [...] nie pozwólmy się podzielić, nie pozwólmy się poróżnić, nie pozwólmy szukać »sił antysocjalistycznych«,

»kontrrewolucyjnych«,  
»warcholstwa i chuligaństwa«. W społeczeństwie oczywiście są i będą różnice zdań. Jednak świat pracy to nie kontrrewolucja, to nie anty-, anty-, tylko uczciwość i prawda. Dlatego przestańcie nas wreszcie obrażać, przestańcie nas wreszcie dzielić, bo ani obrażać, ani dzielić, to my się już nie damy”.

Była to odpowiedź na coraz bardziej agresywną kampanię prowadzoną przeciwko Solidarności przez władze sowieckie. 5 czerwca

Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego wystosowała specjalny list do polskich komunistów, ostrzegając ich, że PRL znalazła się w punkcie krytycznym. „Niekończące się ustępstwa wobec sił antysocjalistycznych i ich żądań doprowadziły do tego – twierdził Kreml – że PZPR krok za krokiem ustępowała pod naciskiem wewnętrznej kontrrewolucji, opierającej się na poparciu ze strony imperialistycznych ośrodków dywersji”.

Przywódca

owej



„kontrrewolucji” zapytany przez „Der Spiegel” o grożące Polsce widmo radzieckich czołgów odpowiedział: „Co panowie mówicie? Czołgi? Groźby? Ze strony naszych przyjaciół? To jest wykluczone. Panom się chyba coś pomieszało? Czy nie uważacie, panowie, że my, Polacy, zasłużyliśmy sobie na trochę spokoju, na trochę szczęścia? Wy, moi panowie ze »Spiegla«, wiecie z pewnością dobrze, co przeżyła Polska w czasie ostatniej wojny. To było zaledwie przed 36 laty, i miałyby się to powtórzyć

znowu? Matko Boska – nie!”. – Co czyni pana tak pewnym, że nie przyjdą? – zapytali niemieccy dziennikarze. – Ja nigdy nie powiedziałem, że z całą pewnością nie przyjdą. Jestem jednak przekonany, że byłby to obłąkańczy błąd, gdyby zdecydowali się na interwencję – odparł Wałęsa. Co by się wówczas wydarzyło? „Jestem przekonany, że w ostatecznym rachunku bylibyśmy zwycięzcami, choć nie wiem, za jaką cenę”. Sowieci nie tylko musieliby wówczas pilnować 30 milionów Polaków, ale też ich

wyżywić i popłacić długi PRL – mówił przewodniczący Solidarności. „Czy byliby oni również skłonni za nas pracować? [...] Proszę nie zapominać, że nasza historia uczyniła z nas ekspertów od ruchu oporu”.

Mocne słowa, bez owijania w bawełnę, miały demonstrować determinację polskiego ruchu wolnościowego. Nie szły jednak za nimi żadne gwałtowne czy wojownicze gesty. Wręcz przeciwnie. Gdy podczas jego pobytu w Lublinie ktoś zbezczeszczył pomnik Armii

Czerwonej, Wałęsa w telewizji określił to jako prowokację i wezwał miejscowych działaczy związku, aby oczyścili monument. „Jeśli tego nie zrobią, to ja osobiście pójdę i umyję ten pomnik. My robimy porządek, ale nie robimy prowokacji”. Pomnik został natychmiast oczyszczony.

W wywiadzie dla „Spiegla”, łagodząc ton, poświęcił kilka ciepłych słów generałowi Jaruzelskiemu („On jest żołnierzem, a ja lubię żołnierzy”). „Panie Wałęsa, pańskie stosunki z rządem są z natury rzeczy

napięte...” – prowokował niemiecki korespondent. „Co wy opowiadacie? To są wręcz stosunki miłosne. – Jakoś nie ma na to dowodów... – W tej sprawie zawsze się starałem o dyskrecję” – dowcipnie replikował przewodniczący.

31 maja na placu Zwycięstwa w Warszawie odbyła się niezwykła uroczystość – pogrzeb kardynała Stefana Wyszyńskiego z udziałem dziesiątków tysięcy ludzi. Wielkiego prymasa żegnano nie tylko jako głowę polskiego Kościoła, ale duchowego

przywódcę narodu. Jego pogrzeb stał się ogromną manifestacją wolnego społeczeństwa, którego reprezentantem była Solidarność. Złożony przez związkowców wieniec ozdabiał napis: „Niekoronowanemu Królowi Polski”. Lech Wałęsa stał na czele delegacji związku. Wraz z odejściem kardynała Wyszyńskiego tracił osobę, która była dlań autorytetem w sprawach wiary, ale też politycznego mentora i sojusznika w poszukiwaniu uczciwego kompromisu z

władzą komunistyczną. Z następcą Wyszyńskiego Józefem Glempem miał gorsze porozumienie. Nowy prymas nie rozumiał dobrze Solidarności. Nie miał też zaufania do polityki jej lidera. W pierwszych latach stanu wojennego skłonny był uznać sprawę związku za zamkniętą. Wałęsa odnosił się do kardynała Glempa z szacunkiem, ale nie korzystał z jego politycznych porad – robił to, co sam uważał za słuszne.

Na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim spotkał się w czerwcu z Czesławem

Miłoszem. Literacka Nagroda Nobla dla polskiego poety, przyznana jesienią 1980 roku, była w jakimś sensie uwieńczeniem pokojowej rewolucji Solidarności. Fragment jego wiersza „Który skrzywdziłeś człowieka prostego...” znalazł się na Pomniku Poległych Stoczniovców. W roku następnym dzięki zmianom wymuszonym przez niezależny związek Miłosz mógł po trzydziestu latach przyjechać do kraju. W napisanym później wierszu umieścił ruch



solidarnościowy i jego przywódcę w głównym nurcie polskiej historii. Nie była to wizja optymistyczna.

Po dwustu latach, Lechu  
Wałęso,

Po dwustu latach  
odzyskiwanej i znów  
traconej nadziei

Zostałeś naczelnikiem  
polskiego ludu

I tak jak tamten, masz przeciw  
sobie mocarstwa.

Gorzko jest wiedzieć, co  
wiemy, Lechu Wałęso.

Ofiara wymagana w każdym pokoleniu,  
Groby bohaterów bezimienne,  
Triumf zdrajców i oprawców,  
Których synom i córkom  
trzeba będzie przebaczyć.

We wrześniu i w październiku 1981 roku w dwóch turach odbył się I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ Solidarność. 896 delegatów przybyłych do Gdańska reprezentowało 9,5 miliona członków związku. Mieli przedyskutować zadania i cele ruchu, opracować program i wybrać władze, w tym

przewodniczącego. Związkowe zgromadzenie, złożone z przedstawicieli demokratycznie wybranych w regionach, było w istocie zgromadzeniem obywateli, tworzyło prawdziwy polski sejm. Dyskusje zjazdowe, toczone w gigantycznej hali Olivii, dotyczyły całej gamy spraw publicznych, wychodzących daleko poza kwestie związkowe czy pracownicze. 8 września uchwalono *Postanie do ludzi pracy Europy Wschodniej*, napisane przez Jana Lityńskiego oraz delegatów z Wielkopolski –

Henryka Sicińskiego i Bogusława Śliwę. Był to bezprecedensowy gest solidarności polskiego ruchu demokratycznego z obrońcami praw obywatelskich i związkowych w innych krajach komunistycznych. Postanie zostało przyjęte na Zachodzie ze zdumieniem, a na Wschodzie – z wściekłością. Lech Wałęsa nie należał do jego entuzjastów, ale w odpowiedzi na ataki przekonywał, że jest zupełnie zgodne z wezwaniem Karola Marksa: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”.

Najpilniej obserwowanym momentem zjazdu była chwila wyboru przewodniczącego podczas drugiej tury. Zawzięcie krytykowany przez wielu delegatów Wałęsa nie odzyskał pozycji niekwestionowanego lidera. Wyzwanie rzuciło mu trzech znanych działaczy: Marian Jurczyk ze Szczecina, Andrzej Gwiazda z Gdańska i Jan Rulewski z Bydgoszczy. Wszyscy atakowali go za ugodowość wobec władz i nieliczenie się z regułami wewnątrzwiązkowej demokracji. Wielu raziło jego

zachowanie podczas zjazdu,  
przekonanie o własnej  
wyjątkowości i wodzowskie  
gesty, izolowanie się od innych  
delegatów, lekceważenie  
wielogodzinnych debat.

„Niepokoi mnie jedna rzecz, że  
nie doceniamy partnera. Za  
bardzo uwierzyliśmy w siebie,  
jednocześnie nie zauważamy  
problemów i kłopotów, i metod,  
jakimi możemy być pokonani [...]

– odpowiadał krytykom Wałęsa.

– Naprawdę zdaję sobie sprawę  
z tego, że ten bój jest bardzo  
ciężki, że szanse wygrania przy  
nierozważnym postępowaniu

mamy bardzo minimalne”. Miał sporo racji, ale przemawiał kiepsko, bez swojej charakterystycznej ikry. Znacznie lepiej przyjęto wystąpienia jego konkurentów. Mimo to i mimo że wielu działaczy regionalnych nie zgadzało się z jego umiarkowaną linią i optowało za podjęciem antyrządowej ofensywy, 2 października został ponownie wybrany na przewodniczącego związku. Było to pewne, choć nie najwyższe zwycięstwo – uzyskał 55 procent głosów. Jego rywale proponujący odmienną,

ostrzejszą wobec władz politykę przegrali wyraźnie. Jurczyk uzyskał 24 procent głosów, Gwiazda 9 procent, Rulewski 6 procent.

Łatwiej było pokonać związkowych radykałów niż przekonać władze do kompromisu. Jesienią 1981 roku sytuacja w kraju zaogniła się. Komuniści nie traktowali ruchu społecznego jako partnera – widzieli w nim przeciwnika, którego należało ubezwłasnowolnić lub zniszczyć. Z drugiej strony przez Polskę przetaczała się lawina



lokalnych strajków. Wałęsa starał się ją powstrzymać, usiłując przekształcić żywiołowy protest w instrument politycznego nacisku. Protesty społeczne miały za podłoże coraz bardziej dotkliwe braki w zaopatrzeniu. Sklepy świeciły pustkami, nawet na kartki z trudem można było cokolwiek dostać. Na tym tle wybuchł strajk w Żyrardowie, gdzie zbuntowały się pracujące w zakładach włókienniczych kobiety. Z kolei województwo zielonogórskie zastrajkowało z powodu lokalnego konfliktu

pracowniczego. Do obu tych miejsc Wałęsa pojechał jako przeciwnik protestów, ale na miejscu zmienił zdanie. Nie chciał wystąpić przeciwko rozgoryczonym i zmęczonym ludziom, choć wiedział, że mnożenie protestów osłabia związek. Strajkujący mają rację, ale trzeba coś zrobić, żeby nie było takiej sytuacji, że w sześćdziesięciu miejscach w kraju jest strajk – mówił 30 października w Zielonej Górze. Nie miał jednak politycznego pomysłu, jak to zmienić.

Tego dnia premier Jaruzelski

mówił w sejmie o Radzie Porozumienia Narodowego, gromadzącej przedstawicieli partii i stronnictw sojusznicznych, Kościoła, Solidarności, związków branżowych oraz środowisk intelektualnych. Kompetencje tego ciała nie były sprecyzowane, a premier jednocześnie zagroził wprowadzeniem stanu wyjątkowego, ale można było uznać projekt powołania rady za wyciągnięcie ręki. Jednocześnie nowy prymas Polski Józef Glemp zaproponował rozmowę na ten temat w gronie „wielkiej

trójki”: szef partii,  
przewodniczący Solidarności  
i głowa Kościoła. Szukając  
kompromisu, Wałęsa przyjął –  
mimo sprzeciwu Komisji  
Krajowej – zaproszenie.  
Spotkanie „trójki” odbyło się 4  
listopada w Urzędzie Rady  
Ministrów. Dla premiera, który  
18 października objął też  
funkcję I sekretarza PZPR, był  
to zabieg przede wszystkim  
propagandowy, a może także  
próba wprowadzenia podziałów  
w Solidarności, oddzielenia jej  
rzekomo nieprzejednanej  
„ekstremy” od „rozsądnego”

przewodniczącego. Prymas przyjął propozycję utworzenia grupy inicjatywnej Rady Porozumienia Narodowego, ale Wałęsa ją odrzucił. Nie widział sensu w przystąpieniu związku do instytucji, w której dziewięćmilionowy ruch miałby tyle samo do powiedzenia co inne, całkowicie kontrolowane przez komunistów organizacje. Zbyt mocno przypominało to fasadowy Front Jedności Narodu, który stanowił parawan dla dyktatury PZPR.

Po spotkaniu na szczycie Wałęsa złagodził jednak ton,

zdystansował się nawet od podjętej w tym czasie uchwały Komisji Krajowej. Wzywała ona władze do zawarcia nowego porozumienia, obejmującego między innymi utworzenie Społecznej Rady Gospodarki Narodowej (kontrolującej politykę ekonomiczną) z udziałem Solidarności, reformę wymiaru sprawiedliwości i aparatu ścigania, demokratyzację samorządu terytorialnego i nowej ordynacji wyborczej do rad narodowych. Przewodniczący wyraził swoje *votum separatum* wobec tego

postulatu daleko idącej reformy systemu politycznego, popartego groźbą strajku generalnego. 6 listopada w imieniu Prezydium Komisji Krajowej oznajmił, że w negocjacjach z władzami państwowymi związek „będzie gotów do ustępstw i szukania kompromisów uzasadnionych naczelnym dobrem całego polskiego społeczeństwa”. Dla odparcia ataków rządowej propagandy, piętnującej Solidarność jako siłę polityczną zmierzającą do przejęcia władzy, Wałęsa podkreślił, że ruch „nie

uzurpuje sobie prawa do wyłącznej reprezentacji całości społeczeństwa polskiego”. Jakakolwiek sprzeczna z tym interpretacja ostatnich uchwał Komisji Krajowej – twierdził – „nie odpowiadałaby porozumieniom społecznym z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia, naruszałaby ona także statut naszego związku, zgodny w swej treści z konstytucją PRL”. Była to bezprecedensowa demonstracja niezgody między Komisją Krajową a przewodniczącym Solidarności, zagrażająca



jedności ruchu.

Naruszający tę jedność krok Lecha Wałęsy, w którym wielu działaczy widziało potwierdzenie jego skłonności dyktatorskich, był zapewne próbą politycznego uniku, zejścia z linii ostrzału propagandowego i zaakcentowania dążenia do kompromisu. W następnych dniach Wałęsa w tym samym duchu zabiegał o zakończenie wszystkich trwających jeszcze strajków, objeżdżając Małopolskę, Górny Śląsk i Dolny Śląsk. „Związek stoi

konsekwentnie na gruncie porozumienia społecznego i pragnie dialogu – żądając jednocześnie poszanowania dla swej niezależności i samorządności” – pisał do członków Solidarności w pierwszą rocznicę rejestracji. Podkreślał, że w trakcie spotkania „wielkiej trójki” premier deklarował „chęć porozumienia”.

Mimo pogarszającej się sytuacji w kraju wewnętrzne spory w ruchu solidarnościowym nie traciły na ostrości. Przewodniczącego

zaatakowano na zebraniu delegatów regionu gdańskiego, zarzucając mu odstąpienie od programu Solidarności. 14 listopada w proteście przeciwko polityce Wałęsy z Zarządu Regionu wystąpiła grupa Andrzeja Gwiazdy i Anny Walentynowicz. Oznaczało to ostateczne zerwanie dawnych kolegów z Wolnych Związków Zawodowych. Do przeciwników Wałęsy należał wówczas także Adam Michnik. Zarzucił przewodniczącemu tworzenie „sułtańskiego modelu związku”. Wszyscy bohaterowie Sierpnia

zostali odsunięci – mówił podczas jednego z publicznych spotkań w końcu listopada. – Cała dawna czołówka wymanewrowana i zastąpiona ludźmi, których podstawową kwalifikacją jest dyspozycyjność wobec Wałęsy. Michnika raziła także zbyt ugodowa postawa szefa związku wobec generała Jaruzelskiego.

Bezkompromisowy opozycjonista zmienił później zdanie – najpierw w stosunku do Wałęsy, potem wobec Jaruzelskiego.

Tymczasem

Wałęsa,

podróżując po kraju w listopadzie, nadal wzywał związkowców do opanowania. Władze coraz wyraźniej zmierzały jednak do siłowego rozwiązania konfliktu, czego sygnałem była brutalna pacyfikacja strajku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarnictwa w Warszawie przez siły specjalne. Zaraz po ataku na szkołę 2 grudnia przewodniczący zarządził ostre pogotowie w biurach zarządów regionów Solidarności w całym kraju i podjęcie przygotowań do gotowości strajkowej. Naciskał

wszakże, by bez dyspozycji kierownictwa związku nie podejmować żadnych akcji protestacyjnych. „Nie możemy dać się ponieść nerwom” – powiedział ludziom zgromadzonym przed warszawskim hotelem, w którym zatrzymało się Prezydium Komisji Krajowej. „Wierzcie mi, nikt z nas nie myśli o zdradzie, nikt z nas się nie cofnie, bo nie mamy się gdzie cofnąć” – obiecywał. Podczas obrad Prezydium Komisji Krajowej opowiadał się jednak za umiarkowaną linią

postępowania, krytykował  
podejmowanie przez  
przedstawicieli ruchu  
działalności politycznej, takiej  
jak utworzenie Klubów  
Rzeczypospolitej Samorządnej  
„Wolność-Sprawiedliwość-  
Niepodległość” (jego  
założycielami byli między innymi  
Jacek Kuroń, Zbigniew Bujak,  
Adam Michnik, Jan Lityński). Nie  
przyłączył się do głosów  
Kuronia i Bujaka, którzy stawiali  
kwestię wyborów do sejmu i  
powołania nowego rządu.

Nazajutrz, 3 grudnia, podczas  
spotkania z przewodniczącymi

regionów w Radomiu Wałęsa  
raptownie zmienił ton i  
zaatakował władze.  
Wystąpienie nagrane  
potajemnie przez agenta SB  
i odpowiednio podrasowane  
przez bezpiekę zostało  
przedstawione w państwowym  
radio jako dowód awanturniczej  
polityki lidera Solidarności.  
„Konfrontacja jest nieunikniona i  
konfrontacja będzie. – Trzeba to  
ludziom już uświadomić [...].  
Chcieliśmy jednak do tego czasu  
konfrontacji poparcia całego  
społeczeństwa – stąd  
odpuszczaliśmy pewne rzeczy.



Musimy ustalić – kiedy i jak dojdzie do konfrontacji – ma być wówczas, żeby związkowi było to na rękę. [...] My wygramy, ja tylko nie chcę, byśmy zapłacili maksymalną cenę, choć oczywiście tej walki nie można tak wygrać, żeby nic nie zapłacić. [...] Mogliśmy krzyknąć, że [robimy] powstanie listopadowe: więc dawaj za kosy i to byłaby piękna sprawa, ale dla nas przegrana”. – Dziękuję, będę się modlił – powiedział na koniec.

Nie uniknął jednak gwałtownej krytyki najbardziej

radykalnych członków  
kierownictwa związku za  
dotychczasową ugodowość. Na  
zakończenie obrad raz jeszcze  
zabrał głos, wykładając karty na  
stół. – Od 1970 roku nie wierzę  
nikomu w tym systemie, nikomu,  
kto sprawuje władzę –  
stwierdził. – Zdajmy sobie  
wreszcie sprawę, że my  
rozkładamy system. „Od  
początku było jasne, że walka  
będzie – trzeba tylko dobrać  
odpowiednie środki, żeby jak  
najwięcej społeczeństwa  
rozumiało tę walkę”. Trzeba  
było głośno mówić, że kochamy

socjalizm, kochamy partię, kochamy Związek Radziecki, a przez fakty dokonane robić swoją robotę i czekać na konfrontację. Ale dziś sprawy zaszły już tak daleko, że trzeba ludziom powiedzieć, w co gramy, że gramy wysoko, że zmieniamy realia – przekonywał kolegów. „Zmiana systemu nie może obejść się bez targania się po szczękach – nie ma mowy. Tylko trzeba ją wygrać”.

Czy Lech Wałęsa myślał o wygranej w bezpośredniej, siłowej konfrontacji z władzą? Z pewnością nie. Na dziesięć dni

przed wprowadzeniem stanu wojennego pokazywał działaczom Solidarności perspektywę długiej walki politycznej z komunizmem, która nie mogła uniknąć ofiar. Ważne jest, podkreślał, aby było ich jak najmniej oraz by walka w ostatecznym rachunku zakończyła się sukcesem, czyli zmianą systemu. Gwałtowna retoryka radomskiego wystąpienia wynikała z przekonania o nadciągającej próbie sił. Przewodniczący obawiał się, że jego kompromisowa linia może

zostać wykorzystana w rządowym scenariuszu przeciwko opozycyjnym radykałom. „W Radomiu z całą premedytacją użyłem ostrych sformułowań, które sprawiły, że nie pozwoliłem się odłączyć od całości Związku, na który już szedł atak” – pisze w *Drodze nadziei*.

Na przełomie listopada i grudnia przeprowadził jeszcze rozmowy z zachodnimi dyplomatami, między innymi z ambasadorami Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Szukał również

wsparcia w Episkopacie. W ostatnim tygodniu przed wprowadzeniem stanu wojennego aż trzy razy spotykał się z prymasem Józefem Glempem, który go namawiał na powrót do rozmów o Radzie Porozumienia Narodowego. Jednak Jaruzelski nie był tym zainteresowany. Decyzja o zdławieniu pokojowej rewolucji Solidarności została już podjęta.

Podczas ostatniego posiedzenia Komisji Krajowej, które odbyło się 11 i 12 grudnia w Stoczni Gdańskiej, Wałęsa był znacznie mniej aktywny.

Otworzył posiedzenie jeszcze jednym wezwaniem do kompromisu. – Deklaruję z całą odpowiedzialnością: jesteśmy za porozumieniem, nie chcemy żadnej konfrontacji – mówił w sali BHP, ale było to już tylko zaklinanie rzeczywistości. W dyskusji stwierdził, że sprawy zaszły bardzo daleko. Wyglądał na zrezygnowanego. Poza próbą powrotu do „porozumienia trzech” według modelu z 4 listopada, w czego realność sam już chyba nie wierzył, nie miał istotnych propozycji. Stać go było jeszcze na drwinę z

najbardziej radykalnie  
nastawionych kolegów,  
wierzących, że władza leży  
właściwie na ulicy. –  
Poprosiłem lekarzy, by zbadali,  
czym nakarmiono Komisję  
Krajową w trakcie obiadu –  
oznajmił. Nadchodzące do  
stoczni wiadomości o dziwnych  
ruchach wojska i milicji, o  
przerwaniu połączeń  
telefonicznych zlekceważył, jak  
niemal wszyscy pozostali. 12  
grudnia około północy, po  
zakończeniu obrad, wrócił do  
domu.



# Więzień stanu

Z soboty na niedzielę 13 grudnia 1981 roku wprowadzono stan wojenny.

Delegalizując Solidarność, komuniści liczyli, że uda im się namówić do współpracy niektórych przywódców związku. Około północy w całym kraju do domów działaczy ruchu zaczęła dobijać się policja. Aresztowanych odwożono do obozów internowania. Lecha Wałęsę potraktowano

specjalnie. Do wyjazdu do Warszawy „na rozmowy polityczne” próbowali go najpierw nakłonić partnerzy rozmów sierpniowych: szef partii w Gdańsku Tadeusz Fiszbach i wojewoda Jerzy Kołodziejcki. Gdy o 1.30 w nocy przyjechali pod jego blok na Zaspie, był on już otoczony kordonem milicji. Wałęsa, w piżamie, wpuścił sekretarza i wojewodę do swego mieszkania, ale kategorycznie odmówił udania się do stolicy, żądając uwolnienia aresztowanych. Fiszbach

i Kołodziejski odjechali, by skontaktować się z centralą. „Za pięć minut znowu dzwonek do drzwi – opowiada pani Danuta. – W wizjerze zobaczyłam pięciu milicjantów i trzech cywilów. Byli wyposażeni w metalowe łomy do wyważania drzwi. Kazali otwierać, bo przyszli po męża. Powiedziałam, że nie otworzę, dopóki nie wrócą Fiszbach z wojewodą. Czekali pod drzwiami z godzinę”. Lech zgodził się wyjść z domu dopiero około 3.00, gdy Fiszbach i Kołodziejski przyjechali po niego ponownie.

Został przewieziony specjalnym samolotem do Warszawy i umieszczony w odosobnieniu. Na pierwszej konferencji prasowej stanu wojennego rzecznik rządu Jerzy Urban oznajmił, że przebywa on w stolicy, „traktowany jest z całym szacunkiem należnym przewodniczącemu »Solidarności«” i nie został internowany.

Władzom wyraźnie zależało, by szefowi związku okazać pewne względy. Dla generała Jaruzelskiego przywódca Solidarności był bardzo ważną

kartą polityczną – gdyby udało się go wykorzystać do poparcia stanu wojennego, szanse powodzenia całej operacji znacznie by wzrosły. Usiłowano więc nakłonić go do kolaboracji. Już 13 grudnia z więźniem numer jeden rozmawiał minister do spraw związków zawodowych Stanisław Ciosek. „Te wstępne rozmowy nic nie dały, bo nic dać nie mogły – wspomina Wałęsa w *Drodze do prawdy*. – Trzynastego grudnia władza zaproponowała mi wspólną przebudowę socjalizmu, w której miałem

odgrywać rolę przywódcy nowego, zdrowego robotniczego nurtu. Taka była propozycja: jeśli zgodzę się na współpracę, nie będę internowany i nadal będę kierował związkami". Ciosek (z wicepremierem Rakowskim Wałęsa w ogóle nie chciał rozmawiać) próbował skłonić go do występu w telewizji lub choćby wydobyć odeń jakieś ugodowe oświadczenie. Bez rezultatu.

Już w niedzielę wieczorem pani Danuta mogła porozmawiać z mężem z rządowego telefonu wojewody Kołodziejskiego.

Lech powiedział jej: – No, stało się, może to potrwać rok. Władze myślały zapewne, że spodziewająca się dziecka żona będzie go nakłaniać do kapitulacji. Z taką samą intencją dopuszczono do Wałęsy przedstawicieli Kościoła. Sekretarz Episkopatu biskup Bronisław Dąbrowski i jego współpracownik, rzecznik prasowy Episkopatu ksiądz Alojzy Orszulik, byli u niego już 14 grudnia. Rozmowa odbyła się w obecności pułkownika Adama Pietruszki z MSW, który kilka lat później będzie jednym z

organizatorów porwania i zamordowania księdza Jerzego Popiełuszki. Wałęsa powiedział księżom, że jest gotowy do negocjacji z władzami, ale z udziałem Prezydium Komisji Krajowej i doradców Solidarności.

Ksiądz Orszulik mógł odwiedzić go znowu 20 grudnia. Wówczas, po śmierci górników zabitych przez milicję w kopalni Wujek, Wałęsa zmienił ton; oświadczył, że nie będzie rozmawiać z „rządzącymi bandytami”, którzy strzelali do ludzi. Do rozmów nie przystąpi –



stwierdził – bo są one potrzebne partii, a nie Solidarności. Podjął też głodówkę protestacyjną. W końcu dał się przekonać duchownemu do mniej pryncypialnego stanowiska. 23 grudnia Orszulik zanotował: „stan psychiczny jego [Wałęsy] jest dobry, choć przeżywa on wewnętrzny dramat i szamocze się ze sobą. Po mojej rozmowie rozpoczął przyjmować posiłki, co oznaczało, że przygotowuje się do rozmów, tymczasem tych rozmów nie ma”. Rząd początkowo zgodził się na

spotkanie więźnia ze związany  
z Episkopatem doradcą  
Solidarności Wiesławem  
Chrzanowskim, ale w ostatniej  
chwili je odwołał.

Pierwszym miejscem  
uwięzienia Lecha była willa w  
Chylicach pod Warszawą,  
należąca wcześniej do jednego z  
sekretarzy Komitetu  
Centralnego PZPR z ekipy  
Edwarda Gierka. Położonego w  
obszernym parku budynku  
strzegło wojsko. Straż  
przyboczną sprawowali  
funkcjonariusze Służby  
Bezpieczeństwa. Przywódcę

Solidarności traktowano lepiej niż innych internowanych. Miał do dyspozycji radio, telewizor i oficjalną prasę (wychodziły wówczas tylko partyjna „Trybuna Ludu” i organ wojska „Żołnierz Wolności”). Pozwalano mu, tak jak pozostałym więźniom, na odwiedziny żony i dzieci; co niedziela przyjeżdżał ksiądz Orszulik i odprawiał mszę.

Przed świętami Bożego Narodzenia przeniesiono go do rządowej willi w Otwocku. Nieopodal, w Miedzeszynie, w okresie stalinowskim więziony

był Władysław Gomułka. Po kilku latach aresztu Gomułce udało się w 1956 roku powrócić do władzy. Jaki los czeka mnie? – zastanawiał się Wałęsa. 22 grudnia spotkał się z żoną i przybyłym wraz z nią księdzem Henrykiem Jankowskim. W dzień Bożego Narodzenia biskup Zbigniew Kraszewski doręczył Wałęsie list od papieża, datowany na 18 grudnia. „W tym szczególnie trudnym momencie całym sercem jestem z Panem i Jego Rodziną, ze wszystkimi, którzy cierpią – zapewniał Ojciec Święty. –

Nadzieje ludzi pracy, moich Rodaków, gorąco polecam Temu, który dla nas ludzi i dla naszego zbawienia zstąpił z nieba i narodził się z Maryi Dziewicy”. Jan Paweł II przekazał Wałęsie także list, który skierował do premiera Wojciecha Jaruzelskiego: „Zwracam się do Pana, Generale, z usilną prośbą i zarazem gorącym wezwaniem, ażeby sprawy związane z odnową społeczeństwa, które od sierpnia 1980 były załatwiane na drodze pokojowego dialogu, wróciły na

tę samą drogę. Nawet jeżeli jest ona trudna, nie jest to niemożliwe. Domaga się tego dobro całego narodu. Domaga się również opinia całego świata, wszystkich społeczeństw, które słusznie wiążą sprawę pokoju z poszanowaniem praw człowieka i praw narodu. Ogólnoludzkie pragnienie pokoju przemawia za tym, ażeby nie był kontynuowany stan wojenny w Polsce. [...] Zwracam się do Pańskiego sumienia, Generale, do sumień wszystkich tych ludzi, od których zależy w tej chwili

decyzja”.

W postscriptum listu do premiera papież podkreślił, że apel ten przekazuje też „na ręce P. Lecha Wałęsy, Przewodniczącego »Solidarności«”. Wskazywał w ten sposób jednoznacznie, z kim generałowie powinni prowadzić dialog. Jednak komuniści wyobrażali go sobie inaczej niż Ojciec Święty.

Władze liczyły na współudział Wałęsy w tworzeniu nowej Solidarności, pozbawionej antykomunistycznego ostrza i odgórnie kontrolowanej. Jego





Domagał się jednak, by w negocjacjach brały udział statutowe organy związku – czyli Prezydium Komisji Krajowej, on sam jako przewodniczący oraz główni doradcy Solidarności: Bronisław Geremek i Tadeusz Mazowiecki. Podkreślał, że negocjacje mogą prowadzić tylko ludzie wolni. Zapewniał, że nie będzie wzywał do strajków ani do czynnego oporu, jest gotów pomóc generałowi Jaruzelskiemu w odbudowywaniu wzajemnego zaufania w kraju.

„Historia naszych wspólnych rozmów [jego rządowym partnerem był Stanisław Ciosek – J. S.] jest właściwie historią wyzbywania się stopniowo postawionych przeze mnie warunków wstępnych i muszę przyznać, że ustępowałem tak daleko, aż doszedłem w końcu do propozycji wysuwanych przez Kościół” – opowiada w *Drodze nadziei*. Zgodził się więc, by w negocjacjach brali udział tylko doradcy związani z Episkopatem: Wiesław Chrzanowski, Jan Olszewski, Władysław Siła-Nowicki,

Andrzej Wielowieyski, którzy nie budzili gwałtownych sprzeciwów komunistów i nie byli, w przeciwieństwie do Geremka i Mazowieckiego, internowani. W połowie stycznia w złożonym na ręce księdza Orszulika oświadczeniu napisał: „Jestem gotów do rozmów bez wstępnych warunków i na zasadach, jakie ustalą przedstawiciele Rządu i Episkopatu”. Jednak władze nie przedstawiły przywódcy Solidarności żadnej poważnej oferty politycznej. W gruncie rzeczy nie oczekiwały bowiem

współpracy w szukaniu wyjścia z kryzysu, lecz kapitulacji.

Z notatek, jakie ksiądz Orszulik robił z kolejnych spotkań w grudniu i styczniu, wynika, że Wałęsa chciał wówczas przede wszystkim skłonić komunistów do rozpoczęcia negocjacji. Toteż był gotów na poważne ustępstwa, w tym na pozbycie się działaczy uważanych przez władze za ekstremistów. Z przedstawicielami rządu, którzy przyjeżdżali do Otwocka, rozmawiał bez oporów. W charakterystyczny dla siebie

sposób klucząc i zwodząc  
rozmaitymi obietnicami,  
składając sprzeczne deklaracje,  
prezentował się jako partner  
gotowy do porozumienia nawet  
z autorami stanu wojennego. W  
istocie jednak nie podejmował  
żadnych poważnych  
zobowiązań. Jednakże nie zmylił  
czujności swoich przeciwników.  
Minister obrony narodowej i  
jeden z najbliższych  
współpracowników  
Jaruzelskiego generał Florian  
Siwicki opowiadał sowieckiemu  
marszałkowi Wiktorowi  
Kulikowowi o nadziejach władz

PRL na pozyskanie przewodniczącego Solidarności. Wałęsa zawiódł te nadzieje. „Myślę jednak, że on się nie zmieni. To kanalia” – ocenił Siwicki już 16 grudnia. Nie lepszą opinię na temat uwięzionego przeciwnika miał Stanisław Ciosek. „Idea wykorzystania Wałęsy jest kompletnie nierealna. Wałęsa jest parszywym, prymitywnym i zakłamanym typem” – zwierzał się przedstawicielom władz partyjnych NRD. „Obiecał współpracować z rządem i stworzyć taki program, który

całkowicie będzie się zgadzał z celami rządu. Ale już podczas drugiego spotkania zażądał spotkania ze swymi doradcami i z Prezydium KK »Solidarności«. Pozostawiony na wolności natychmiast złamałby złożone obietnice” – pisano w notatce z 24 grudnia 1981 roku, sporządzonej na podstawie relacji polskich towarzyszy.

Na początku stycznia 1982 roku z kolei Kazimierz Barcikowski, członek kierownictwa PZPR, w rozmowie z biskupem Dąbrowskim skarżył się na

„zapiiekłość” przewodniczącego. „Wiara w możliwość porozumienia poprzez Wałęsę upadła” – oznajmił biskupowi. Władze musiały uznać, że gra z nim nie rokuje politycznych nadziei na sukces. Na wszelki wypadek znów go przeniesiono – do dawnego pałacu Branickich w Otwocku.

Operacja „Renesans” poniosła fiasko. Generałowie uznali, że nie warto dłużej podtrzymywać fikcji, że Wałęsa nie jest więźniem. 26 stycznia wręczono mu urzędowe postanowienie o internowaniu, na którym



widniała data 12 grudnia 1981 roku. Do jego uwięzienia komuniści przygotowywali się jednak znacznie wcześniej. Sporządzony przez gdańską bezpiekę arkusz ewidencyjny internowania Lecha Wałęsy nosi datę 28 listopada 1980 roku. Służba Bezpieczeństwa wyrażała w nim słuszne skądinąd przekonanie, że w sytuacji zagrożenia bezpieczeństwa państwa „figurant” pozostawiony na wolności „utworzy niezależny od władz ośrodek decyzyjny celem sabotowania zarządzeń i decyzji

władz polityczno-administracyjnych PRL, na co wskazuje dotychczasowa działalność i predyspozycja do tworzenia i kierowania dużymi grupami ludzi”. Późniejsza aktywność Wałęsy – od listopada 1980 do grudnia 1981 roku – mogła jedynie umocnić te obawy.

W przemyconym z Otwocka grypsie, który wraz z nakazem internowania został opublikowany na łamach francuskiego dziennika „Le Monde”, lider Solidarności wskazał, że zarówno on, jak i

światowa opinia publiczna zostali oszukani przez władze PRL twierdzące, że nie jest internowany. „Ten partner nigdy nie był i nie będzie uczciwy” – pisał. Dlatego nie można zrobić kroku w tył ani pozwolić na wyeliminowanie nikogo z własnych szeregów, bo wprowadzanie podziałów wśród przeciwników jest starą metodą komunistów. Podpisanie dokumentu o internowaniu Wałęsa odmówił. Etap, w którym był gotów do częściowego uznania stanu wojennego i do daleko idących

ustępstw dla uratowania legalności związku, został zamknięty.

Stosunkowo łagodne traktowanie przywódcy związków przez generałów miało swoje granice. Władze nie zgodziły się udzielić mu przepustki na chrzest urodzonej już w stanie wojennym córki – Marii Wiktorii. Zorganizowana w marcu 1982 roku w kościele na gdańskiej Zaspie uroczystość zgromadziła około 30 tysięcy osób i przekształciła się w solidarnościową manifestację. Jeszcze większa manifestacja

odbyła się w Gdańsku 1 maja. Ogromny pochód przemaszzerował przed siedzibą związku, po czym doszedł pod dom lidera ruchu. On sam mógł wysłuchać nagrania zrobionego podczas tej manifestacji, które przywiozła mu żona.

Łosem uwięzionego Wałęsy stale interesował się papież. O symbolicznej postaci przywódcy Solidarności Jan Paweł II wspominał w liście do Jaruzelskiego z kwietnia 1982 roku. Natomiast synowski stosunek Wałęsy do polskiego papieża – a jednocześnie brak

zapału do poważnej lektury – świetnie pokazuje anegdota opowiedziana przez księdza Orszulika. Na propozycję przeczytania encykliki *Laborem exercens* przewodniczący miał odpowiedzieć: Proszę księdza, po co ja będę to czytał? Ja się z papieżem zgadzam.

Na początku maja próbowano nakłonić go do udziału w programie telewizyjnym na temat ruchu związkowego. Wałęsa się zgodził, ale postawił swoje warunki: publiczna zapowiedź programu na dwa dni przed nagraniem oraz prawo do

dwuminutowego komentarza po nagraniu. Dawaloby mu to minimum gwarancji, że jego wypowiedź nie zostanie zmanipulowana. Władze akurat tym nie były zainteresowane, więc do nagrania nie doszło.

11 maja 1982 roku przewieziono go helikopterem z Otwocka do Arłamowa, rządowego ośrodka wypoczynkowego w Bieszczadach, położonego tylko kilka kilometrów od granicy z ZSRR. Izolowany od innych działaczy Solidarności i oddalony od głównych

ośrodków ruchu, miał być kartą przetargową władz lub z wolna zostać zapomniany. Tym, co czyniło go szczególnie kłopotliwym, był krajowy i międzynarodowy prestiż, jakim się cieszył. Komuniści podejmowali więc próby oczernienia Wałęsy – fabrykowali zarzuty pod jego adresem nie tylko polityczne, ale wręcz kryminalne czy obyczajowe. O kulisach tej akcji wciąż wszystkiego nie wiemy. Wiadomo jednak, że była ona zaplanowana przez kierownictwo resortu – ministra



Czesława Kiszczaka i generała Władysława Ciastonia, a przeprowadzona przez Biuro Studiów MSW, komórkę tajnej policji powołaną specjalnie do walki z Solidarnością. Jednym z najbardziej wydajnych pracowników biura został Eligiusz Naszkowski, były przewodniczący regionu pilskiego związku, a jednocześnie agent SB o pseudonimie „Grażyna”, który w listopadzie 1981 roku potajemnie nagrał słynne posiedzenie radomskie.

Z akt MSW wynika, że

postanowiono skompromitować  
Wałęsę za pomocą  
sfalszowanych dokumentów  
przedstawiających „postać  
przewodniczącego NSZZ  
Solidarność jako agenta SB  
wykonującego wszystkie  
zalecenia swoich opiekunów”.  
Chodziło o to, aby „przedłużyć  
działalność TW ps. »Bolek«, tj. L.  
Wałęsy, o minimum 10 lat  
(ostatnie doniesienie »Bolka«  
pochodziło z 1970 r.)” – pisał w  
1985 roku major Adam Styliński  
z Biura Studiów MSW. Sporym  
nakładem sił przygotowano  
zatem fikcyjne donosy z lat

osiemdziesiątych z  
podrobionymi podpisami  
Wałęsy. Później funkcjonariusze  
SB podrzucili kilku osobom  
z ruchu solidarnościowego kopie  
informacji uzyskanych od  
„Bolka” w latach  
siedemdziesiątych oraz odezwy  
sygnowane przez rzekomego  
działacza podziemia o  
pseudonimie „Mieszko II”. „Kto  
to jest Lech WAŁĘSA? To jest  
agent UB »BOLEK«!!! Faryzeusz  
i łobuz nad łobuzami! Już w  
czasie tragedii Grudnia 1970 r. i  
wydarzeń po nim następujących  
sprzedawał bezpieczeństwo swoich

kolegów [...]. Po powstaniu Wolnych Związków Zawodowych w Gdańsku przeniknął do nich, aby szpiclować takich działaczy jak Ania Walentynowicz [...]. Przy pomocy swoich szefów z UB sprytnie stanął na czele strajków w 1980, a później zawładnął powstającą »Solidarnością«. I tu się zaczyna szczyt jego zdradzieckiej, kreciej roboty. [...] Majstersztykiem jego manewrów z »Solidarnością« było przygotowanie dla rządu gruntu do wprowadzenia stanu wojny

[...]. Ponieważ znał termin wprowadzenia stanu wojny, przekładał dwukrotnie termin obrad Komisji Krajowej NSZZ »Solidarność« po to, aby umożliwić wojsku i bezpiece aresztowanie członków Komisji Krajowej w Gdańsku i w drodze do domu. Specjalnie odstąpił regiony, pozbawiając ich przywódców” – głosiła jedna z fałszywych ulotek.

„Drugi etap operacji – raportował major Styliński – polegać miał na rozprowadzeniu sporządzonych doniesień w taki sposób, aby doprowadzić do

prawdziwego lub pozornego sądu nad Wałęsą oraz sporego poruszenia całego byłego NSZZ Solidarność. Czekano jedynie na stosowny moment". Odpowiednia chwila nadeszła, gdy kandydatura Lecha Wałęsy została wysunięta do pokojowej Nagrody Nobla w 1982 roku. Do każdego z członków Komitetu Noblowskiego Służba Bezpieczeństwa wysłała wówczas na ich prywatne adresy listy z rzekomymi donosami robotniczego przywódcy (operacja nosiła kryptonim „Sąd”). Podobne

pismo doręczono ambasadorowi Norwegii w Warszawie (operacja „Ambasada”). „Działania powyższe spełniły swoje zadanie, laureatem Nagrody Nobla [w 1982 roku] została pani Myrdal” – z satysfakcją stwierdzał oficer SB.

Mimo tych fałszerstw i manipulacji (ich całkowitych rozmiarów nie znamy) pozycja lidera Solidarności była zarówno w Polsce, jak i na świecie wysoka. W połowie maja 1982 roku Wałęsę odwiedził w areszcie specjalny wysłannik François Blancharda, sekretarza

generalnego Międzynarodowej Organizacji Pracy, na co poszukujące uznania za granicą władze stanu wojennego musiały się zgodzić. Więzień zapewnił go, że jest gotów do poważnego dialogu z rządem. Poparcie międzynarodowe było niezmiernie ważne dla zawieszanej Solidarności. Wałęsa przemycił z Arłamowa upoważnienie dla znajdującego się na Zachodzie Bohdana Cywińskiego, katolickiego intelektualisty, a w 1981 roku zastępcy redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność”. Dzięki



temu Cywiński mógł go reprezentować w czerwcu 1982 roku na posiedzeniu MOP w Genewie.

Latem pojawiły się nowe, niezbyt konkretne propozycje rządu. Mowa była o ewentualności odwieszenia Solidarności pod warunkiem ograniczenia prawa do strajków i uznania, że ruch popełnił błędy w latach 1980–1981. Kryło się w tym wiele pułapek, ale Wałęsa gotów był dyskutować. Upierał się wszakże, aby w rozmowach uczestniczyło Prezydium Komisji Krajowej.

Powiedział, że jest przeciwny manifestacjom i walkom ulicznym, ale na razie nie widzi innego wyjścia, toteż negocjacje należy rozpocząć jak najszybciej. Władze jednak, jak się zdaje, tylko sondowały gotowość więźnia stanu do ustępstw. Test wypadł negatywnie, więc rozmów nie podjęto.

Lech Wałęsa czuł się w Arłamowie lepiej niż w podwarszawskich willach. Najbardziej doskwierała mu samotność. Otoczony dzień i noc policyjną obstawą nie traktował swych strażników

wrogo. Zdarzało mu się nawet wspólnie z nimi jeść obiad. Znienacka zamieniał wówczas talerze. – To danie to pan zje, może mnie chcą otruć, to niech pana otrują – tłumaczył funkcjonariuszom. Karmiono go bardzo dobrze. Lodówka była zawsze pełna, nie brakowało nawet szampana. Na początku Wałęsa dysponował też radiem, mógł słuchać Wolnej Europy. Gdy pozwalające na to zakresy fal krótkich wymontowano, przydały mu się umiejętności elektryka. Sam przestroił radio z powrotem na wrogą rozgłośnię.

Po jakimś czasie przemycono dla niego miniaturowy radiodbiornik ze słuchawką, z którego mógł potajemnie korzystać.

W czerwcu i lipcu przez kilka tygodni przebywała u niego żona z całą siódemką dzieci. Niemal co niedzielę odwiedzał go ksiądz Alojzy Orszulik, który obok bardzo ważnej posługi duchowej spełniał też misje innego rodzaju. W połowie lipca przywiózł mu memoriał opracowany przez pozostałych na wolności ekspertów Solidarności oraz

grypsy od Andrzeja Gwiazdy, Bronisława Geremka i Tadeusza Mazowieckiego, wciąż uwięzionych w obozach dla internowanych. Aby móc swobodnie rozmawiać o sprawach publicznych, Orszulik i Wałęsa puszczali głośno radio i telewizor, co miało zakłócić podsłuch. Jednak SB znalazła na to sposób – wyłączano prąd. Wychodzili więc na balkon, gdzie ksiądz szeptem przekazywał przewodniczącemu wiadomości polityczne z kraju.

Podczas rozmów z Orszulikiem internowany

kryptonim „333”, jak w raportach nazywała Wałęsę bezpieka, wciąż wracał do swojej propozycji rozmów z władzami przy udziale doradców. Nowym warunkiem, jaki postawił, była obecność przedstawiciela Kościoła podczas ewentualnych negocjacji. Dopóki do takich negocjacji nie dojdzie, dopóty należy jednak utrzymać twardą linię wobec ekipy Jaruzelskiego. Opowiadał się więc za sankcjami gospodarczymi Zachodu wobec PRL, popierał też manifestacje

solidarnościowe, mimo ryzyka ofiar, jakie ze sobą niosły. Równocześnie mówił o konieczności przekonania władz, że nie muszą się bać ani jego, ani Solidarności. Niezależnego związku nie powinni się obawiać również Rosjanie.

To ostatnie stwierdzenie było pośrednią odpowiedzią dla generała Kiszczaka, który na początku sierpnia opowiadał księdzu Orszulikowi, że „słowa: »Solidarność« i »Wałęsa« wywołują dreszcze u tych, gdzie słońce wschodzi”. Zabiegi o

zmianę „kontrrewolucyjnego” wizerunku niezależnego związku i jego przywódcy, jaki funkcjonował w Moskwie, z pewnością mogły się przydać, ale możliwości w tej mierze były raczej skromne. Podejmowane przez Wałęsę wysiłki, by prezentować gotowość do porozumienia, miały zresztą swoje granice. Mimo zachęt odmówił napisania prośby do generała Jaruzelskiego o zwolnienie z internowania. – Nie prosiłem generała, aby mnie zamknął, nie będę go prosił o uwolnienie – twierdził. Przed



zapowiedzianymi przez podziemie demonstracjami w rocznicę Sierpnia spodziewał się, że władze będą go chciały wykorzystać do uśmierzania nastrojów. Zapewnił księdza, że nie zgodzi się na występ przed kamerami, więc jeśli go pokazano w telewizji, będzie to oznaczać manipulację. Świat powinien się o tym dowiedzieć. „Wałęsa oświadczył, że nie da się złamać ani namówić na kolaborację” – zapisał rzecznik prasowy Episkopatu.

W połowie września zupełnie stracił nadzieję na negocjacje

z rządem. „No cóż, księżę, dyplomacja zawiodła, za słabośmy się stawiali na początku. Rozmów z nami nie podjęto” – oznajmił swemu powiernikowi. Ksiądz Orszulik odparł, że nie wiadomo jeszcze, kto wygrał, a kto przegrał. I przekazał Wałęsie obrazek Miłosierdzia Bożego z dedykacją od papieża: „Dla p. Lecha Wałęsy z serdecznym błogostawieństwem – Jan Paweł II”. Nawet jeśli Warszawa nie chciała traktować lidera Solidarności jako partnera, to mógł on wciąż liczyć na

wsparcie z Rzymu.

Wałęsa nie zamierzał pójść na ugodę za cenę własnej niezależności, daleki był jednak od radykalnych haseł. Wezwania podziemnej Solidarności do strajków i demonstracji ulicznych traktował z rezerwą, lękając się, że nadwerężą związek, którego pierwszorzędnym zadaniem jest przetrwanie. „Obawiałem się, że te kolejne zrywy nie przynosiły nic poza falą aresztowań i zatrzymań coraz większej liczby działaczy. Groziło to osłabieniem wpływu »S« na

społeczeństwo” – wspomina w *Drodze nadziei*. Chyba lepiej niż inni działacze rozumiał, że tak zwana milcząca większość jest bardzo daleka od nastrojów rewolty i pragnie przede wszystkim spokoju.

4 października do Arłamowa przyjechał minister Ciosek. Nie był to jednak przełom oczekiwany przez więźnia stanu. Ciosek przywiózł dla niego ofertę niezbyt honorowej kapitulacji. Poinformował Wałęsę o nowej ustawie o związkach zawodowych, przewidującej trwałą

delegalizację Solidarności, i zaproponował mu objęcie wysokiego stanowiska państwowego. W grę wchodziło także wejście do rady Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego, fasadowej instytucji kontrolowanej przez PZPR, lub do rady konsultacyjnej do spraw związków zawodowych tworzonej przy sejmie. Klucz do wolności leży w rękach samego Wałęsy. Jeśli przyjmie jedną z tych ofert, następnego dnia zostanie zwolniony – oświadczył Ciosek. Sugerował

też możliwość wyjazdu za granicę – jakoby po odbiór rozmaitych nagród przyznanych mu na świecie. Przewodniczący odparł, że za granicę nie pojedzie, bo jest przekonany, że nie wpuszczono by go z powrotem do kraju. – Oni mnie nie doceniają – powiedział księdzu Orszulikowi. – Myślą, że jestem gamoniem i prostym robotnikiem, a ja bym ich wszystkich sprzedał.

Odrzucił zarówno wszystkie propozycje Cioska, jak i rządowe projekty ustawodawcze, równoznaczne z likwidacją

niezależnego związku. To największy błąd władz, jaki zrobiły w ciągu 37 lat Polski Ludowej – ocenił. I skierował do rządzących PRL, a także na ręce prymasa Polski protest przeciwko nowemu prawu związkowemu przekreślającemu uzgodnienia zawarte wcześniej z Solidarnością: „Projekt ten niszczy nadzieje, wynikające z podpisanych porozumień społecznych z sierpnia '80. – Jestem przekonany, że w perspektywie czasu doprowadzi to do jeszcze większych błędów i wypaczeń na drodze budowy

socjalizmu w naszym kraju, wpłynie on także na dalszą demobilizację mas związkowych”. W tych słowach, obok pryncypialnego sprzeciwu wobec sprzeniewierzenia się umowom sierpniowym, były argumenty pragmatyczne, typowe dla stylu myślenia i działania Lecha Wałęsy. Polityczny realizm w jego wydaniu można też odnaleźć w tym, co mówił wcześniej Cioskowi. „Socjalizmu nie zmienimy, Polski nie przeniesiemy, to są fakty, z którymi musimy się liczyć –



relacjonował Orszulikowi punkt widzenia przedstawiony ministrowi. – Nie powinniśmy dopuścić do wypaczeń w socjalizmie. Jest to możliwe tylko przez stworzenie sił niezależnych, inaczej za pięć lat najpóźniej poniesiemy klęskę. Nie chcę, by socjalizm poniósł klęskę”.

Rzecznik prasowy Episkopatu z każdego spotkania w Arłamowie sporządzał dokładną notatkę, którą przekazywał swoim kościelnym zwierzchnikom w Warszawie. Informacje o stanie zdrowia i

ducha, a także poglądach Wałęsy z pewnością trafią także do Watykanu. Jego opinie, jak na przykład ta, że nikt z członków Solidarności nie powinien wstępować do nowych związków, docierały też – prędzej czy później – do kręgu jego pozostających na wolności doradców. Może dlatego władze w połowie października przestały dopuszczać księdza Orszulika do swego najważniejszego więźnia. Jego izolacja miała być zupełna. Zdesperowana pani Danuta napisała do papieża list z prośbą

o interwencję. „Więziony w warunkach pozornie lepszych niż inni internowani jest naprawdę w sytuacji gorszej niż najwięksi przestępcy, którzy odbywają karę wśród innych więźniów. Każde jego słowo, każde niemal zdanie jest przedmiotem raportu jego strażników. [...] Proszę Cię, Ojczy Święty, o pomoc w przeniesieniu mego męża gdzieś, gdzie przebywałby wśród ludzi mu życzliwych, np. do jakiegoś klasztoru, lub też aby przynajmniej pozwolono, aby ktoś mu stale towarzyszył –

duchowny, zakonnik lub też jakiś kolega związkowy, z którym mógłby przynajmniej rozmawiać i nie był tak strasznie sam”.

Papieska interwencja okazała się niepotrzebna. Po ostatecznej delegalizacji Solidarności przez Sejm PRL (8 października 1982 roku) rządzący generałowie zmierzali do zakończenia najostrejszego etapu stanu wojennego i uwolnienia niemal wszystkich internowanych, choć los Lecha Wałęsy ważył się do ostatniej chwili. Tymczasem przywódcy podziemia podjęli

próbę zorganizowania masowego protestu przeciwko wyjęciu spod prawa wielomilionowego związku. Odzew społeczny apeli Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, jeszcze w kwietniu 1982 roku utworzonej przez regionalnych liderów związku, którzy uniknęli aresztowania – Zbigniewa Bujaka, Władysława Frasyniuka, Władysława Hardka, Bogdana Lisa i Eugeniusza Szumiejkę – był jednak niepewny. Wąłęsa przed zaplanowanym na 10 listopada strajkiem

ogólnopolskim skierował krótki list do generała Jaruzelskiego. Oto jego pełny tekst: „Wydaje mi się, że nadchodzi już czas wyjaśnienia niektórych spraw i działania w kierunku porozumienia. Trzeba było czasu, aby wielu zrozumiało, co można i na ile można. Proponuję spotkanie i poważne przedyskutowanie interesujących tematów, a rozwiązanie przy dobrej woli na pewno znajdziemy”. Podpisał go jako „kapral Lech Wałęsa”. Władze ogłosiły list dopiero po fiasku strajku, prezentując

dokument jako akt kapitulacji. Intencja autora była przeciwna – próba wyjścia z izolacji i włączenia się w bieg wydarzeń. W liście nie było prośby o uwolnienie ani skruchy. Była gotowość do podjęcia z władzami partnerskich, równoprawnych rozmów na interesujące obie strony tematy.

Władzom nie przypadło to do gustu. Uznały, że – jak zapisał w swoich *Dziennikach politycznych* Mieczysław Rakowski – potrzebny jest tekst „poważniejszy”. „Tekst taki napisaliśmy w stylu Wałęsy [...]”

- zanotował bez żenady wicepremier. 9 listopada do Arłamowa zawiózł go osobiście generał Kiszczak, który starał się namówić Wałęsę do podpisu. Bez skutku. Lider Solidarności odrzucił podsuwane mu kapitulaniczne deklaracje, choć nie stronił od stwierdzeń ugodowych. Gotów był do rozmów z komunistami, ale nie na ich warunkach. - Za pięć lat i tak to wszystko pęknie - powiedział Kiszczakowi. Widząc, że niewiele wskóra, szef MSW wrócił do Warszawy i zaproponował zwolnienie



internowanego „333”. „Wałęsa nie zmienił się, jest to mały człowiek, żulik, lis, chytry człowiek, chce oszukać partnera – relacjonował Kiszczak towarzyszom z Biura Politycznego KC PZPR. – Mówi, że jest zwolennikiem gen. Jaruzelskiego, że stan wojenny był konieczny, ale że powinien trwać trzy miesiące, że nie wszyscy powinni być internowani. [...] Jest za socjalizmem, ale bez wypaczeń na dole, socjalizm jest piękną ideą, wdrażania na dole niedobre. Jest za przyjaźnią

polско-radziecką, przeciw kuroniadzie. [...] Uważa, że rozwiązanie »Solidarności« jest błędem, nowe związki zawodowe sprawy nie załatwiają. Chce rozmów z rządem”.

Ten ostatni punkt był chyba najważniejszy. Ugodowe, a niekiedy wręcz prorządowe akcenty w wypowiedziach przewodniczącego podczas spotkań z przedstawicielami władzy miały przede wszystkim na celu przekonanie ich, że warto rozmawiać. Podobną tonację miał zapewne wywiad,

jakiego udzielił w Arłamowie  
pracownikom (bo trudno ich  
nazwać dziennikarzami)  
„Dziennika Telewizyjnego”,  
główniej propagandowej tuby  
partii. Zaproponował  
partnerskie rozmowy,  
samokrytycznie przyznając, że  
także Solidarność przed 13  
grudnia popełniała błędy.  
Według Marka Barańskiego,  
reżimowego żurnalisty do  
specjalnych poruczeń, Wałęsa  
nie zaprezentował się zbyt  
korzystnie, ale nie na tyle, żeby  
zamknąć sobie powrót na scenę  
polityczną. Aby ocenić nagrany

materiał, do siedziby telewizji na placu Powstańców w Warszawie przyjechała połowa Politbiura i rządu. „Obejrzeli ten wywiad i zdecydowali, że emisji nie będzie”.

Mimo braku ugody władze, uważając, że internowanie działa jedynie na korzyść więźnia, postanowiły go wypuścić. Wywołało to niezadowolenie Moskwy. Kreml miał też do władz warszawskich pretensje o to, że wiadomość o zwolnieniu Lecha z ośrodka internowania podano w telewizji o tej samej porze, co dzień

wcześniej (10 listopada) informację o śmierci Leonida Breżniewa. Polscy komuniści uspokajali centralę, że nie oznacza to zmiany polityki zwalczania ruchu wolnościowego. Generał Kiszczak zapewnił rezydenta KGB w Polsce, że kampania dyskredytacji przywódcy Solidarności będzie kontynuowana. Z kolei Jaruzelski osobiście powiadomił ambasadora ZSRR w Warszawie Borisa Aristowa, że materiały oczerniające Wałęsę, także pornograficzne (*sic!*), są już

przygotowane i że prezentują go jako „chamskiego intryganta o gigantycznych ambicjach”.

13 listopada lider związku został przewieziony wojskowym samolotem z Arłamowa do Warszawy, gdzie następnego dnia prokurator wojskowy pułkownik Bolesław Kliś i dyrektor Biura Śledczego MSW pułkownik Hipolit Starszak przeprowadzili z nim długą rozmowę. Formalnie ostrzegli go przed podejmowaniem niezależnej działalności i pouczyli o odpowiedzialności karnej wynikającej z



związku i jego niektórych działaczy, w słowach uznania dla władzy i obietnicy współpracy zwalniany więzień posuwał się bardzo daleko. „Nie mam żadnych pretensji do aparatu partyjnego ani rządowego” – przekonywał. Nie odżegnał się jednak od sprawy Solidarności, zastrzegł też sobie prawo do niezależnego działania. „Chcę skorzystać z tych małych dróg, które są możliwe, które będą zaakceptowane nawet przez tych, którzy są w podziemiu, przy moim wytłumaczeniu tego i



będzie spokój społeczny” – zapowiadał. A obszerne przedstawienie mu kodeksu karnego i ustawodawstwa stanu wojennego skomentował następująco: komuniści nie wygraliby, gdyby ten kodeks wówczas, gdy zdobywali w Polsce władzę, obowiązywał.

„Uważam, że pan jest Polakiem i ja, i mamy przekształcać kraj, nie burzyć go, ale mamy obowiązek przekształcać go tak, aby służył nam wszystkim, a nie grupie ludzi – zwrócił się w pewnym momencie do pułkownika Klisia.

- Mam zamiar bronić go. Stanowiska są różne, odpowiedzialności są różne, ale to jest moja ojczyzna. Ja nie będę burzył, ale nie ze wszystkim się będę zgadzał". Była to skrótowa prezentacja filozofii politycznej, którą Lech Wałęsa kierował się zarówno przedtem, jak i potem. Trudno powiedzieć, jak zinterpretowali to jego umundurowani słuchacze. W każdym razie po tej rozmowie, 14 listopada wieczorem, został uwolniony, a rządowa Polska Agencja Prasowa ogłosiła: „były

przywódca byłej Solidarności jest obecnie osobą prywatną”.

Tej opinii nie podzielali mieszkańcy Gdańska licznie zgromadzeni przed domem na Zaspie, gdy późną nocą przywieziono go z Warszawy. Witął go transparent nawiązujący do kaprałskiej sygnatury pod listem do Jaruzelskiego: „Naród mianuje Cię generałem!”. „Nic nie podpisałem, do niczego się nie zobowiązałem, do niczego nie wstąpiłem” – oznajmił Wałęsa, ucinając podejrzenia, że skapitulował przed

komunistami.

O tym, że nie zamierza wycofać się ze sceny publicznej, można się było przekonać już nazajutrz. 15 listopada w mieszkaniu na Zaspie odbyła się pierwsza konferencja prasowa dla światowych mediów. Gospodarz zapowiedział powrót do aktywności, a zwłaszcza poszukiwanie dróg do dialogu z władzami, „ale nigdy na kolanach, nigdy wbrew interesom Sierpnia”. Zapewnił, że pozostanie wierny tradycji 1980 roku, to znaczy idei niezależnych samorządnych

związków zawodowych i innym postulatom wielkiego strajku. Była to też deklaracja chęci dialogu i porozumienia. Radykalnych posunięć nie planował, ale stwierdził, że nadal czuje się przewodniczącym związku: „Nikt mnie nie odwołał”. Kilka dni później potwierdziła to Tymczasowa Komisja Koordynacyjna. Ukrywające się kierownictwo podziemnej Solidarności zadeklarowało, że uznaje przywództwo Lecha Wałęsy. „Wszystkie Twoje decyzje i zobowiązania są dla

TKK wiążące” – napisał do niego Zbigniew Bujak. Podziemie odwołało zapowiadane na grudzień akcje protestacyjne i oceniło, że uwolnienie przewodniczącego, a także zapowiedź zniesienia stanu wojennego i przyjazdu papieża do Polski pozwala mieć nadzieję na „zawieszenie broni między władzą a społeczeństwem”.

Rząd PRL nie do końca ufał własnym deklaracjom – w rocznicę tragedii 1970 roku „osobie prywatnej” uniemożliwiono wygłoszenie przemówienia pod gdańskim

Pomnikiem Poległych Stoczniovców. Wałęsa został wyprowadzony z domu przez esbeków, którzy przez wiele godzin wozili go po mieście samochodem policyjnym. Nagranie z jego wystąpieniem zostało jednak wyemitowane pod stoczną.

Jeszcze tym razem nie zdołaliśmy ukształtować życia w naszej ojczyźnie na miarę naszych marzeń i na miarę możliwości naszego narodu – mówił przywódca Solidarności. – „Może chcieliśmy osiągnąć to zbyt szybko. Nie traćmy

nadziei”. Związek wziął na siebie w przeszłości bardzo dużo spraw. „Teraz przyszedł czas, by ten wielki ruch społeczny, żeby ta wielka rzeka, która wchłonęła w swój nurt wszystkie niezafatwione sprawy wielu środowisk – rozdzieliła się na kilka nurtów i popłynęła naprzód spokojnie do celu” – proponował. Te organizacyjnie odrębne, ale działające razem nurty to związek zawodowy, samorządy pracownicze i lokalne, związki twórcze i stowarzyszenia oraz niezależne organizacje młodzieży. „Nasza



sprawa nie jest wymierzona przeciwko komukolwiek – deklarował Wałęsa. – Równocześnie nie obalamy władzy, akceptujemy realia polityczne, które wytworzył świat, które wytworzyła historia. Chcemy tylko w tych warunkach służyć dobru naszej ojczyzny”.

„Nie dajmy się zepchnąć ze spokojnego dochodzenia do wyznaczonych celów” – apelował na koniec. Wierny swej kompromisowej linii, ogłosił zaraz po uwolnieniu gotowość do podjęcia rozmów z generałem Jaruzelskim. Odzewu

nie było. 22 listopada 1982 roku Wałęsę przyjął natomiast prymas Józef Glemp.

Gdańskie mieszkanie przewodniczącego zamieniło się w biuro prasowe Solidarności. Niemal codziennie przyjmowano tu zachodnich korespondentów. Wałęsa lubił dziennikarzy, nie bał się żadnych pytań i nikomu nie odmawiał wywiadów, wiedząc, jak istotne jest podtrzymywanie wizerunku polskiego ruchu demokratycznego w światowych mediach. Zachodnia prasa i rozgłośnie radiowe były

też ważnym kanałem komunikacji z krajową opinią publiczną. Lider związku potrafił wykorzystać swoją międzynarodową popularność do promocji celów ruchu. W wywiadach bronił przedgrudniowej linii Solidarności („gdybym miał powtórzyć to wszystko od sierpnia, to nic bym nie zmienił”), opowiadał się za pluralizmem („mam porozumienie z Gdańską i muszę je realizować”), prezentował swoją wizję polityki („nie przewracam władzy, ja tylko

chcę, aby władza służyła nam”).  
A zapytany o ocenę stanu wojennego odparł: „za mojej prezydentury tego nie będzie”.

„Będziemy mieli z nim kłopoty” – przewidywał jeszcze w listopadzie generał Kiszczak. Miał rację.

# Kryptonim „Zadra”

Rok 1982 zakończyło zawieszenie stanu wojennego i zwolnienie internowanych działaczy Solidarności. W więzieniu pozostała tak zwana jedenastka – czołowi opozycjoniści z KSS „KOR” i najważniejsi przywódcy regionalni związku. Uwolniony Wałęsa nie zamierzał rezygnować z działalności publicznej, na co liczyły władze, ani porzucić sprawy

Solidarności, ale nie chciał także schodzić do podziemia lub podejmować otwartej walki z rządem. Przez następne lata balansował – jak sam to określał – na linii pomiędzy społeczną izolacją i bezczynnością a więzieniem.

Nie mógłby prowadzić swojej działalności, gdyby nie oddani współpracownicy. Gdańskie biuro Lecha Wałęsy na początku 1983 roku tworzyli: Lech Kaczyński, Jacek Merkel, Bożena Rybicka i jej brat Arkadiusz Rybicki; później dołączyli Grzegorz Grzelak,

Aleksander Hall, Piotr Nowina-Konopka, Jacek Taylor. Mieczysław Wachowski odgrywał rolę kierowcy i przyjaciela rodziny. Z ich pomocą Wałęsa przygotowywał kolejne oświadczenia, przyjmował delegacje zagraniczne, organizował konferencje prasowe. Działalność biura była finansowana przez podziemie, które w przewodniczącym widziało – wedle słów Bogdana Lisa – naziemnego „ambasadora Solidarności”. Osobne miejsce w solidarnościowej topografii

zajmował ksiądz Henryk Jankowski i jego kościół Świętej Brygidy, położony nieopodal Stoczni Gdańskiej i nierzadko wykorzystywany do politycznych zgromadzeń i manifestacji. Pomocą i wsparciem służył również ksiądz Stanisław Bogdanowicz z Bazyliki Mariackiej. Z czasem wokół przewodniczącego odbudowała się grupa doradców z Warszawy z Tadeuszem Mazowieckim, Bronisławem Geremkiem i Andrzejem Wielowieyskim.

Wałęsa sporo jeździł po kraju.



Spotykał się w kościołach z działaczami Solidarności, asystował na procesach politycznych, wszędzie udzielał wywiadów zagranicznym dziennikarzom. Władze utrudniały mu to jak mogły, nie odstępując go na krok, inwigilując 24 godziny na dobę, ale nie decydowały się na ponowne uwięzienie. Prowadzonej przeciwko niemu sprawie operacyjnego rozpracowania (SOR) „Bolek” nadano wiosną 1983 roku nowy kryptonim: „Zadra”. Trzeba przyznać, że nazwa była

trafiona.

Jeszcze w styczniu Wałęsa, nie chcąc, by go odizolowano od robotników, zgłosił się do pracy w Stoczni Gdańskiej. Początkowo pod pozorem nieaktualnej przepustki nie wpuszczono go do zakładu, ale gdy zagroził, że odda sprawę do sądu pracy, pozwolono mu podjąć obowiązki elektryka. 26 stycznia 1983 roku w biurze przyjęć stoczni przeprowadzono z nim rozmowę ostrzegawczą. „Pan zdaje sobie sprawę z tego, że pańska osoba w przeciągu dwóch lat stała się osobą

sztandarową, stanowiącą pewien symbol, i dlatego [...] mogą wokół pana tworzyć się pewne zgromadzenia, może dochodzić do przerw w pracy. Czy pan w związku z tym może zapewnić, że pan będzie dążył do uniknięcia takich sytuacji?” – pytali stoczniowi urzędnicy. Oczywiście, że nie – odparł Wałęsa. Nie pozostawił też żadnych wątpliwości, że będzie prowadził działalność związkową. A na uwagę, że można ją uprawiać jedynie w oficjalnych związkach, odpowiedział, że nie pytał o

pozwolenie w sierpniu 1980 roku i nie będzie pytał teraz. – Jestem zobowiązany wcześniejszymi ustaleniami i będę je realizował, czy to się komuś podoba, czy nie – mówił. – Przyjmuję wszystko, co państwo mi tu proponują. Nie zobowiązując się do niczego.

Rozmowa nie wróżyła dyrekcji stoczni łatwego życia z niesfornym pracownikiem. Rząd z pewnością obawiał się powrotu związkowego lidera do jego kolebki, ale miał nadzieję, że początkowe zainteresowanie szybko ustąpi miejsca rutynie. A

poza tym, czy można było „osobie prywatnej” zabronić pracy zarobkowej?

Wałęsa nie zamierzał, rzecz jasna, ograniczać się do roli stocznio-wca. W wywiadach udzielanych zachodnim mediom oceniał politykę władz i formułował stanowisko ruchu demokratycznego. – Aby uzyskać wiarygodność, rząd powinien zwolnić wszystkich uwięzionych działaczy, umożliwić powrót z zagranicy solidarnościowym emigrantom i usiąść do stołu negocjacyjnego – twierdził. Władze będą

musiały zgodzić się na pluralizm związkowy i zawrzeć porozumienie – powiedział francuskim związkowcom w połowie stycznia. – Jestem optymistą – deklarował. – Demokracja czy wcześniej, czy później musi przyjść... Jego zdaniem stanu wojennego nie można było uniknąć. Była to lekcja dla społeczeństwa, która przyniosła polityczne wzmocnienie Solidarności, gdyż rządowi nie udało się niczego osiągnąć na polu gospodarczym ani społecznym. My – zapewniał – będziemy uparcie dążyć do

porozumienia; stanie się ono możliwe wówczas, gdy partnerzy będą się wzajemnie szanować. Jednak na razie nie ma żadnych oznak dialogu w Polsce i związek nadal będzie – pokojowo – walczyć.

9 marca 1983 roku pojechał do Grudziądza na proces Anny Walentynowicz. Skazano ją na 1,5 roku więzienia w zawieszeniu za zorganizowanie strajku w stoczni w grudniu 1981 roku. Obecność Wałęsy na sali sądowej spowodowała zainteresowanie mediów zagranicznych i była gestem

solidarności z koleżanką z Wolnych Związków Zawodowych – mimo dzielących ich coraz ostrzejszych różnic politycznych. „Jest bardzo ważne, żebyśmy stali u boku p. Anny – ona jest symbolem polskiej klasy robotniczej” – powiedział zachodniemieckiej telewizji. Następnego dnia był w Elblągu, gdzie za rzekomą napaść na funkcjonariuszy milicji sądzą grupę byłych internowanych pobitych w obozie w Kwidzynie. Kilka dni później pojechał z kolei do Słupska na rozprawę



działaczy Solidarności  
aresztowanych za  
„kontynuowanie działalności  
związkowej” po wprowadzeniu  
stanu wojennego. Milicja  
zatrzymała go na szosie przed  
miastem, próbując zniechęcić do  
dalszej jazdy, ale po  
gwałtownych protestach  
zrezygnowała z blokady.  
Milicjanci nie byli nadgorliwi.  
Nieco skonfundowani  
tłumaczyli, że wykonują tylko  
polecenia przełożonych. –  
Powiedz pan, panie Wałęsa,  
długo takie głupoty jeszcze  
będą? – pytał go jeden z

funkcjonariuszy.

Pod wrażeniem procesów przywódca Solidarności zaostrzył ton. Mówił, że tak dalej być nie może, by ludzie siedzieli w więzieniach. – Albo będą musieli zamknąć jeszcze więcej spośród nas, albo my wywalczymy wolność dla uwięzionych kolegów – oznajmił. Ponieważ dotychczasowe próby osiągnięcia porozumienia nie przyniosły wyników, Polacy powinni bardziej stanowczo walczyć o swoje prawa. Odchodząc od zwykłego

umiarkowania, wezwał do wywierania nacisku na władze za pomocą manifestacji, strajków i głodówek protestacyjnych.

Zapowiadał, że będzie bronił trzymanyh wciąż w więzieniu członków Komisji Krajowej Solidarności i przywódców KSS „KOR”, którym władze zamierzały wytoczyć proces. 12 lutego w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej został przesłuchany jako świadek w śledztwie przeciwko Jackowi Kuroniowi, Adamowi Michnikowi, Zbigniewowi

Romaszewskiemu i Henrykowi Wujcowi. Korowców oskarżono o przygotowywanie obalenia przemocą ustroju i „osłabienia mocy obronnej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej poprzez zerwanie jedności sojuszniczej ze Związkiem Radzieckim”. Zarzuty, choć absurdalne, były bardzo poważne i mogły się zakończyć wysokimi wyrokami. Toteż sporo mogło zależeć od tego, jak Wałęsa będzie zeznawał.

Nie zawiódł. Oskarżenia o próbę obalenia ustroju PRL przez korowców odrzucił.

Stwierdził, że nie mieli oni wpływu na treść uchwał podjętych przez Komisję Krajową w Radomiu i Gdańsku w grudniu 1981 roku; były one efektem nacisków radykalnych mas członkowskich związku. Przekonywał także prokuratorów – zapewne bez większego powodzenia – że wypowiedzi członków KSS „KOR” o charakterze politycznym to następstwo ich „niewielkiego wyrobienia politycznego i braku umiejętności w doborze argumentacji”. Uchwalone przez

krajowy zjazd związku podziękowanie dla KSS „KOR” przedstawił jako wyraz akceptacji dla poczynań osób, które „broniły klasy robotniczej”, uchwała nie miała więc charakteru opozycyjnego ani politycznego. Dodał też, że poglądy polityczne doradców nie przeszkadzały w pełnieniu przez nich funkcji w Solidarności, gdyż nie oznaczały planów stosowania przemocy.

Przesłuchanie nie przyniosło zatem oczekiwanych przez władze rezultatów. Ze świadka nie udało się wydobyć niczego,

co mogłoby obciążyć oskarżonych. „Zeznania L. Wałęsy pozostają w zasadniczej rozbieżności z ustaleniami śledztwa w sprawie p[rzeciwiw]ko czołowym działaczom KSS »KOR«” – napisano w konkluzji raportu Biura Śledczego MSW dla generała Jaruzelskiego i kierownictwa PZPR.

Wezwanie do prokuratury miało zapewne stanowić także ostrzeżenie dla samego Wałęsy. Jeśli tak, to nie spełniło swego zadania. Zrobię wszystko, by ludzie, przeciwko którym toczą się procesy, znaleźli się na

wolności – mówił nadal w wywiadach. Zapowiadał kontynuowanie walki o ideały Solidarności i prawa świata pracy, ale środkami, które wykluczą konfrontację. Radził zwolennikom ruchu bierny opór: wyrejestrowanie na lato odbiorników radiowych i telewizyjnych, niekupowanie alkoholu. Proponował, by – nie rezygnując z dorobku okresu posierpniowego – podejmować działania legalne, na przykład pisanie petycji do władz w sprawie pluralizmu związkowego. Towarzyszyły



temu zarazem oświadczenia, że Tymczasowa Komisja Koordynacyjna cieszy się dużym autorytetem społecznym, jest ciałem prowadzącym w sposób zorganizowany grę o związek i przewodniczący Solidarności w niektórych sprawach jest gotów się jej podporządkować.

Mimo usilnych starań aparatu bezpieczeństwa Wałęsy nie dało się odizolować od polskiej publiczności. 19 marca 1983 roku przyjechał do Warszawy. Kalendarz tego przykładowego pobytu w stolicy pokazuje zasięg aktywności „prywatnej

osoby". Rozpoczęło się od wizyty u prymasa, gdzie czekał już Stanisław Wądołowski, jeden z liderów szczecińskiej Solidarności. Zaraz potem Lech spotkał się z członkami Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i Ich Rodzinom w kościele Świętego Marcina. W tej samej świątyni, związanej z warszawskim Klubem Inteligencji Katolickiej, odbyła się kilkugodzinna narada z ekspertami związku; z pewnością uczestniczyli w niej Geremek i Mazowiecki.

Wieczorem Wałęsa udał się do Teatru Dramatycznego na spektakl *Piesz* Sławomira Mrożka. Jego obecność wzbudziła sensację. Całą przerwę musiał rozdawać autografy, a po zakończeniu przedstawienia odebrał owację razem z aktorami na proscenium. Dzień zakończył się kolacją u księdza Orszulika.

Swoje poglądy obszernie wyłożył w końcu marca podczas rozmowy z liderem austriackich związków zawodowych i dziennikarzami, których przyjął jak zwykle u siebie w domu.

Aktualna sytuacja potrwa jeszcze przez 5-7 lat - przewidywał z zaskakującą precyzją. - Odniesiemy zwycięstwo, ale nie będziemy przejmować władzy - w tym ostatnim punkcie się pomylił. Prawo do Solidarności zostało zagwarantowane w porozumieniach sierpniowych i musi być zrealizowane, choć możliwe są pewne ustępstwa ze strony związku. Dojść do tego może jednak tylko na drodze negocjacji, które Solidarność jest gotowa podjąć. Reformy polityczne i gospodarcze są

niezbędne, gdyż przyczyną załamania ekonomicznego jest niewydolny system. Otwartej konfrontacji z władzą komunistyczną był przeciwny. – Rewolucja „kolejkowa” drogo by nas kosztowała – mówił. – Desperacja dyktuje złe kroki.

O tym, że choć Solidarność nie miała szans na zwycięstwo fizyczne, to odniosła zwycięstwo polityczne, przewodniczący przekonywał z kolei reportera wrocławskiego pisma partyjnego „Sprawy i Ludzie”, który zjawił się u niego 29 marca. Wałęsa oświadczył,

że jest bardzo zadowolony, mogąc udzielić wywiadu polskiemu dziennikarzowi. Zapewnił też, że chętnie przyjąłby przedstawiciela „Trybuny Ludu”, centralnego organu PZPR. Komuniści nie zamierzali jednak prezentować Polakom opinii przeciwnika. Wywiad dla „Spraw i Ludzi” nigdy się nie ukazał.

Cztery miesiące po uwolnieniu, między 9 a 11 kwietnia 1983 roku Wałęsa konspiracyjnie spotkał się z podziemnym kierownictwem Solidarności. Aby urwać się



Wyprowadzona w pole bezpieczeństwa dopiero w 2 godziny i 20 minut od rozstania się przewodniczącego z kierowcą zorganizowała blokadę na drogach. A my, po rozmowach, wsadziliśmy Lecha do taksówki, którą spokojnie dojechał do domu”.

Dwa dni później został zabrany przez Służbę Bezpieczeństwa na przesłuchanie. Funkcjonariusze przepytывali też panią Danutę, która przekazała zachodnim korespondentom komunikat o spotkaniu, oraz kierowcę



Mieczysława Wachowskiego. Zagranicznym dziennikarzom Wałęsa powiedział, że gdy to będzie potrzebne, znów się spotka z Tymczasową Komisją Koordynacyjną. Rozmowa z przywódcami podziemia odbyła się zresztą pod samym nosem milicji – na gdańskiej Zaspie, w mieszkaniu Janusza Granatowicza. Jej uczestnicy nie sformułowali nowego programu ani planu działania. Najważniejsze było zademonstrowanie jedności i żywotności ruchu. Przyjęto ogólny podział ról,

pozostawiając przewodniczącemu reprezentację i działania jawne, a TKK konspiracyjne budowanie struktur. Wałęsa był pod silnym wrażeniem świetnej organizacji podziemia. Przede wszystkim jednak spotkanie, które przebiegło w dobrej atmosferze, uśmierzyło obawy, że w zdelegalizowanym związku rozpocznie się rywalizacja o przywództwo. Wybrany na zjeździe lider pozostawał symbolem ruchu – w każdym numerze „Tygodnika Mazowsze”, największego pisma

podziemnego, widniało wzięte z jego przemówienia na I zjeździe hasło: „Solidarność nie da się podzielić ani zniszczyć”. Spotkanie z TKK potwierdzało te słowa.

Z wielogodzinnego przesłuchania Lecha Wałęsy 13 kwietnia zachował się protokół. – Kawę wypijemy? – spytał na początku funkcjonariusz SB. – Nie – odparł Wałęsa. – Herbatę? – Też nie. „Ja oczywiście na rozmowę mogę zaprosić panów, pogadamy sobie, ale nie w tym miejscu, tak to nie będziemy rozmawiać...”. –

Jeśli tak, to kończymy szybko.  
Panie Lechu, co pan ostatnio narozrabiał? – próbował nieformalnie rozpocząć rozmowę esbek. – Jeśli tak, to numer i jaki charakter – odrzekł Wałęsa, zgodnie z zasadami wykształconymi w czasach opozycji korowskiej domagając się formalnego przesłuchania: z numerem sprawy i określeniem charakteru, w jakim został wezwany, co dawało mu możliwość odmowy odpowiedzi. – Jakieś komunikaty trąbią o panu, cała zagranica mówi – oficer SB próbował skierować

wymianę zdań na temat spotkania z TKK. – Nie wiem, nie słucham zagranicy – odparł spokojnie przewodniczący. – Interesuje nas sprawa wydanego po tym spotkaniu komunikatu – podjął esbek. – Mnie nie – uciął Wałęsa. A na dalsze indagacje o kontakty z TKK przypomniał, że jest stale pilnowany przez trzydziestu ludzi, którzy powinni wiedzieć, gdzie on jest i co robi, bo za to biorą pieniądze. Zresztą może spotykać się, z kim chce, jeśli nie ma to charakteru kryminalnego. „Jestem wolny

człowiek... Miałem prawo, więc mogłem się spotkać” – stwierdził nieco enigmatycznie. Ale czy spotkał się z tym kimś, czy nie? – próbowali ustalić funkcjonariusze. – Ja mam prawo się spotkać – usłyszeli. – Tak, ale czy pan skorzystał z tego prawa, czy nie? – Mogłem spotkać się lub nie spotkać – skwitował Wałęsa.

Nie zamierzał opowiadać bezpiece o rozmowach z kolegami z podziemia, ale nie przyjął też postawy konfrontacyjnej. Wolał kluczyć, przeplatać polubowne

deklaracje aroganckimi ripostami i odmową formalnych zeznań. Tłumaczył, że spotyka się z TKK, by zachować kontrolę nad działaniami związku, a jednocześnie zapowiadał, że sam może zejść do podziemia. „W moich założeniach nie było przejmowania władzy i nie mam nic do teoretycznego socjalizmu” – przekonywał. Ostrzegał jednak, że jeśli nie dojdzie do porozumienia, to ludziom może zabraknąć cierpliwości. „Rozwiązania są tylko w rozsądnym dogadaniu się”. Chcę pomóc krajowi i tej

ekipie, ale tak, żebyśmy nie wrócili do błędów i wypaczeń... Tylko tym razem muszą być realne zmiany – mówił. Proponował powrót do pluralizmu związkowego, na początek tylko na szczeblu zakładu, oferując w zamian uznanie uchwalonej w 1982 roku ustawy o związkach zawodowych. Nie dał się jednak namówić do odcięcia się od podziemia. – Uważam, że ta linia, którą wybrałem od początku – drobnych kroków, ewolucji, zmian oddolnych – jest niezbędna. Ale żeby prowadzić



taką politykę, muszę mieć możliwości sterowania. Bez kontaktów z TKK grozi mi utrata tych możliwości – tłumaczył. I zapowiedział, że zamierza się spotykać z podziemnym kierownictwem ruchu.

Wdając się w rozmowę polityczną z bezpieką, Wałęsa sporo ryzykował. Przysłuchanie było nagrywane i jego ugodowe deklaracje, z punktu widzenia solidarnościowej opinii idące dość daleko, mogły być wykorzystane przeciwko niemu. Uznał jednak, że jest to szansa na dotarcie do partyjnych

zwierzchników funkcjonariuszy. Chyba miał rację. – My tu rozmawiamy na zasadzie przekaźników – powiedzieli pod koniec esbecy. – Nakłońcie szefów, aby wreszcie zrozumieli, że musimy się ratować. Dopóki nie jest za późno – usłyszeli od Wałęsy. Jego apele do władz trafiały jednak w próżnię. Z „osobą prywatną” spotkał się natomiast podczas pobytu w Gdańsku prymas Józef Glemp.

O tym, że stosunek rządu do przywódcy związku nie uległ żadnej zmianie, można się było

przekonać na przykład 18 kwietnia. Wałęsa w towarzystwie księdza Henryka Jankowskiego i Józefa Duriasza, aktora i działacza Solidarności, wyruszył samochodem do Warszawy na niezależne obchody czterdziestej rocznicy powstania w getcie. Jechały za nim trzy wozy pełne tajniaków. W okolicy Ostródy został zastopowany przez dwa inne radiowozy milicyjne. Jeden z funkcjonariuszy oświadczył, że wszyscy są zatrzymani i muszą udać się do Komendy Wojewódzkiej Milicji

Obywatelskiej w Olsztynie.  
„Zaznaczył też, że w przypadku odmowy z naszej strony będzie zmuszony użyć wobec nas siły” – relacjonował ksiądz Jankowski. – Ja tylko wykonuję rozkazy – tłumaczył się nieco speszony milicjant.

Rzecznik rządu Jerzy Urban beczelnie przekonywał później zachodnich dziennikarzy, że pobyt na komendzie był całkowicie dobrowolny, gdyż Lech Wałęsa przyjął zaproszenie do złożenia tam wizyty. Najście milicji na dom Wałęsów w przyszłości może

więc zostać określone przez rzecznika prasowego rządu jako rewizyta – celnie zauważył ksiądz Jankowski w liście protestacyjnym do generała Kiszczaka. Domniemana „wizyta przyjaźni” na olsztyńskiej komendzie trwała do wieczora. Dopiero wówczas, gdy władze były już pewne, że lider Solidarności nie dotrze tego dnia do Warszawy, wszystkich wypuszczono.

Niezrażony Wałęsa wciąż proponował dialog. „Oczywiście, jesteśmy realistami – mówił podczas konferencji prasowej

zwołanej u niego w domu 20 kwietnia. – Oczywiście, trochę spraw zaszło w naszym kraju. I oczywiście, w stu procentach to my bez winy nie jesteśmy. I dlatego też nie będziemy chcieli budować [...] na przeszłości, bardziej będziemy myśleli o przyszłości. Oczywiście, warunkiem naszym – nie poniżając, nie uszczuplając nikogo – jest pluralizm związkowy. Ale w ogóle warunkiem czegokolwiek jest dobra wola i to, by zasiąść za stołem. [...] Tam porozmawiamy, co jest możliwe, co w ogóle jest

możliwe i na co możemy się zgodzić. Tak jedna strona, jak i druga strona”. Warto zwrócić uwagę, że ten scenariusz drogi do porozumienia, ujęty w kolokwialnym stylu Wałęsy, został zarysowany bardzo wcześnie. Ułynęło przecież dopiero kilka miesięcy od czasu, gdy jego autor opuścił miejsce internowania. W następnych latach plan ten będzie przez niego konsekwentnie realizowany.

Podstawowe punkty owego scenariusza kompromisu to odbudowa pluralizmu, czyli

zgoda władz na Solidarność, oraz negocjacje na temat reform. Przewodniczący podkreślał, że nie oczekuje prostego powrotu do sytuacji sprzed 13 grudnia. Był gotów do ugody z ekipą generałów, ale musiała ona obejmować ustępstwa z obu stron. W przedstawionym 20 kwietnia oświadczeniu w sprawie przyjazdu papieża do Polski Wałęsa dokładniej zarysował oczekiwania opozycji: „stwórzcie rzetelne moralnie podstawy dialogu, w którym chcemy być jedną ze stron –



apelował do władz – dialogu w najważniejszych społecznych kwestiach, powrotu do zasady pluralizmu związkowego i uprawnień samorządowych, przywrócenia pełni swobód obywatelskich i twórczych, odnowy systemu przedstawicielskiego narodu”. Postulował także naprawę krzywd, które wynikły ze stosowania przemocy przez władze stanu wojennego. Były to zręby programu, z którym Solidarność przystąpi pięć lat później do rozmów z rządzącymi.

Podczas konferencji, na której przedstawił powyższe oświadczenie, dziennikarze zapytali o jego stosunki z hierarchią katolicką i o to, czy uzgadnia swoją politykę z biskupami. Odparł, że całkowicie podporządkowuje się Kościołowi jako człowiek wierzący, ale jako „człowiek związkowy” musi podporządkować się sprawom Solidarności. O takich kwestiach jak ewentualne demonstracje pierwszomajowe z duchownymi nie rozmawia. Wałęsa, gorliwy katolik, potrafił jednocześnie

zachować dystans i całkowitą niezależność w sprawach polityki opozycji. – Ja jestem członkiem Kościoła, ale członkiem ze swoim zdaniem – ta samoocena najlepiej charakteryzuje jego stosunek do kleru, nacechowany respektem, ale podkreślający obywatelską odrębność i własny osąd w sprawach publicznych.

Nic z tego, co mówił, nie przedostało się do peerelowskich środków masowego przekazu, mimo że na konferencji byli dziennikarze z „Dziennika Bałtyckiego”,

„Głosu Wybrzeża” i telewizji gdańskiej. Czytelnik oficjalnej prasy, słuchacz Polskiego Radia czy odbiorca telewizji nie mógł się dowiedzieć niczego o poglądach, a tym bardziej o działaniach człowieka, który stał na czele wielkiego ruchu społecznego. Kordon sanitarny, jakim władze usiłowały otoczyć przywódcę Solidarności, nie był jednak szczelny. Mógł się on komunikować z opinią publiczną za pomocą mediów zachodnich, a zwłaszcza nadających po polsku rozgłośni radiowych, takich jak Radio Wolna Europa,

Głos Ameryki, BBC, oraz prasy podziemnej. Równie ważne było zachować żywy, codzienny kontakt z ludźmi, nie dać się zamknąć w klatce własnego mieszkania i grona najbliższych współpracowników. Toteż ucieszył się, gdy w końcu kwietnia pozwolono mu wreszcie podjąć obowiązki elektryka w Stoczni Gdańskiej. Pierwszy dzień jego pracy wywołał spore zainteresowanie światowych mediów, których korespondenci licznie zgromadzili się przy bramie zakładu. Jednak wbrew obawom

władz Wałęsa nie stał się rozsadnikiem niepokoju w stoczni – był przywódcą na skalę kraju, a nie jednego przedsiębiorstwa. Czuł się dobrze, znowu pracując. Był też zbudowany postawą stoczniowców. – Przed Sierpniem stanowiliśmy małą grupę (wspominał czasy WZZ), dziś sytuacja jest odwrotna – małą grupą są przedstawiciele władzy. Ludzie wiele się nauczyli. Wiedzą, że głową muru nie przebiją („w trampkach na czołgi to na razie nie”), ale wiedzą również, że muszą iść do

przodu.

Jego stosunek do niektórych radykalnych haseł podziemia cechowała powściągliwość; wbrew zdeterminowanym członkom TKK nie uznawał strajku za skuteczny oręż. Zasadnicza linia jego polityki, prowadzonej konsekwentnie przez całe lata osiemdziesiąte, to szukanie porozumienia z władzą, której obalenie uważał za nierealne. W tej perspektywie podziemne metody oporu mogły być tylko instrumentem skłaniającym komunistów do ustępstw, nigdy

– środkiem gwałtownej rewolucji. Stąd niechęć do idei strajku generalnego, pielęgnowanej przez wielu działaczy konspiracji jako cios, który powali władze na kolana. Zwycięstwo w takiej otwartej konfrontacji z rządem było wszak niemożliwe, a porażka oznaczała klęskę, z której związek już by się nie podniósł.

Wałęsa był jednak bardzo zadowolony z tłumnego udziału w kontrademonstracjach przeprowadzonych 1 maja, przy okazji oficjalnych obchodów Świąta Pracy. Starcia między



sympatykami Solidarności a oddziałami ZOMO rozegrały się częściowo pod jego domem. – Jest to znak, że trzeba nas widzieć, że trzeba z naszym związkiem rozmawiać – oświadczył następnego dnia podczas konferencji prasowej, zaimprovizowanej po wyjściu z pracy w stoczni. Fasadowe organizacje typu Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego i nowych związków są trupami politycznymi. Władze mogły się przekonać, że opowiada się za nimi tylko znikoma część społeczeństwa. Jeżeli nadal

będą odmawiać dialogu, to zmuszą ludzi do podjęcia walki tymi samymi metodami, którymi same walczą. Ale my tego nie chcemy, bo to byłby zamach na władzę. Niech władza będzie władzą, tylko niech nam służy, niech widzi, że jesteśmy – mówił.

Manifestacje pierwszomajowe stanowiły według niego kolejny znak, że trzeba zasiąść do stołu i tam szukać rozwiązania – dla dobra obu stron.

Poszukiwał też nowych sojuszników. 6 maja wraz z szefami związków

autonomicznych, branżowych i Związku Nauczycielstwa Polskiego z 1981 roku zaapelował do sejmu o przywrócenie swobód związkowych, uwolnienie więźniów politycznych, przyjęcie do pracy osób zwolnionych za działalność lub przynależność związkową. Sygnatariusze chyba się nie spodziewali, że ten apel zostanie wysłuchany. Odpowiedź była zresztą jednoznaczna. Do mieszkania, gdzie odbywało się spotkanie, wkroczyła policja, konfiskując

tekst i zatrzymując wszystkich uczestników. W Pałacu Mostowskich, siedzibie Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej, związkowcy spotkali doradców Wałęsy: Bronisława Geremka, Lecha Kaczyńskiego, Jacka Merkela, Tadeusza Mazowieckiego, Jana Olszewskiego i Władysława Siłę-Nowickiego, którzy obradowali osobno. Wszyscy następne 48 godzin spędzili w areszcie. Natomiast Wałęsę bezpieka od razu odstawiła do Gdańska.

Najważniejszym wydarzeniem

1983 roku była pielgrzymka Jana Pawła II do ojczyzny. Niektórzy działacze podziemia, krytykujący Episkopat pod wodzą prymasa Glempa za ugodowość, obawiali się, że papież – chcąc nie chcąc – usankcjonuje reżim Jaruzelskiego. Wałęsa nie podzielał tych obaw, uważał, że przyjazd Ojca Świętego będzie ważnym ogniwem w narodowej rekonwalescencji po wstrząsie stanu wojennego. W końcu maja wystosował specjalny apel do uczestników ruchu solidarnościowego, „by

zachować teraz rozwagę i roztropność, spokój i umiarkowanie, a jednocześnie stanowczość i nieugiętość swojej postawy, aby nie uczynić niczego, co mogłoby uniemożliwić odbycie zamierzonej pielgrzymki”. Widać tu obawę przed policyjną prowokacją, uruchomioną „przez siły, którym zależy na tym, aby do wizyty papieża w naszym kraju nie doszło”. Oświadczenie Wałęsy zostało przekazane Polskiej Agencji Prasowej, która jednak go nie opublikowała.

Papież „nie zmyje tego, co jest

czarne, aby się wydawało białe” – oznajmił lider ruchu w przeddzień przyjazdu Jana Pawła. Jakie powinny być owoce jego wizyty? Zwolnienie wszystkich więźniów politycznych, anulowanie stanu wojennego, powrót do dialogu i ponowne zalegalizowanie statutu Solidarności. Jednak do prowadzenia dialogu są potrzebne co najmniej dwie osoby. Dotychczas w Polsce trwa tylko monolog. – Moja filozofia jest prosta: iść naprzód razem z tymi, którzy mnie otaczają – mówił dziennikarzowi

meksykańskiemu w połowie czerwca. – Przed Sierpniem '80 kierowałem małą grupą, potem dziesięcioma milionami, teraz znowu mnie ograniczono, ale moja filozofia nie ulega zmianom.

Pielgrzymkowa podróż Jana Pawła II po Polsce udowodniła, że Solidarność nadal cieszy się poparciem bardzo wielu ludzi. Podczas mszy papieskich związek mógł się pokazać sobie i światu. Na stanowcze żądanie Ojca Świętego umożliwiono mu spotkanie z Wałęsą i jego rodziną, choć decyzja w tej



sprawie zapadła dopiero podczas rozmowy papieża z Jaruzelskim w Belwederze. W obawie, że będzie to poczytane za dowód słabości, rząd PRL oświadczył w przeddzień ustami Jerzego Urbana, że lider Solidarności „to człowiek, który po 13 grudnia 1981 roku też nie okazał, iżby cokolwiek zrozumiał. Lech Wałęsa naszym partnerem się nie stanie”.

Aby nie dać okazji do manifestacji, władze zorganizowały spotkanie głowy Kościoła katolickiego z „osobą

prywatną” w Tatrach dopiero w ostatnim dniu pielgrzymki. Lecha i Danutę z czwórką najstarszych dzieci dowieźli wojskowym helikopterem do Zakopanego funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu (niektórych znał z Arłamowa). Nazajutrz rano, 23 czerwca, zawieziono ich do schroniska w Dolinie Chochołowskiej. Po kilku godzinach przyjechał Jan Paweł II. Gdy usiedli w sali jadalnej schroniska, papież wymownie wskazał na ściany i sufit. O czym będziemy rozmawiać? – zapytał. „Otoczenie było

naszpikowane mikrofonami, więc nie można było niczego konkretnego mówić – opowiada Wałęsa. – Powiedziałem to, co powtarzałem ludziom władzy – Cioskowi i innym – że to my jesteśmy zwycięzcami, bo komunizm się skończył. Ojciec Święty popatrzył na mnie dziwnie, z niedowierzaniem”.

Prywatna audiencja z Janem Pawłem II ponownie wyniosła Wałęsę na czołówkę prasy światowej i polskiej sceny publicznej. Zupełnie błędnie zinterpretował natomiast to spotkanie ksiądz Virgilio Levi,

zastępca redaktora naczelnego watykańskiego dziennika „L'Osservatore Romano”, który napisał, że tatrzańska audiencja była honorowym zakończeniem kariery politycznej przewodniczącego.

Natychmiastowa dymisja księdza dowiodła, że jego artykuł był całkowicie sprzeczny z intencjami papieża.

O tym, że publiczna kariera Lecha Wałęsy jest daleka od zakończenia, świadczyły wizyty kolejnych gości w mieszkaniu na Zaspie. Pod koniec czerwca był tam jeden z amerykańskich

senatorów. – Obecny rząd ma charakter przejściowy – oznajmił bezceremonialnie Wałęsa. – Inwestowanie w Polsce nie ma sensu, gdyż system ustrojowy jest niewydolny i niereformowalny. Stan gospodarki nie ulegnie poprawie. Pytany o reformę projektowaną przez władze odparł, że jest ona tylko makijażem i „nie spowoduje uzdrowienia trupa”. Opowiedział się za utrzymaniem, a nawet zaostreniem sankcji Stanów Zjednoczonych wobec PRL.

Przedstawiony wcześniej papieżowi pogląd o kryzysie całego bloku sowieckiego Wałęsa powtórzył też w rozmowie z przedstawicielami rodziny Kennedych, którzy latem odwiedzili go w Gdańsku. Komunistyczne ideały się nie sprawdziły, reformy są konieczne, ale nasza wierchuszka nie dorosła do tych zmian – mówił. – Straszą i krzyczą. Upierają się przy rozwiązaniach, które się nie sprawdziły. Ale zmiany są niezbędne, gdyż system globalnie i gospodarczo nie zdał

egzaminu. My w Polsce zaczęliśmy to wszystko i jesteśmy najbardziej przygotowani do zmian. Jeżeli nam się powiedzie, to zmiany będą się rozszerzać na Czechosłowację, Związek Radziecki, NRD i inne kraje bloku. Bo innej drogi niż reformy nie ma. „Można jeszcze pożyczyć 10 miliardów dolarów lub kilka agrafek, aby przypiąć urywającą się kieszeń gospodarczą, ale to nie rozwiąże problemu”. Sytuacja ekonomiczna jeszcze się pogorszy i wtedy już zmiany

będą musiały nastąpić. Ten sformułowany na kilka lat przed pierestrojką scenariusz nieźle świadczył o politycznej dalekowzroczności przewodniczącego i jego doradców. Chyba jednak nawet on, urodzony optymista, nie przypuszczał, że przyjdzie czekać jeszcze pięć lat na powrót do polsko-polskiego dialogu.



# Nobel

W sierpniu 1983 roku, w rocznicę wielkiego strajku, Lech Wałęsa podjął próbę ofensywy. 4 sierpnia potępił uchwalone przez sejm ustawy wprowadzające znaczną część instrumentarium prawnego stanu wojennego do prawa PRL. Ustawy te (między innymi o urzędzie ministra spraw wewnętrznych i „o szczególnej regulacji prawnej w okresie przewycięzania kryzysu

społeczno-ekonomicznego”) ocenił jako „cofnięcie się w zakresie swobód obywatelskich nie tylko poza rok 1980, ale nawet poza rok 1956”. Tego samego dnia spotkał się w Świętej Brygidzie z grupą wypuszczonych z więzienia działaczy Solidarności. Mówiono o konieczności przywrócenia pluralizmu związkowego i o pogarszającej się sytuacji ekonomicznej kraju. „Kiedy masy staną się dostatecznie zdenerwowane, będziemy mogli prowadzić je do zwycięstwa” – przewidywał Wałęsa, cytowany

przez obecnych na spotkaniu zachodnich korespondentów. Składając 15 sierpnia wieniec pod Pomnikiem Poległych Stoczniowców, na czele kilkusetosobowej grupy robotników wezwał do zorganizowania tydzień później manifestacji w tym samym miejscu. Jeśli nie dojdzie do negocjacji z Solidarnością, „nastąpi kolejny, słuszny protest klasy robotniczej” – oznajmił. Do protestów i rozmów wezwał wcześniej tajny komitet Solidarności w Stoczni Gdańskiej.

Władze PRL nie  
odpowiedziały na to wezwanie,  
ale 25 sierpnia zorganizowano  
w stoczni spotkanie  
wicepremiera Mieczysława  
Rakowskiego z załogą. Na sali  
BHP – tej samej, w której trzy  
lata wcześniej podpisano  
porozumienie gdańskie – znalazł  
się także najstawniejszy  
pracownik zakładu. W środku  
budynku i wokół niego zebrali  
się blisko dwa tysiące osób.  
Efekt publicznej wymiany zdań  
między wicepremierem a „osobą  
prywatną” był odwrotny od  
oczekiwanego przez

organizatorów. Na tle rozgorączkowanego Rakowskiego opanowany i pojednawczy związkowiec wypadł korzystnie, co było ważne, gdyż dzięki relacji telewizyjnej wielu ludzi mogło go zobaczyć – po raz pierwszy od 1981 roku. Wałęsa, polityk z refleksem, wykorzystał okazję, by przedstawić komunistom poważną ofertę. „Ze strony »Solidarności« były błędy, ale ze strony rządowej, moim zdaniem, były jeszcze większe – mówił. – Nie chcemy burzyć socjalizmu, nie chcemy przejąć władzy, nie

chcemy podważać sojuszy. Chcemy, byście siedli z nami do stołu i pogadali o błędach”. Tej linii, odzegnującej się od zamiarów obalenia rządów PZPR, przywódcy opozycji trzymali się konsekwentnie aż do Okrągłego Stołu. „Tylko tą ścieżką – pozorów, łagodnych słów i gry z władzą – można było wyjść z impasu” – ocenia po latach historyczny lider związku.

Partner ewentualnego porozumienia był jednak w tym czasie jak najdalszy od myśli o kompromisie. W gabinetach

rządowych zastanawiano się raczej, czy nie sięgnąć po środki z policyjnego arsenału. Manifestacja 15 sierpnia i podjęcie żądań tajnej komisji zakładowej Solidarności przez przewodniczącego zostały uznane w MSW za dobry pretekst do uderzenia w niego. 18 sierpnia 1983 roku wiceminister spraw wewnętrznych Władysław Pożoga zaproponował premierowi Jaruzelskiemu wszczęcie śledztwa przeciwko Wałęsie pod zarzutem nawoływania do niepokoju

publicznego i brania udziału w związku, który został rozwiązany. Komunikat o rozpoczęciu śledztwa planowano ogłosić przed 22 sierpnia, aby zniechęcić do planowanej demonstracji. Natomiast po 31 sierpnia Wałęsa miał zostać aresztowany. W notatce przekazanej najwyższym władzom pieczętowanej wyliczano „działania godzące w porządek prawny PRL” podejmowane systematycznie przez przywódcę Solidarności. Rządowi prawnicy uważali, że



Wałęsie można postawić zarzut popełnienia przestępstwa. Jednak szefowie PZPR nie zdecydowali się na jego ponowne uwięzienie – zapewne w obawie przed reperkusjami międzynarodowymi.

W końcu września 1983 roku podjęto inną próbę skompromitowania Wałęsy i przekreślenia jego drugiej szansy na Nagrodę Nobla. W najlepszym czasie, zaraz po „Dzienniku”, telewizja pokazała jego rzekomą, spreparowaną przez Biuro Studiów MSW rozmowę w Arłamowie z

bratem, której głównym tematem były pieniądze. Nagranie sporządzono na podstawie kasety magnetofonowej skonfiskowanej Stanisławowi Wałęsie rok wcześniej, po jego odwiedzinach u Lecha w Arłamowie. Sfałszowany stenogram tej pełnej wulgaryzmów „rozmowy braci” był przez wiele miesięcy rozsyłany przez generała Ciastonia do lokalnych ogniw MSW z zaleceniem poufnego kolportażu jako nieoficjalnego przecieku. Szef SB wskazywał,

że materiały powinni otrzymać „przede wszystkim aktywiści b. »Solidarności« oraz ludzie cenieni przez działaczy podziemia, tj. byli doradcy »Solidarności«, wszyscy biskupi [...]. Należy przemycić je również do większych zakładów pracy, zwłaszcza tych, w których pozycja b. NSZZ »Solidarność« była stosunkowo mocna”. Specjalna przesyłka została wyekspediowana także do prymasa Polski i do Watykanu.

Maszynopis zatytułowany *Rozmowa Lecha Wałęsy z bratem*

pułkownicy Płatek i Pietruszka pokazywali już rok wcześniej – 12 listopada 1982, na dzień przed zwolnieniem Wałęsy z internowania – księdzu Orszulikowi. Kapłan stwierdził wówczas stanowczo, że „słownictwo i styl nie są Lecha Wałęsy”, i zakwestionował wiarygodność tekstu. Być może dlatego nie zdecydowano się wtedy na upublicznienie sfalszowanej rozmowy. Zniechęcać mógł także dziwaczny eksperyment przeprowadzony w maju 1983 roku w Fabryce Maszyn

Żniwnych w Płocku. Przewypadkowo dobranej grupie pracowników zakładu puszczone film o „rozmowie braci” z zamiarem zbadania ich reakcji. Centrum Badań Opinii Społecznej, któremu to zadanie zlecono, stwierdziło, że warunki owego eksperymentu urągały zasadom badań socjologicznych i na tej podstawie nie da się sformułować żadnych uogólniających wniosków. „Przez pierwsze 5 minut emisji programu badani wykazywali umiarkowane zaniekowanie, zaobserwowano w tym czasie

rozmowy, szepty, uśmiechy. Już na początku projekcji (po 2 pierwszych stronach stenogramu) salę opuściło 31 osób – napisano w sporządzonej przez CBOS informacji. – W toku dalszej prezentacji materiału zauważono następujące zachowania: zniecierpliwienie, opuszczanie sali (następne 32 osoby), rozmowy, niespokojne kręcenie się na krześle, spoglądanie na wychodzących itp.”. W końcu ktoś uszkodził reflektory. Do końca projekcji dotrwało 25 osób, które prowadzącemu całą

impreszę Markowi Barańskiemu z „Dziennika Telewizyjnego” zadały serię pytań. Czy program znany jest władzom Kościoła? Czy zna go Lech Wałęsa? Co Barański właściwie chciał osiągnąć, pokazując go? I w końcu: dlaczego prywatna rozmowa między braćmi została nagrana i jest publicznie prezentowana?

Jeżeli po tak negatywnej reakcji zdecydowano się wyemitować ten filmowy paszkwil w telewizji, to pewnie dlatego, że komunistom bardzo zależało na tym, aby Wałęsa nie

dostał Nagrody Nobla. O kulisach fałszerstwa wspomina Wasilij Mitrochin, archiwista KGB, który wyjechał z Rosji na Zachód w 1992 roku wraz z ogromnym zbiorem dokumentów na temat sowieckiej tajnej policji i jej sojuszników w krajach Układu Warszawskiego. Film miał być nakręcony ukrytą kamerą; przedstawiał Wałęsę w Arłamowie podczas jego urodzin, siedzącego przy stole z bratem Stanisławem. „Dialogi zmontowano, wycinając fragmenty zdań z różnych



publicznych wystąpień  
przewodniczącego  
»Solidarności« oraz wyjątki ze  
skradzionego fonicznego  
nagrania urodzinowego, które  
połączył słowem pewien  
warszawski aktor, imitujący głos  
Wałęsy” – opowiada Mitrochin.  
Fikcyjna rozmowa dotyczyła  
rzekomego miliona dolarów  
czekającego na Lecha na  
Zachodzie. Stanisław miał je w  
imieniu brata odebrać i złożyć  
w „papieskim banku” w  
Watykanie. Jeszcze bardziej  
absurdalnie brzmiał fragment, w  
którym Wałęsa narzekał na to,

że nie dostał w 1982 roku Nobla, ponieważ Kościół wystawił kandydaturę papieża. Zakładano, że film skompromituje lidera Solidarności zarówno w oczach Komitetu Noblowskiego, jak i Ojca Świętego.

Usiłowania te spaliły na panewce. Dzień po emisji oszczerczego programu Wałęsa został owacyjnie przywitany przez wielotysięczną widownię meczu piłkarskiego Lechii Gdańsk z Juventusem Turyn. Tydzień później, 5 października 1983 roku, otrzymał pokojową

Nagrodę Nobla. Przypieczętowało to klęskę polityki oczerniania i izolacji, jaką władze PRL prowadziły przez dwa poprzednie lata wobec przywódcy Solidarności.

O tym, że Komitet Noblowski uhonorował go za „osobiste poświęcenie w obronie praw pracowników do tworzenia własnych organizacji związkowych”, Lech Wałęsa dowiedział się podczas wyprawy za miasto na grzyby. Gdy wrócił do Gdańska, pod domem czekał już na niego wielki tłum. Ludzie uznali

nagrodę za narodowy sukces, podobny temu, jakim był wybór papieża.

„Uważam, że jest to nasza wspólna nagroda, uznanie dla nas wszystkich, którzy chcemy iść do prawdy pokojową drogą, poprzez porozumienie – mówił z okna swego mieszkania. – Wierzę, że zasiądziemy do stołu i porozumiemy się dla dobra Polski, ponieważ jesteśmy skazani na porozumienie, czy kto chce, czy nie chce – innej drogi nie ma. Wierzę, że Nagroda Nobla pomoże nam osiągnąć ten cel. Od razu też

zapowiedział, że chce przekazać nagrodę na ręce Kościoła na fundusz rozwoju rolnictwa. Nazajutrz raz jeszcze oświadczył, że „faktycznym laureatem jest cały naród polski. I to naród cierpiący, narażony na upokorzenia”.

Polski związkowiec otrzymał mnóstwo telegramów z całego świata – od innych laureatów Nobla, polityków i mężów stanu, obrońców praw człowieka, przywódców związkowych, nawet od Komunistycznej Partii Norwegii (ta depesza zaczynała się: Towarzyszu Wałęsa!). A

także od wielu tysięcy zwykłych ludzi. Gratulacje złożyli prymas Józef Glemp z wraz z polskim Episkopatem. Jedyną reakcją rządu PRL na międzynarodowy sukces polskiego obywatela był oficjalny protest złożony w Komitecie Noblowskim. Wyjątkowo ciepłe słowa nadeszły z Rzymu. „Szczególnej wymowy nabiera fakt, że została w ten sposób nagrodzona wola i wysiłki podejmowane z myślą o rozwiązaniu trudnych spraw świata robotniczego i społeczeństwa w Polsce na pokojowej drodze szczerego

dialogu i wzajemnej współpracy wszystkich” – napisał papież do Lecha Wałęsy w dniu przyznania nagrody. Istotnie, był to jeszcze jeden wyraz uznania dla walki prowadzonej przez Solidarność bez użycia przemocy. Było to także bolesne fiasko wysiłków władz PRL, usiłujących od wielu miesięcy przedstawić Wałęsę w jak najgorszym świetle. Laureat Nobla, a wraz z nim sprawa niezależnego związku, zyskiwał potężny instrument oddziaływania na opinię międzynarodową, wobec

którego komuniści byli bezradni. Represje wobec noblisty nabierały przecież zupełnie innego charakteru niż szykany wobec „osoby prywatnej”.

Lider demokratycznej opozycji w następnych latach wykorzystał uzyskany wraz z nagrodą specjalny status. Bez wahania krytykował politykę władz, ale też stale wzywał je do kompromisu. Przejawem jego umiarkowania była propozycja, by kraje zachodnie zniósły sankcje ekonomiczne przeciwko Polsce, zainicjowane po wprowadzeniu stanu



wojennego. Wałęsa wysunął ją na kilka dni przed uroczystym wręczeniem Nagrody Nobla. „Nadal wbrew wszystkiemu, wbrew temu, co dzieje się w moim kraju od dwóch lat – uważam, że jesteśmy skazani na porozumienie i że trudne problemy sytuacji polskiej mogą zostać rozwiązane tylko na drodze prawdziwego dialogu władz ze społeczeństwem...” – mówił zagranicznym mediom.

Gratulacje od kolegów z podziemia mógł osobiście odebrać podczas ponownego spotkania z TKK 19 i 20

listopada 1983 roku. Było to kolejne świadectwo jedności ruchu. We wspólnym oświadczeniu Wałęsa i przywódcy podziemia skrytykowali politykę gospodarczą rządu, protestując przeciwko zapowiadanym podwyżkom cen. „Był oczywiście koniak na cześć laureata i tort z jedną świeczką (jak będzie druga Nagroda, szarpniemy się na tort z dwiema świeczkami) – wspominał Eugeniusz Szumiejko w *Konspirze*. – Po ceremoniach i gratulacjach zaczęliśmy jednak

Lecha piłować: wyczułeś sytuację. Nobla masz, teraz możesz działać na całego, to wszystko jest przeciw »komuchowi«. Tylko nie daj Boże, żeby cię »komuch« zaczął chwalić!”. To ostatnie laureatowi raczej nie groziło.

6 grudnia Czesław Kiszczak, minister spraw wewnętrznych, a zarazem najbliższy współpracownik generała Jaruzelskiego, zatwierdził plan działań resortu względem Lecha Wałęsy. Zaplanowana na dużą skalę operacja obejmowała próbę izolowania

przewodniczącego od jego najważniejszych doradców politycznych. Prawdziwą wojnę psychologiczną mieli podjąć agenci bezpieczeństwa nasyłani z całego kraju z zadaniem „dezintegracji”, czyli rozbicia gdańskiego kręgu osób związanych z Wałęsą. Czuwać nad realizacją tych zamierzeń miało wspomniane już Biuro Studiów MSW. 8 grudnia zastępca szefa Biura Studiów w piśmie do generała Henryka Dankowskiego, dyrektora Departamentu III MSW, specjalizującego się w

zwalczaniu opozycji, opisał szczegółowo zadania bezpieczeństwa.

„1. Podjąć aktywne działania w stosunku do osób należących do grona doradców Lecha Wałęsy: Władysława Siły-Nowickiego, Tadeusza Mazowieckiego i Bronisława Geremka. Przeciwdziałać ich bezpośredniemu kontaktowaniu się z Lechem Wałęsą, ograniczać negatywne inicjatywy i wpływ na niego. Prowadzić działania dyscyplinujące, np. restrykcje paszportowe.

2. Kierować do miejsca

zamieszkania L. Wałęsy tajnych współpracowników z terenu całego kraju. Zadania ukierunkować na dezintegrację osób z nim związanych, skłócanie, sianie zamętu, wykazywanie spadku zainteresowania i poparcia. Nie będzie miał czasu na inne sprawy. Gdyby odmawiał przyjęć, to osobowe źródła informacji [czyli współpracownicy SB – J. S.] winny rozpowszechniać, że Wałęsa jest nadęty, nieprzystępny, konferuje tylko z ludźmi KOR-u, cudzoziemcami,

dziennikarzami itp. [...]

3. Przemilczeć fakt odebrania przez Danutę Wałęsę pokojowej Nagrody Nobla w oficjalnych środkach masowego przekazu. Suchy komunikat w tej sprawie można zamieścić w gdańskiej prasie lokalnej i np. w warszawskim »Expressie Wieczornym«, w powiązaniu z informacją o odebraniu nagród przez innych laureatów”.

Ponadto specjalna grupa funkcjonariuszy miała przeprowadzać rozmowy z wszystkimi osobami odwiedzającymi Wałęsę, a ich

dane przekazywać do lokalnych jednostek SB, by zablokować dalsze kontakty. Rezultaty tej operacji były, delikatnie mówiąc, mierne. Nie udało się pozbawić Wałęsy kontaktu z warszawskimi doradcami, chociaż niektórzy z nich, jak Bronisław Geremek, trafili nawet do więzienia. Nie udało się również rozbić grupy gdańskich opozycjonistów tworzących biuro przywódcy Solidarności i pracujących z nim na co dzień. Żadnych szans, rzecz jasna, nie było na ukrycie Nagrody Nobla przed polską



opinią publiczną czy nawet zminimalizowanie jej znaczenia. Przemilczenie tego wydarzenia przez rządowe środki masowego przekazu świadczyło o nich jak najgorzej, ale laureatowi nie zaszkodziło.

3 listopada Wałęsa potwierdził, że całą nagrodę – 1,5 miliona koron szwedzkich – przekazuje Episkopatowi Polski na fundusz rozwoju rolnictwa indywidualnego, a do czasu zarejestrowania tego funduszu pieniądze pozostaną na koncie Fundacji Nobla. Na uroczystość wręczenia nagrody do Norwegii

nie pojechał, obawiając się, że władze PRL nie wpuszczą go z powrotem do kraju. W jego imieniu Nobla odebrała 10 grudnia 1983 roku w Oslo pani Danuta w towarzystwie najstarszego syna, Bogdana. W imieniu męża podziękowała za nagrodę stanowiącą dowód życia i siły idei Solidarności. W tym wystąpieniu przedstawione zostały naczelne zasady ruchu: „Pragniemy pokoju – i dlatego nie chwytaliśmy i nie chwytny za narzędzia siły fizycznej. Łakniemy sprawiedliwości – i dlatego jesteśmy wytrwali w

walce o nasze prawa. Domagamy się wolności przekonań – i dlatego niczyich sumień nie zniewalamy i zniewalać nie będziemy. Walczymy o prawo ludzi pracy do zrzeszania się i o godność pracy”.

Następnego dnia na uniwersytecie w Oslo odbył się wykład noblowski, który w imieniu laureata wygłosił Bohdan Cywiński, autor słynnych *Rodowodów niepokornych*, przebywający na emigracji. (Pierwotnie przemówienie miał odczytać

Tadeusz Mazowiecki, ale nie dostał paszportu). Przywódca Solidarności raz jeszcze postawił w nim porozumienie między władzą a społeczeństwem jako kwestię decydującą dla przyszłości Polski i dla przyszłości Europy. „Przyjmuję tę nagrodę z całym szacunkiem dla jej rangi i zarazem z poczuciem, że wyróżnia ona nie mnie osobiście, lecz jest nagrodą dla »Solidarności«, dla ludzi i spraw, o które walczyliśmy i walczymy w duchu pokoju i sprawiedliwości. [...] Mamy jako

naród prawo do samostanowienia o sobie, do kształtowania swego własnego życia. Nikomu to nie zagraża. Jesteśmy narodem, który ma poczucie odpowiedzialności za swój los w złożonej sytuacji świata. Nadal – wbrew wszystkiemu, wbrew temu, co się dzieje w moim kraju od dwóch lat – uważam, że jesteśmy skazani na porozumienie i że trudne problemy sytuacji polskiej mogą zostać rozwiązane tylko na drodze prawdziwego dialogu władzy ze społeczeństwem. [...]

Dialog jest możliwy i mamy do niego prawo. Mur zdarzeń, które nastąpiły, nie może być przeszkodą nieprzekraczalną. Moją największą nadzieją jest, że mój kraj odzyska swoją historyczną szansę pokojowej ewolucji, że właśnie Polska pokaże światu, że to dialog, a nie siła rozwiązuje najtrudniejsze sytuacje. [...]

Poszanowanie praw człowieka i obywatela w Polsce, poszanowanie naszej tożsamości narodowej leży w interesie Europy. Bowiem w interesie Europy leży Polska

spokojna, a polskie aspiracje do wolności zniweczyć się nie dadzą. Dialog w Polsce jest jedyną drogą budowy pokoju wewnętrznego i dlatego stanowi niezbędny element pokoju w Europie”.

Z trudnego zadania reprezentowania Lecha Wałęsy za granicą pani Danuta wywiązała się znakomicie. Gdy 13 grudnia powróciła do kraju, mąż czekał na nią na lotnisku w Warszawie. Do Gdańska pojechali przez Częstochowę, gdzie złożyli noblowski medal wraz z dyplomem jako wotum w

sanktuarium na Jasnej Górze. Podczas tej długiej podróży byli zatrzymywani przez milicję aż trzynaście razy. W Łodzi zawieziono ich na Komendę Miejską MO i poddano rewizji osobistej. Czyżby szukano pieniędzy z nagrody? Był to raczej sygnał, że w stosunku władz PRL do przywódcy Solidarności nic się nie zmieniło, nadal jest wrogiem, którego każdy ruch będzie śledzony. Od kolejnej konfrontacji związanej z rocznicą grudniową Wałęsa postanowił się uchylić. Kwiaty pod Pomnikiem Poległych



Stoczniovców złożyła  
16 grudnia w jego imieniu żona.

W niewygotoszonym wówczas tekście, opublikowanym później w prasie podziemnej, przedstawił cele programowe ruchu. Odwołując się do porozumień sierpniowych i uznając kierowniczą rolę PZPR w państwie, domagał się zarazem pluralizmu związkowego i relegalizacji Solidarności. Stawiał kwestie społecznej kontroli rządu, uwolnienia gospodarki od nadzoru partii i administracji państwowej, wprowadzenia

konkurencyjności przedsiębiorstw, autentycznego samorządu pracowniczego, niezależności sądownictwa i przestrzegania praworządności. Wśród wartości ideowych ruchu wymienił międzyludzką solidarność, chrześcijański nakaz miłości bliźniego i wyrzeczenie się stosowania przemocy, sprawiedliwość społeczną i „rzeczywistą równość obywatelską” (pod tym sformułowaniem krył się postulat demokracji politycznej). Tradycje narodowe powinny być szanowane, a państwo –

służebne wobec społeczeństwa.

Ten umiarkowany program reform politycznych i ekonomicznych będzie stanowił legitymację związku w latach następnych.

# Wyczekiwanie

Władze nie zamierzały podejmować żadnego dialogu z opozycją, pewne, że uda im się zrealizować własną receptę na wyjście z politycznego i gospodarczego kryzysu. Chciały jednak rozwiązać coraz bardziej palącą kwestię więźniów politycznych, bez czego trudno było liczyć na normalizację stosunków z Zachodem i na kredyty konieczne do naprawy gospodarki. Przede wszystkim

należało przeciąć problem tak zwanej jedenastki, czyli siedmiu członków Komisji Krajowej NSZZ Solidarność – Andrzeja Gwiazdy, Seweryna Jaworskiego, Mariana Jurczyka, Karola Modzelewskiego, Grzegorza Palki, Andrzeja Rozpłochowskiego i Jana Rulewskiego, oraz czterech członków KSS „KOR” – Jacka Kuronia, Adama Michnika, Zbigniewa Romaszewskiego i Henryka Wujca. Wszyscy oni, poza Romaszewskim, byli więzieni bez wyroku sądu od 13 grudnia 1981 roku. W styczniu

1984 roku w Gdańsku prymas Józef Glemp przekazał Lechowi Wałęsie propozycje władz w tej sprawie: uwolnienie więźniów w zamian za wyjazd z kraju bądź obietnicę zaniechania działalności publicznej. Zarówno Wałęsa, jak i sami zainteresowani propozycje te po namyśle odrzucili. Władzom, którym nie na rękę byłyby procesy polityczne, musiały ogłosić amnestię.

W wyniku ustawy uchwalonej w lipcu 1984 roku więzienia opuścili niemal wszyscy (ponad 600 osób) działacze

Solidarności. Można było się zastanawiać, czy weterani oporu, więzieni niekiedy od grudnia 1981 roku, zaaprobują kompromisowy kurs Wałęsy, już przed stanem wojennym oskarżanego przecież o ugodowość. „Nie było dla mnie tak całkiem jasne, że automatycznie zaakceptują wszystkie moje posunięcia, a może dysponując autorytetem, będą dążyli do stworzenia innego ośrodka, obok mnie?” – niepokoił się przewodniczący. Ale nikt nie zakwestionował jego linii. Przeciwnie, po wyjściu

z więzienia wielu regionalnych działaczy – Marian Jurczyk i Stanisław Wądołowski ze Szczecina, Jan Rulewski z Bydgoszczy, Andrzej Słowik i Jerzy Kropiwnicki z Łodzi – przyjechało do Gdańska, by wraz z szefem związku zastanawiać się, co dalej. Jackowi Kuronowi Służba Bezpieczeństwa nie pozwoliła na wyjazd na Wybrzeże, ale dotarł tam Adam Michnik. „Rozmawialiśmy o sytuacji kraju i ruchu związkowego – zanotował po spotkaniu z nim Wałęsa. – Uzgodniliśmy, że



idziemy razem i wspólną drogą”. Michnik wspomina, że spotkanie było bardzo serdeczne i że wyznał Wałęsie, iż się na nim wcześniej nie poznał, co uważa za największy błąd polityczny swojego życia.

Owocem tych wszystkich rozmów były zapewne tezy oświadczenia ogłoszonego przez lidera związku w czwartą rocznicę Sierpnia. Uznając amnestię za posunięcie we właściwym kierunku, Wałęsa wezwał władze do następnego kroku: realizacji zasad pluralizmu związkowego i społecznego, co

miało skutkować społecznym udziałem w niezbędnych reformach. Przedstawił się jako rzecznik kompromisu, ale nie szczędził mocnych słów: „Jest [...] polityczną głupotą wiara w możliwość przewyciężenia głębokiego [...] kryzysu bez podważania do tego zadania całego narodu. Opanowanie bowiem kryzysu, którego jesteśmy świadkami, wymaga ciężkiej, ale mądrze kierowanej pracy, dużych wyrzeczeń i nade wszystko jasnej perspektywy. Żaden z tych warunków nie może być spełniony w państwie,

w którym obywatela traktuje się jako jednostkę siły roboczej, jego zarobki jako groźbę dla równowagi budżetowej, jego ambicje i nadzieje jako zagrożenie ideologiczne i wreszcie jego odważną działalność społeczną jako zdradę Ojczyzny”.

Na pozytywny odzew ze strony władz nie doczekał się. Komuniści szybko powrócili do tradycyjnych metod dialogu. Za złożenie kwiatów pod tablicą upamiętniającą Sierpień na dwa miesiące aresztu skazano we Wrocławiu Władysława

Frasyniuka i Józefa Piniora, świeżo zwolnionych w więzienia. 19 października trzech funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa uprowadziło i następnie zamordowało księdza Jerzego Popiełuszkę, charyzmatycznego duszpasterza Solidarności z Warszawy. W tej sytuacji Wałęsa odstąpił od ugodowej linii (jej wyrazem było powstrzymanie się od manifestacji sierpniowych). 20 października pojechał do Warszawy, by uczestniczyć w modlitwach w kościele Świętego Stanisława, w którym

pracował ksiądz Popiełuszko, a także by naradzić się z Bronisławem Geremekiem, Tadeuszem Mazowieckim i innymi opozycjonistami. Po powrocie do Gdańska 22 października urwał się policyjnej obstawie, by porozmawiać z kierownictwem podziemia. Razem z Bogdanem Borusewiczem, Zbigniewem Bujakiem i Eugeniuszem Szumiejką potępili stosowanie przez władze terroru indywidualnego i szantażu jako trwałej metody walki politycznej. Wydane wspólnie z

członkami TKK oświadczenie podpisał po raz pierwszy od wprowadzenia stanu wojennego: „Przewodniczący NSZZ »Solidarność«”.

Podczas czuwań modlitewnych w kościele Świętej Brygidy w Gdańsku apelował wszakże, by nikt nie dał się sprowokować do demonstracji, na które być może liczy jakaś część aparatu władzy. „Musimy pamiętać, by nasze poczynania nie dawały nikomu foteli ani nie powodowały gabinetowych przesunięć. Jestem przekonany, że trzeba

postępować spokojnie, bez wdawania się w jakiekolwiek bijatyki, których ktoś pragnie, widząc, że stan wojenny niczego nie rozwiązał. Ten, kto postawił na rewolucję, licząc, że my pójdziemy jak stado baranów i że zrobimy mu tę rewolucję – zobaczy, że my zrobimy rewolucję, ale nie taką! My pójdziemy drogą ewolucji, bezpiecznej pokojowej ewolucji”.

Nieco pod prąd nastrojów ludzi, wzburzonych zamordowaniem kaptana, szło także oświadczenie Wałęsy z

30 października. Wezwał w nim do dialogu zarówno władze PRL, jak i działaczy oraz wszelkie podziemne struktury Solidarności. Uczestnikiem takiego dialogu winien być Episkopat Polski. Pomocy oczekiwał także od papieża. Sam zgłosił gotowość odsunięcia się na margines, gdyby to jego osoba miała być przeszkodą do podjęcia rozmów. Sympatyków ruchu poprosił o powstrzymanie się od „demonstracji napięcia” po śmierci księdza Jerzego: „Niech cisza tej żałoby stworzy



wszystkim warunki do rozpoczęcia dialogu”.

Władze to wezwanie potraktowały tak samo jak wszystkie poprzednie. Nie próbowały jednak ingerować w przebieg pogrzebu księdza Popiełuszki, który stał się wielką pokojową manifestacją sympatyków związku. 3 listopada 1984 roku wokół kościoła Świętego Stanisława w Warszawie zebrało się blisko sto tysięcy osób z całego kraju. „Żegnamy Cię, słuگو Boży, przyrzekając, że nie ugniemy się nigdy przed przemocą, że

będziemy solidarni w służbie Ojczyźnie, że prawdą na kłamstwo i dobrem na zło będziemy odpowiadać. Żegnamy Cię w skupieniu, z godnością i nadzieją na sprawiedliwy pokój społeczny w Ojczyźnie naszej. Spoczywaj w pokoju. Solidarność żyje, bo Ty oddałeś za nią swoje życie” – powiedział Lech Wałęsa nad trumną księdza Jerzego. Śmierć księdza była wstrząsem dla całego ruchu wolnościowego, przypominała o nieludzkiej twarzy dyktatury komunistycznej. Ale słowa szefa związku znowu wzywały władze

do dialogu, a społeczeństwo zachęcały do powściągliwości.

Umiarkowanie Wałęsy było od czasu do czasu kwestionowane przez bardziej pryncypialnie nastawionych członków ruchu, miało jednak swoje wyraźne granice. Jedną z nich była pamięć o uwięzionych kolegach, inną – wierność sprawie związku. Obejmowało to także otwartą formułę ruchu, jaka się ukształtowała w latach 1980–1981. Toteż Wałęsa nie zaakceptował pomysłu powołania chrześcijańskich związków zawodowych na

miejsce Solidarności. Dyskusję na ten temat, odbywającą się po amnestii 1984 roku, wspominał Bronisław Geremek. – Jaka byłaby panów opinia, gdyby padła propozycja, aby zamiast Solidarności założyć chrześcijańskie związki zawodowe? – zapytał podczas jednego ze spotkań w sekretariacie Episkopatu arcybiskup Bronisław Dąbrowski. Obecni na spotkaniu doradcy wyrażali różne zdania. Ale stanowisko Lecha było krystalicznie jasne – relacjonował Geremek. –

Jestem chrześcijaninem, powiedział, ale nie chcę chrześcijańskiego związku zawodowego, bo potem bym dzielił, pytał się, czy ty jesteś chrześcijanin, czy nie. Arcybiskup przyjął to ze zrozumieniem. W tej sprawie Kościół nigdy nie podejmie decyzji, nie powie stronie rządowej, że akceptuje. Tu się społeczeństwo musi wypowiedzieć. A jeżeli ktoś reprezentuje społeczeństwo, to właśnie Solidarność – powiedział. Był to jeden z tych momentów, w których postawa

Wałęsy przesądziła o tym, że opozycja nie weszła w pułapkę złego kompromisu, a sprawa Solidarności nie została porzucona na rzecz fałszywych rozwiązań zastępczych.

„Nie ma szans, żebyśmy przegrali, postawiliśmy na konia zwycięskiego – zapewnił Wałęsa kilka tygodni później podczas zgromadzenia w kościele Świętego Maksymiliana Kolbego w podkrakowskich Mistrzejowicach. – Problem jest w czasie i w cenie. Jeśli chcemy mniej płacić, to się wyciąga w czasie, jeśli byśmy chcieli

szybciej – musimy więcej płacić”. Wielkie zwycięstwo można byłoby odnieść już dziś, ale za bardzo wysoką cenę. A przecież ten kraj należy do nas – przekonywał. Starał się umocnić nadzieję na wygraną, ale nie obiecywał łatwego ani szybkiego zwycięstwa. Na podstawie trzeźwego rachunku sił oraz kalkulacji kosztów – ludzkich i politycznych – proponował uczestnikom ruchu długi marsz do nowego porozumienia. Jednak nastroje działaczy Solidarności po zamordowaniu księdza

Popiełuszki były dość radykalne. Kolejna rocznica Grudnia '70 zakończyła się w Gdańsku bitwą z milicją. 16 grudnia 1984 roku najpierw została odprawiona msza w kościele Świętej Brygidy, w której wraz z Wałęsą uczestniczyli między innymi Andrzej Gwiazda, Bogdan Lis, Karol Modzelewski, a po niej przewodniczący poprowadził manifestację pod Pomnik Poległych Stoczniovców, gdzie czekało ZOMO. Gwiazdę aresztowano i pobito.

Partia nie zamierzała ustępować ani na jotę. Po



pospiesznym procesie sądowym bezpośrednich zabójców księdza Popiełuszki powrócono do zwalczania Solidarności metodami policyjnymi. W lutym 1985 roku znowu aresztowano wypuszczonych kilka miesięcy wcześniej z więzienia Władysława Frasyniuka, Bogdana Lisa i Adama Michnika. Bezpieka wtargnęła podczas jawnej narady zwołanej w Gdańsku przez Wałęsę, ale jego nie zabrano. Został potem wezwany na przesłuchanie – odmówił zeznań.

Kilka dni później rzecznik

prasowy rządu tłumaczył, dlaczego również jego nie uwięziono: „Lech Wałęsa okazał się postacią niepoważną, żalostną w swoim tragizmie. Władze państwowe mają poczucie, że naraziłyby się po prostu na śmieszność, stosując areszt wobec Wałęsy, osoby niesamodzielnej w swoich poczynaniach, tańczącej tak, jak przygrywają rozmaici doradcy”. W istocie ekipa generałów czuła respekt przed laureatem Nagrody Nobla; przewidywała, że wymierzona w niego akcja represyjna przyniosłaby fatalne

skutki na arenie międzynarodowej. Z Frasyniukiem, Lisem i Michnikiem poczynano sobie natomiast bez pardonu. Po parodii procesu w czerwcu 1985 roku sąd w Gdańsku skazał ich na kilkuletnie kary więzienia.

Liderzy ruchu nie cofali jednak dłoni wyciągniętej w stronę władz. Kolejną ofertą dialogu był raport *Polska - 5 lat po sierpniu*, opublikowany w rocznicę porozumienia gdańskiego. Tamto porozumienie nie było wynikiem

wyjątkowej sytuacji – zauważał we wstępie Lech Wałęsa. Jest to jedyna rozsądna droga, na której społeczeństwo może dochodzić swoich praw. „W chwili obecnej nic nie wskazuje na to, że porozumienie jest możliwe. Przeciwnie, władza wydaje się zdolna tylko do represji, a w społeczeństwie gromadzi się nienawiść. Porozumienie jednak nie jest tylko sprawą chwili. Można powiedzieć, że z narodowego punktu widzenia nie ma innego wyjścia niż dogadywanie się”. Raport, przygotowany przez

związanych z Solidarnością specjalistów, prezentował fatalny stan kraju i projekty koniecznych reform. Nie można było ich przeprowadzić bez uruchomienia społecznej aktywności i otwarcia sfery publicznej dla sił niezależnych. Przywódca związku i jego najważniejsi doradcy – Bronisław Geremek i Tadeusz Mazowiecki – proponowali podział tej sfery na dwie części: polityczną, w której nadal rządziłaby PZPR, oraz społeczną, gdzie panowałby pluralizm poglądów i organizacji.

Domagano się więc ograniczonej swobody realizowania demokratycznych aspiracji, oferując w zamian uznanie kierowniczej roli partii komunistycznej w państwie. Pierwszym krokiem owego porozumienia powinna być legalizacja Solidarności.

Raport został uważnie przeanalizowany przez ekipę Jaruzelskiego, ale żadnej odpowiedzi na zawartą w nim ofertę nie było. Nic nie zapowiadało zmiany dotychczasowej polityki zwalczania opozycji. W całej

Polsce trafiali do więzień – albo do nich powracali – działacze Solidarności, karani najczęściej za druk i rozpowszechnianie podziemnych wydawnictw, a czasem za sam zamiar aktywności „antypaństwowej”. Nie słabła brutalność milicji. W listopadzie 1985 roku zmarł w Olsztynie student Marcin Antonowicz pobity przez funkcjonariuszy MO. W grudniu bojówka SB napadła na jednego z solidarnościowych duszpasterzy, księdza Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego z Nowej Huty. W lutym 1986 roku

próbowano wytoczyć Władysławowi  
proces o zniesławienie  
członków komisji wyborczej,  
gdyż zakwestionował  
wiarygodność oficjalnych  
danych o frekwencji podczas  
wyborów do sejmu,  
zbojkotowanych przez  
Solidarność. Władze same  
jednakże wolały się wycofać z  
tej farsy, sprawa zakończyła się  
umorzeniem.

Większe sukcesy bezpieczeństwa  
odnosiła na polu walki z  
podziemiem. W styczniu 1986  
roku w jednej z tajnych drukarni  
w Gdańsku aresztowano



Bogdana Borusewicz. W maju w Warszawie w ręce SB wpadł Zbigniew Bujak wraz ze swymi współpracownikami: Ewą Kulik i Konradem Bielińskim. „Tragedią naszej ojczyzny jest dzisiaj fakt, że Zbyszek i jemu podobni muszą walczyć o elementarne prawa, zamiast budować, przewodzić, przyczyniać się do rozkwitu Polski – napisał z tej okazji Wałęsa. – Wierzę jednak i będę wierzył nadal, że walka skończy się zwycięstwem i to, co dziś jest marzeniem, będzie jutro rzeczywistością”.  
Przesłuchiwany w sprawie

Bujaka odmówił zeznań.

Droga represji wiodła donikąd, toteż we wrześniu 1986 roku władze przeprowadziły kolejną, ostatnią już amnestię. Wolność odzyskali Frasyniuk, Lis i Michnik, a także Bujak, Borusewicz, Leszek Moczulski i wielu innych. Przywódcy solidarnościowej opozycji uznali amnestię za otwarcie pola do kompromisu. 29 września szerokie kierownictwo ruchu z udziałem działaczy zwolnionych z więzienia zgromadziło się w Gdańsku z okazji urodzin Lecha

Wałęsy. We mszy w kościele Świętej Brygidy uczestniczyło kilka tysięcy osób. Od świętowania ważniejsze były polityczne aspekty spotkania. W wyniku narady jubilat następnego dnia powołał Tymczasową Radę NSZZ Solidarność. Instytucja ta, jawna, złożona – poza Wałęsą – z amnestionowanych przywódców ruchu, miała świadczyć o gotowości do dialogu, który rządowi trudno byłoby prowadzić z podziemną TKK.

„Przeszkody utrudniające

dialog znajdują się po jednej i po drugiej stronie. Nie rezygnując z tego, co stanowi o realizacji ideałów »Solidarności«, jesteśmy skłonni przystąpić do likwidacji tych przeszkód, które w świadomości władz funkcjonują jako bariery wzniesione przez »Solidarność« – deklarował lider związku. – Uważamy, że przywrócenie pluralizmu związkowego i pluralizmu stowarzyszeń społecznych, umożliwienie zepchniętej w niejawność »Solidarności« działania w zakładach pracy – jest sprawą,

której nie można ominąć, jeśli naprawdę chce się poprawy sytuacji kraju. Przywrócenie pluralizmu związkowego i stowarzyszeń w ramach określonych Konstytucją staje więc na porządku dnia. Wielokrotnie powtarzałem, że nie chcemy konspirować. Trzeba wypracować i uzgodnić nowy model działalności, który umożliwi przejście od działań konspiracyjnych do działalności jawnej i legalnej. Tym samym rozwiązany zostałby najbardziej bolesny i jeden z najtrudniejszych obecnie

problemów społecznych i politycznych, co niewątpliwie byłoby krokiem w kierunku porozumienia dla ratowania kraju przed gospodarczą i ekologiczną katastrofą”.

Trudno byłoby znaleźć ton bardziej umiarkowany. Wałęsa sugerował przecież, że Solidarność mogłaby się zgodzić na tymczasowe ograniczenie swojej działalności do szczebla zakładowego. W liście wystosowanym równocześnie do Rady Państwa prosił o uchylenie przejściowych, blokujących pluralizm

związkowy przepisów ustawy o związkach zawodowych, deklarując respektowanie samej ustawy. Kolejnym polubownym gestem był apel o zniesienie sankcji amerykańskich wobec Polski, wystosowany 10 października przez szefa Solidarności i grono opozycyjnych intelektualistów.

Dwa dni później Wałęsa wziął udział w konspiracyjnym posiedzeniu TKK. Był to sygnał, że wszelkie ugodowe posunięcia nie oznaczają gotowości do porzucenia sprawy zdelegalizowanego

związku i działaczy podziemia. Przewodniczący chciał też przekonać kolegów z konspiracji do nowej, dwutorowej polityki, w której Tymczasowa Rada miała pełnić funkcje programowe, a TKK kierować bieżącą działalnością związku. W stosunkach między obiema strukturami panowała jednak nieufność i rywalizacja, której Wałęsie nie udało się przełamać.

Polityka stale wyciągniętej ręki do porozumienia miała swój limit. Granicą ewentualnego kompromisu było zachowanie



wyrazistej tożsamości opozycyjnej przez środowiska niezależne. Toteż zaproszenie kilku opozycjonistów z kręgów katolickich do Rady Konsultacyjnej tworzonej przez generała Jaruzelskiego jesienią 1986 roku zostało odrzucone. Wałęsa był zdecydowanie przeciwny wchodzeniu do instytucji, która miała zastąpić dialog z Solidarnością. – To pułapka zastawiona przez władze – mówił Władysławowi Sile-Nowickiemu, który się skłaniał do przyjęcia oferty generała. Wałęsa uważał radę

za ciało fikcyjne, takie jak fasadowy Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego, któremu przewodniczył katolicki pisarz Jan Dobraczyński. Zapowiedział, że nawet gdyby prymas Glemp poparł projekt Jaruzelskiego, to wystąpi przeciwko niemu, bo „Kościołowi jest oddany tylko w sprawach wiary”. Lider opozycji nie zamierzał szukać kompromisu tam, gdzie go nie było.

Amnestia nie zmieniła wiele w życiu codziennym ludzi Solidarności. Więźniów

politycznych zwolniono, z procesów zrezygnowano, ale nie zaniechano dotkliwych represji administracyjnych wobec działaczy niezależnych. Ze szczególną zaciekłością ścigano uczestników podziemnego ruchu wydawniczego, wymierzano im bez sądu kary grzywny i kilkumiesięcznego aresztu. Odpowiedni artykuł kodeksu wykroczeń dawał kolegom także możliwość konfiskaty „przedmiotów służących do popełnienia wykroczenia”. Oznaczało to często przepadek samochodu,

w którym znaleziono bibułę. Dla przeciwstawienia się temu i w celu pomocy poszkodowanym 10 grudnia 1986 roku Wałęsa powołał Komisję Interwencji i Praworządności NSZZ Solidarność. Ta znakomicie zorganizowana instytucja, kierowana przez Zbigniewa Romaszewskiego i jego żonę Zofię, dzięki środkom finansowym uzyskanym za granicą, przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, potrafiła w dużej mierze zneutralizować materialne szyskany władzy ludowej.

Zbierająca siły opozycja solidarnościowa z coraz większym zainteresowaniem przypatrywała się zmianom w ZSRR. Liberalizacja rozpoczęta przez nowego szefa partii radzieckiej Michaiła Gorbaczowa budziła nadzieje na podobne tendencje w PRL. Tymczasem nie zapomniano o gestach solidarności z rosyjskimi demokratami w duchu *Postania do ludzi pracy Europy Wschodniej*, uchwalonego na I zjeździe Solidarności. W styczniu 1987 roku podpis Lecha Wałęsy znalazł się pod

depeszą do Andrieja Sacharowa, obrońcy praw człowieka i laureata pokojowej Nagrody Nobla. Prześladowanego przez długie lata dysydenta dopiero Gorbaczow uwolnił z zesłania. „Drogi panie Andrzeju, serdecznie witamy pana na wolności. To dobra wieść z Waszego kraju. Pana wolny głos odzywający się do narodów świata jest świadectwem, że możliwe jest porozumienie Polaków i Rosjan oparte na wierze w suwerenne prawa narodów, społeczności i osoby ludzkiej. Widzimy w panu

człowieka, który swoim życiem poświęca to wszystko, co w duchowości rosyjskiej jest dla nas godne podziwu” – napisali uczestnicy polskiej opozycji demokratycznej.

W Warszawie na próżno oczekiwano na gest podobny do telefonu Gorbaczowa do Sacharowa, po którym sławny dysydent mógł powrócić do Moskwy. Dla władz PRL Lech Wałęsa wciąż był *persona non grata*. O laureacie Nobla nie zapominali natomiast odwiedzający Polskę politycy zachodni. W drugiej połowie

dekady utrwalił się zwyczaj przyjmowania przywódcy Solidarności i jego współpracowników przez zagranicznych mężów stanu goszczących w Warszawie. W styczniu 1987 roku z Wałęsą rozmawiał zastępca sekretarza stanu USA John Whitehead, w maju do Gdańska przyjechali senator Edward Kennedy oraz Zbigniew Brzeziński, we wrześniu szef niezależnego związku spotkał się z ministrem spraw zagranicznych Holandii. 27 września odbyło się najważniejsze z tych spotkań – z



wiceprezydentem USA George'em Bushem. Podczas rozmowy z Wałęsą i profesorem Geremkiem w Warszawie Bush przedstawił argumenty, jakie przeciwko legalizacji Solidarności usłyszał wcześniej od Jaruzelskiego. Generał miał przekonywać, że związek stanie na drodze reformie gospodarczej, którą chcą przeprowadzić władze. Wałęsa replikował, że autentyczna reforma gospodarcza nie może się powieść bez Solidarności. Natomiast związek przywrócony do legalnego życia mógłby stać

się gwarantem reform,  
zapewniając im wiarygodność.

Lider Solidarności wręczył  
amerykańskiemu  
wiceprezydentowi memoriał  
wyjaśniający stanowisko ruchu.  
Pisano w nim, że polskie  
aspiracje narodowe i społeczne  
ogniskują się wokół dążenia do  
niepodległości, do wolności i  
demokracji, do racjonalnego  
porządku gospodarczego.  
Stopień realizacji tych aspiracji  
winien być podstawowym  
kryterium oceny sytuacji w  
Polsce. Najważniejsze jest  
przywrócenie legalności

działania Solidarności. Konieczna jest też reforma gospodarcza, ale na wyjście z kryzysu nie ma szans bez uzyskania poparcia społecznego. Z kolei warunkiem wsparcia władzy przez społeczeństwo jest uczestnictwo w decyzjach gospodarczych i w życiu publicznym. Amerykańska pomoc dla PRL powinna być warunkowana postępowaniem w dialogu między władzą a społeczeństwem i poszanowaniem praw człowieka w Polsce.

Sukcesem solidarnościowej

dplomacji był fakt, że ten zarys programu ruchu udało się przedstawić politykowi, który rok później zostanie prezydentem USA. Przekazany Bushowi memoriał prezentował zasadniczą strategię polskiego ruchu demokratycznego. Solidarność dążyła do wolności i niepodległości, ale też akcentowała, że jest gotowa do kompromisu z władzą w imię dobra wspólnego. Stany Zjednoczone, którym zależało na zmianach demokratycznych w Europie Wschodniej, ale obawiały się gwałtownych

wstrząsów i zagrożenia dla kursu Gorbaczowa, przyjęły tę strategię z uznaniem. Rozmowa Lecha Wałęsy z George'em Bushem przyniosła efekty. Amerykańska dyplomacja, nawiązując kontakty z władzami PRL po latach izolacji spowodowanej stanem wojennym, nie porzuciła sprawy Solidarności. Zgodnie z oczekiwaniami polskiej opozycji podkreślała, że warunkiem całkowitej normalizacji wzajemnych stosunków jest uznanie niezależnego związku i podjęcie dialogu z jego

przywódcą.

Najważniejszą wizytą roku 1987 była trzecia pielgrzymka Jana Pawła II do ojczyzny. Bronisław Geremek przekonał przewodniczącego, by z tej okazji ogłosić manifest polskiego ruchu demokratycznego. 31 maja na zaproszenie Wałęsy zgromadziło się w kościele pod wezwaniem Dzieciątka Jezus w Warszawie kilkadziesiąt osób. Byli to weterani opozycji, działacze Solidarności, niezależni intelektualiści, twórcy i artyści. W przyjętym podczas

spotkania oświadczeniu  
stwierdzano przede wszystkim,  
że „Polacy, jak każdy naród  
świata, mają prawo do  
niepodległości”. Mają też prawo  
do życia w demokracji,  
wolności, prawdzie,  
poszanowaniu prawa. 63  
sygnatariuszy manifestu żądało  
swobody zrzeszania się w  
związki zawodowe i inne  
organizacje, wolności słowa i  
sumienia, uznania zasady  
pluralizmu w życiu społecznym i  
politycznym, praworządności i  
niezależności sądów. „Tylko  
Polska, w której realizuje się te

naczelne prawa, może być aktywnym i stabilnym członkiem wspólnoty wszystkich krajów europejskich” – twierdzono, deklarując wyrzeczenie się przemocy.

Oświadczenie majowe stanowiło platformę programową polskiej opozycji demokratycznej. Główną siłę opozycji tworzyła, rzecz jasna, Solidarność, ale w jej skład wchodziły także niezależne stowarzyszenia, ruchy studenckie, chłopskie i środowiska intelektualne. Zgromadzone „na zaproszenie



Lecha Wałęsy” osoby, zwane odtąd od liczby podpisów „sześćdziesiątką”, tworzyły elitę polityczną ruchu solidarnościowego. Będą się jeszcze według tej samej formuły – na zaproszenie przewodniczącego – kilkakrotnie spotykać i zastanawiać nad strategią opozycji. W końcu, jako Komitet Obywatelski Solidarność, przeprowadzą zwycięską kampanię wyborczą w czerwcu 1989 roku.

Dwa lata wcześniej nikt jednak takiego rozwoju

wydarzeń nie przewidywał. Jan Paweł II przybywał w czerwcu 1987 roku do kraju zanikającej nadziei, do społeczeństwa wypalonego, znużonego codzienną walką o przetrwanie w realiach rozkładającego się komunizmu. Zepchnięty do podziemia związek po latach nieprzynoszącego wyraźnych sukcesów oporu tracił siły i poparcie społeczne. Niewielką pociechą były niskie notowania rządzącej PZPR. Pogrudniowa normalizacja udała się częściowo – nie oznaczała aktywnego poparcia dla władzy,

ale zapewniała ludzką bierność pozwalającą sprawować rządy nomenklaturowej oligarchii. Papież przerwał ten stan obywatelskiej hibernacji, po raz kolejny budząc narodowego ducha i stwarzając szansę powrotu Solidarności na scenę publiczną. Miejscem największej demonstracji związku była msza święta, którą Jan Paweł II odprawił w Gdańsku, w osiedlu na Zaspie – tam gdzie mieszkała rodzina Wałęsów. Wezwał do realizacji „wielkiego dziedzictwa polskiej Solidarności”, podkreślał, że

porozumienie gdańskie „pozostaje wciąż zadaniem do spełnienia”. Mówię o Was, a także, w pewnym sensie, za Was – oznajmił setkom tysięcy ludzi zgromadzonym pod transparentami i flagami związku. „Codziennie się modłę za moją Ojczyznę i modłę się za ludzi pracy, i modłę się za to szczególne, wielkie dziedzictwo polskiej Solidarności. Modłę się za ludzi, którzy są związani z tym dziedzictwem, w szczególny sposób za tych, którym wypadało czy wypada ponosić ofiary z tego powodu. I modlić

się nie przestanę, bo wiem, że to jest sprawa wielka”.

11 czerwca wieczorem w rezydencji biskupa gdańskiego w Oliwie papież przyjął na prywatnej audiencji Wałęsę i całą jego liczną rodzinę. Przywódca Solidarności wręczył głowie Kościoła katolickiego swoją wydaną w podziemiu autobiografię zatytułowaną *Droga nadziei*. Powiedział Janowi Pawłowi II, że opozycja nie chce przeprowadzać gwałtownej rewolucji, ale dąży do zmian ewolucyjnych. I nie zejdzie z pokojowej drogi

przemian. „Musi Pan wytrzymać! Będzie dobrze” – usłyszał.

„Naładowałem akumulatory” – mówił po tej rozmowie Wałęsa, z zawodu, jak wiadomo, elektryk. 20 września był w Częstochowie wraz z ogólnopolską Pielgrzymką Ludzi Pracy, w której wzięło udział 50 tysięcy wiernych. Tymczasem władze podjęły jeszcze jeden wysiłek zdobycia poparcia społecznego bez Solidarności. W listopadzie przeprowadzono propagowane jako ważny krok w stronę demokratyzacji systemu referendum, które miało

przynieść akceptację dla rządowych projektów reform. Opozycja wezwała do bojkotu, uznając te projekty za daleko niewystarczające, a sam plebiscyt za imprezę propagandową. W stanowisku ogłoszonym przez Wałęsę mętnym zapowiedziom rządu przeciwstawiono cele ruchu demokratycznego: likwidację nomenklatury, wprowadzenie gospodarki rynkowej, utworzenie społecznego ciała do kontroli nad realizacją zapowiadanych reform i – oczywiście – przywrócenie

pluralizmu związkowego.

„NSZZ »Solidarność« opowiada się za przebudową polskiego życia publicznego na zasadzie trzech pluralizmów: ekonomicznego, społecznego i politycznego. [...] Tak jak było i jest teraz, dłużej być nie może. O to Polaków nie trzeba pytać” – oświadczył przewodniczący. Ludzie w znacznej mierze podzielali ten pogląd – większość nie wzięła udziału w referendum bądź opowiedziała się przeciw kosmetycznym zmianom. Najgorsze dla komunistów wyniki głosowania



zanotowano w Gdańsku. Władzom nie udało się zalegitymizować polityki odgórnej liberalizacji, w której nie przewidziano pluralizmu ani legalizacji niezależnego związku. Próżni na legalnej arenie publicznej, powstałej w wyniku stanu wojennego, ani potrzeby prawdziwych reform nie udało się wypełnić namiastkami.

Przed wyborem dalszej taktyki stanęła też Solidarność. W ruchu toczyła się dyskusja między opcją czysto polityczną, poszukującą porozumienia z władzą i legalizacji opozycji, a

koncepcją stawiającą na samorzutną aktywność społeczną, która oddolnie miała odmienić system w Polsce. Wałęsa stał po stronie tej pierwszej. W perspektywie szefa Solidarności i jego głównych doradców naczelną rolę zajmowała umowa dwóch sił politycznych, która miała zapoczątkować proces zmian demokratycznych.

Stawka za kompromis z komunistami budziła opór części działaczy niezależnych. Nadmierną ugodowość, a także zaniedbanie kwestii socjalnych,

lekceważenie statutu i autokratyczny sposób kierowania związkim wytykała Wałęsie grupa członków dawnej Komisji Krajowej. Do tego grona solidarnościowych dysydentów należeli wszyscy trzej zjazdowi konkurenci Lecha do fotela przewodniczącego: Andrzej Gwiazda, Marian Jurczyk i Jan Rulewski. We wrześniu 1987 roku zwrócili się oni do szefa związku o zwołanie Komisji Krajowej w składzie wybranym na I zjeździe w 1981 roku. Nie doczekali się wówczas odpowiedzi. Do próby

porozumienia doszło dopiero w styczniu 1988 roku. Jednak gdańskie spotkanie Lecha Wałęsy i Bogdana Lisa z Marianem Jurczykiem, Janem Rulewskim i Andrzejem Słowikiem nie zakończyło sporu między historycznymi przywódcami Solidarności. Sprawy nie rozstrzygnęło też powołanie w lutym przez Wałęsę specjalnej komisji rozjemczej. Sam przewodniczący nie był nastawiony koncyliacyjnie do swoich rywali. Kompromisowych propozycji

komisji, ogłoszonych w maju, nie próbował nawet realizować.

Rozpoczęty w 1987 roku spór doprowadził w konsekwencji do podziału związku; jedną z osi tego sporu była ocena stylu przywództwa Lecha Wałęsy. Za arbitralne i niezgodne ze statutem uznawali je sygnatariusze wspomnianego wyżej wystąpienia, którzy założyli Grupę Roboczą Komisji Krajowej. Zasada niekwestionowanego autorytetu przewodniczącego nie przeszkadzała natomiast jego doradcom, do których należeli

wówczas – obok Tadeusza Mazowieckiego i Bronisława Geremka – między innymi Jacek Kuroń, Adam Michnik oraz Lech Kaczyński. Reguła jednoosobowych decyzji oraz tryb nominacji kandydatów do centralnych ogniw związku przez Wałęsę zapewniały tej grupie kontrolę i gwarantowały realizację umiarkowanej linii politycznej, uznawanej za pozbawioną sensownej alternatywy. Owa reguła autorytatywnego przywództwa – można ją streścić, parafrazując znane skądinąd hasło: cała

władza w ręce przewodniczącego – zostanie zakwestionowana dopiero na początku tak zwanej wojny na górze, czyli sporu o kształt przemian i o wpływy w III Rzeczypospolitej.

Wystąpienie Grupy Roboczej przyspieszyło zapewne proces porządkowania struktury kierowniczej ruchu. 25 października, podczas wspólnego posiedzenia Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej i Tymczasowej Rady, powołano Krajową Komisję Wykonawczą NSZZ

Solidarność. Jawna KKW  
zastąpiła obie swe  
poprzedniczki, kończąc  
konspiracyjny okres działalności  
władz związku. Na jej czele  
stanął Lech Wałęsa, który  
wcześniej nie wchodził w skład  
instancji związku tworzonych po  
13 grudnia. Oznaczało to  
dążenie do legalności, ale też  
wzmocnienie pozycji lidera  
zarówno wewnątrz, jak i na  
zewnątrz ruchu. Oprócz Wałęsy  
KKW tworzyli: Zbigniew Bujak,  
Władysław Frasyniuk, Bogdan  
Lis i Janusz Pałubicki z  
Tymczasowej Rady oraz Jerzy



Dłużniewski, Stefan Jurczak, Andrzej Milczanowski i Stanisław Węglarz z TKK. Zaplecze merytoryczne stanowił sekretariat KKW z udziałem Andrzeja Celińskiego, Jarosława Kaczyńskiego, Lecha Kaczyńskiego i Henryka Wujca. Przewodniczący mianował także oficjalną grupę doradców KKW złożoną z Bronisława Geremka, Jacka Kuronia, Tadeusza Mazowieckiego i Adama Michnika.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych najważniejszymi

współpracownikami Wałęsy byli znowu, jak przed 13 grudnia, Geremek i Mazowiecki. Głęboka lojalność i polityczna przyjaźń, jaka łączyła dwóch warszawskich intelektualistów i gdańskiego robotnika, wyrastały ze wspólnoty związanej podczas strajku sierpniowego. Wzajemne porozumienie umocniły doświadczenia lat 1980–1981. Podczas dramatycznych zabiegów o przetrwanie wolnego związku w warunkach komunistycznej dyktatury Mazowiecki i Geremek w najważniejszych

momentach wspierali Wałęsę, tak jak on przekonani o konieczności szukania kompromisu z władzą, nastawieni raczej na obronę uzyskanej porcji wolności niż na walkę o jej rozszerzenie. Było to jednak coś więcej niż tożsamość celów politycznych – u źródeł tej więzi tkwiło poczucie wspólnych wartości, podobne pojmowanie patriotyzmu i racji stanu. Spotkanie prostego stocznioowca, historyka średniowiecza i redaktora katolickiego miesięcznika nie byłoby naturalnie możliwe bez

fenomenowi Solidarności – ruchu, który połączył ludzi z odmiennych kręgów społecznych, z najróżniejszych środowisk ideowych i zawodowych. Ów sojusz zacieśnił jeszcze generał Jaruzelski, wprowadzając stan wojenny, aresztując przywódców i tysiące działaczy związku bez różnicy stanu, wykształcenia i wyznania. Dzień 13 grudnia 1981 roku przewodniczący i obaj jego doradcy uznali za przegraną bitwę, ale nie za klęskę ruchu wolnościowego, pewni, że

prędzej czy później nadejdzie moment powrotu do zerwanego przez władze dialogu. Ta uparta nadzieja, podtrzymywana niekiedy wbrew faktom, pozwoliła ruchowi przetrwać najgorsze lata pogrudniowej stabilizacji. Połączenie charyzmy i energii Wałęsy z analitycznymi zdolnościami Geremka i polityczną konsekwencją Mazowieckiego było kluczem do sukcesu strategii przetrwania, która pozwoliła ocalić zręby niezależnego związku, a zarazem uniknąć pułapek radykalizmu. Jeżeli Solidarność

potrafiła zachować swoją demokratyczną i antykomunistyczną tożsamość, będąc jednocześnie gotowa do rozsądnego kompromisu, było to w dużej mierze ich zasługą.

7 listopada 1987 roku Lech Wałęsa ponownie zaprosił do dyskusji „sześćdziesiątkę” sygnatariuszy manifestu majowego. Tematem debaty, która odbyła się w kościele Miłosierdzia Bożego w Warszawie, było pytanie, czy w warunkach ustrojowych PRL, w aktualnej sytuacji w Polsce i bloku wschodnim możliwy jest

bardziej demokratyczny model sprawowania władzy. „Nie zmawiamy się przeciwko władzy – mamy radzić o Polsce” – powiedział na początku przewodniczący. Podkreślił wiarę w to, że „będzie nam dane żyć w wolnej Polsce – niepodległej, sprawiedliwej, gospodarnej”. Trzeba powrotu na drogę porozumień społecznych – mówił. „Kto w obecnej sytuacji kraju odrzuca porozumienie, ten sieje wiatr”. W kwestii tytułowej manifestował jednak sceptycyzm. „Przeżyliśmy już

niejedną zmianę w polityce PRL: raz liberalizowano się, potem znów dokręcano śrubę, coś nam dawali, a potem odbierali – mówił. – Teraz musi być inaczej: tyle będziemy mieli wolności i demokracji, ile potrafimy sobie wziąć, twardo utrzymać i obronić”. Jednak w dyskusji przeważała opinia, że w obliczu kryzysu gospodarczego kraju i pierestrojki prowadzonej przez Gorbaczowa w ZSRR władze PRL będą bardziej skłonne do ugody ze społeczeństwem. Podstawą tej ugody musi być uznanie niezależnej



reprezentacji społecznej, czyli Solidarności, a z drugiej strony – przestrzeganie przez siły niezależne istniejącego porządku prawnego i konstytucyjnego. Legalizacji Solidarności miała towarzyszyć reforma gospodarcza i ewolucyjna przebudowa państwa w takim kierunku, który godziłby społeczne aspiracje do wolności z interesami obozu rządzącego.

Spotkanie listopadowe było następnym krokiem na drodze do sformułowania warunków nowego porozumienia między

niezależnym związkiem a partią komunistyczną. W tej pracy programowej obok działaczy Solidarności brały udział najlepsze polskie umysły. Naukowcy, pisarze i dziennikarze podjęli zaproponowaną przez Wałęsę rolę zaplecza intelektualnego związku. Miało to zasadnicze znaczenie dla przyszłości.

# Nie ma wolności bez Solidarności

„Liczni zachodni dziennikarze – mówił Jerzy Urban 8 grudnia 1987 roku – pytają mnie często: dlaczego nikt z polskich władz nie zadzwoni do Wałęsy, żeby z nim także zrobić porozumienie narodowe. I powołują się na pewien słynny telefon z Moskwy do miasta Gorki [15 grudnia 1986 roku Gorbaczow zadzwonił do Sacharowa

zestanego do Gorki i pozwolił mu na powrót do stolicy ZSRR – J. S.]. Po pierwsze: jaki sens ma w ogóle rozmowa z kimś, kto z dnia na dzień mówi rzeczy sprzeczne ze sobą i w których długo by szukać sensu? Po drugie: Wałęsa powiedział [...], że dopóki władze używają choćby tylko słowa socjalizm, np. pluralizm socjalistyczny, ekonomia socjalistyczna, prawo socjalistyczne, cytuję: »to nie mamy o czym mówić«. To bardzo szczerą, a istotną deklaracją polityczną, wykluczającą ona rzeczywiście wszelką

rozmowę”.

Wypowiedź rzecznika rządu dowodziła, że w optyce ekipy Jaruzelskiego wciąż nie mieściła się perspektywa porozumienia z ruchem demokratycznym. Z całą pewnością nie zmieniło się to po wystąpieniu Wałęsy 13 grudnia w kościele Świętej Brygidy, po mszy odprawionej w rocznicę stanu wojennego. Reżim generałów kontynuował politykę izolowania lidera opozycji – zarówno w kraju, jak i za granicą.

Na początku 1988 roku nie pozwolono mu pojechać na

konferencję na temat zagrożeń dla ludzkości w XXI wieku, organizowaną w Paryżu przez prezydenta Francji François Mitterranda i noblistę Elie Wiesela. Miało wziąć w niej udział 75 laureatów pokojowej Nagrody Nobla. W goście solidarności pięciu noblistów przyjechało więc 17 stycznia do Oświęcimia, by wraz z Wałęsą uczcić w Polsce rocznicę wyzwolenia obozu koncentracyjnego Auschwitz. „Jako syn tej ziemi – mówił polski noblista w Brzezince – która została naznaczona

stygmą Oświęcimia, modląc się z Wami i oddając hołd wszystkim pomordowanym, pragnę w sposób szczególny pochylić głowę w obliczu dramatu narodu żydowskiego, jaki się tu dokonał. Na tej ziemi przez stulecia współżyła ze sobą – w dobrym i złym – ludność polska i żydowska. Wola najeźdźcy przecięła tę wiekową historię spełnieniem zagłady, o której sumienie ludzkie zapomnieć nie może. Zbrodniczy zamysł wytępienia narodu żydowskiego, od starców po maleńkie dzieci, znalazł swój

fiat w krematoriach Oświęcimia, Trebłinki i innych obozów śmierci. [...] Z ich śmierci przemawia do nas przejmująca i prosta prawda, że wszystkie prawa boskie i ludzkie są złamane, gdy nienawiść podniesiona zostaje do rangi ideologii, której człowiek ulega. Antysemityzm jest imieniem nienawiści. Niech żadne z imion nienawiści nie ma dostępu do nas ani do przyszłych pokoleń". Dawny więzień Auschwitz, pisarz i filozof Elie Wiesel, zadeklarował solidarność z polskim robotnikiem. „Lechu



Ważęso! Ty jesteś Polakiem, a ja jestem Żydem. Jesteś mi bardzo bliski. Obaj wierzymy w to, że trzeba pamiętać, aby dać naszym dzieciom poczucie godności i nadziei. [...] Zapewniamy Cię, że nie zapomnimy o Tobie. Ty jesteś naszym przedstawicielem tutaj, a my będziemy Twoimi przedstawicielami na całym świecie. Będziemy mówili, prosili, przypominali. Dość cierpień”.

Dowodami uznania, jakim cieszyła się na świecie Solidarność i jej przywódca, były

także kolejne spotkania z zachodnimi mężami stanu przybywającymi do Polski. W styczniu Wałęsa rozmawiał z jednym z czołowych dyplomatów europejskich, ministrem spraw zagranicznych RFN Hansem-Dietrichem Genscherem. W lutym został przyjęty – już po raz drugi – przez zastępcę sekretarza stanu USA Johna Whiteheada.

Najważniejsze było jednak to, że sprawa Solidarności powróciła na krajową scenę publiczną. Detonatorem przesilenia społecznego, które

ujawniło słabość zaplecza PZPR i rosnące poparcie dla niezależnego związku, była ogłoszona w lutym 1988 roku podwyżka cen. Pod koniec kwietnia wybuchły strajki w kilku wielkich zakładach – rozpoczęła Huta im. Lenina. Wałęsa przestrzegł władze przed użyciem siły. 1 maja wezwał swój macierzysty zakład do protestu. „Proszę państwa, ja tej rewolucji sam – którą chcę prowadzić ewolucyjnie – nie jestem w stanie wygrać [...]. Jeżeli jutro Stocznia Lenina nie odpowie mi solidarnie, jeśli nie

odpowiecie mi na miarę huty, która czeka [...], to ja mam lecieć z chorągiewką? Czekam na stoczną solidarną!” – zachęcał na wiecu pod kościołem Świętej Brygidy. Nazajutrz Stocznia Gdańska dołączyła do nowohuckiego kombinatu. Na czele żywiołowo rozwijającego się strajku stanęli młodzi robotnicy, którzy najdotkliwiej odczuwali skutki kryzysu i podwyżek cen, ale wśród postulatów znalazło się żądanie przywrócenia Solidarności.

Po raz pierwszy od 1981 roku lider związku włączył się

bezpośrednio do strajku. Choć nie stanął na jego czele, to nadał mu znaczenie ogólnokrajowe. Codziennie obecny w strajkującej stoczni, patronował radykalnej młodzieży, ale równocześnie nie tracił właściwości człowieka kompromisu. W rokowaniach z dyrekcją nie wziął udziału – w tej skazanej na klęskę misji wyręczył go Tadeusz Mazowiecki. Wałęsa żywo uczestniczył w proteście, ale w charakterystyczny dla siebie sposób wszystkie furtki zostawiał otwarte, nie chcąc

zmarnować szansy na rozmowy z rządem, jaka wyłoniła się tuż przed strajkami.

Chęć spotkania z Wałęsą ogłosił w kwietniu w radiu BBC wicepremier Zdzisław Sadowski, odpowiedzialny w rządzie za reformę gospodarczą. Opozycja postanowiła podjąć tę szansę. Andrzej Wielowieyski w imieniu lidera Solidarności zaprosił wicepremiera na spotkanie „sześćdziesiątki”, które miało się odbyć na początku maja. Rzecznik musiał jeszcze zatwierdzić Jaruzelski. 29 kwietnia po długich

wahaniach zgodził się na rozmowę Sadowskiego z Wałęsą na rządowym gruncie, ale ta wiadomość dotarła do Gdańska dopiero 3 maja, gdy trwał już strajk. Wałęsa w stoczni czekał na potwierdzenie spotkania z wicepremierem, ale władze się cofnęły. Partia nie chciała podejmować rozmów ze strajkującym, a więc dysponującym mocnym argumentem przeciwnikiem. Postanowiono odwołać się do sprawdzonych metod. 5 maja siły specjalne MO brutalnie stłumiły strajk w Hucie Lenina.

ZOMO wdarło się do zakładu, bez pardonu bijąc robotników, nie oszczędzając nawet kobiet. Na Wybrzeżu nie zdecydowano się na podobną akcję – być może w obawie o międzynarodowe reperkusje ataku na laureata Nagrody Nobla. Nie podjęto jednak także poważnych rozmów ze strajkującymi.

Osamotniona stocznia nie miała szans, więc przywódcy protestu postanowili go zakończyć suwerenną decyzją – bez porozumienia, ale w sposób honorowy. Radykalną młodzież



stoczniową przekonał do tego kroku Wałęsa; zdobył sobie posłuch u nowego pokolenia związkowców, które miało zdecydować o przełomie 1988 roku. „Nie wychodzimy ze stoczni z tryumfem – napisano w ostatnim komunikacie strajkowym – ale wychodzimy z podniesionym czołem, przekonani o potrzebie i słuszności naszego protestu przeciwko panującym w Polsce stosunkom, przeciwko traktowaniu nas w sposób uwłaczający naszej godności. [...] Pozostajemy wierni hasłu

naszego strajku: Nie ma wolności bez »Solidarności«". Wieczorem 10 maja stocznioowcy opuścili zakład w demonstracyjnym pochodzie, na którego czele szedł Lech Wałęsa z Tadeuszem Mazowieckim, Andrzejem Celińskim, Jarosławem i Lechem Kaczyńskimi.

Przesilenie majowe nie przyniosło ruchowi zwycięstwa, ale potwierdziło jego żywotność. Wkrótce po zakończeniu otwartej fazy kryzysu w ekipie rządzącej zaczęto się zastanawiać, co

zrobić z Wałęsą, którego pozycja wyraźnie się wzmocniła dzięki udziałowi w strajku. Wieloletnie próby ignorowania go nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Specjalna grupa pracująca nad tym problemem w Komitecie Centralnym PZPR proponowała więc jego „stopniowe, ograniczone włączenie [...] do udziału w niektórych przejawach życia społecznego”. Pomysły były różne: od członkostwa w Światowej Radzie Pokoju (jako reprezentanta PRL) przez udział w Radzie Społeczno-

Gospodarczej przy sejmie aż do Rady Nadzorczej Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Rzecz jasna, Wałęsa żadnej z tych propozycji by nie przyjął, ale sam fakt, że zaczęto dostrzegać konieczność uregulowania jego statusu, oznaczał zmianę klimatu politycznego.

Poważniejsze oferty pod adresem sił niezależnych pojawiły się w nieoficjalnych rozmowach Stanisława Cioska, jednego z najbliższych doradców Jaruzelskiego, z księdzem Alojzym Orszulikiem,

który był wówczas dyrektorem Biura Prasowego Episkopatu i współpracownikiem sekretarza Episkopatu arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego. Ksiądz Orszulik miał bezpośrednie kontakty z Wałęsą od czasu stanu wojennego, o czym naturalnie władze wiedziały. Niezobowiązujące propozycje Cioska przekazywał Wałęsie i jego doradcom, którzy często gościli u niego w biurach Episkopatu. Był to sposób na nawiązanie pośredniego dialogu z opozycją, składanie niewiążących ofert i

sondowanie intencji partnera. Ten kanał komunikacyjny między władzą a przedstawicielami Solidarności, gwarantujący dyskrecję i wiarygodny dla obu stron, będzie wykorzystywany aż do Okrągłego Stołu.

Na przełomie maja i czerwca Ciosek przedstawił Orszulikowi projekt uznania opozycji – ale nie Solidarności – i podział miejsc w przyszłym parlamencie. Andrzejowi Stelmachowskiemu, prezesowi Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie i jednemu z

doradców związku, mówił także o możliwości utworzenia stronnictwa chrześcijańskiego. Druga strona nie podjęła tych pomysłów. O porozumieniu z władzą bez rozstrzygnięcia kwestii Solidarności nie było mowy. Przewodniczący przypomniał o tym w oświadczeniu wydanym z okazji czerwcowych wyborów lokalnych, które zbojkotowała połowa obywateli. Polsce potrzebna jest gospodarka rynkowa – pisano – nowy ustrój pracy z prawem do zrzeszania się i pluralizmem związkowym,

swoboda w zakresie tworzenia kultury i obiegu myśli, wolność stowarzyszeń, niezależne od władzy politycznej sądownictwo, reforma prawa. Odpowiedzią na to kolejne wezwanie do dialogu były słowa rzecznika rządu na konferencji prasowej 26 lipca: „Ruch »Solidarność« trwale należy do przeszłości”. Trudno o większą pomyłkę.

Majowe pacyfikacje nie ustabilizowały sytuacji w kraju. Następny etap protestów zaczął się 15 sierpnia 1988 roku w śląskich kopalniach i szybko



objął inne regiony. Tym razem strajki były zorganizowane przez ogniwa niezależnego związku, a najważniejsze żądanie dotyczyło legalizacji Solidarności.

Do Gdańska fala niezadowolenia społecznego dotarła 19 sierpnia. Na wiecu w stoczni Lech Wałęsa zapowiedział rychły strajk, jeżeli Solidarność nie zostanie zalegalizowana. Groźba chyba zrobiła wrażenie. Nazajutrz w Warszawie Andrzej Stelmachowski usłyszał od członka kierownictwa PZPR Józefa Czyrka, że partia zgadza

się na rozmowy z Wałęsą – pod warunkiem, że strajku w stoczni nie będzie. 21 sierpnia przed kościołem Świętej Brygidy, stałym miejscem spotkań ze zwolennikami Solidarności, przywódca ruchu oznajmił, że czeka do wieczora na potwierdzenie rozpoczęcia rozmów w „Dzienniku Telewizyjnym”. Wiadomość o negocjacjach, które z ramienia rządu prowadzić miał generał Kiszczak, nadeszła jednak z Warszawy do Gdańska dopiero o północy. Strajk został już ogłoszony i Wałęsa nie

próbował go odwołać. Jego pozycja negocjacyjna mogła tylko na tym zyskać – jako przywódca protestu społecznego był dla władz silniejszym partnerem niż jako szef zdelegalizowanej organizacji. W chwili gdy pojawiła się realna szansa na dialog, dotąd ostrożny i unikający konfrontacji lider Solidarności zaatakował, przyłączając się do strajku i podnosząc w ten sposób stawkę kompromisu.

Pierwszą reakcją władz na wiadomość o rozpoczęciu

strajku w Stoczni Gdańskiej było wycofanie się z propozycji rozmów. Nie na długo wszakże. W Warszawie zaczęto sobie zdawać sprawę, że jedynym sposobem na trwałe uspokojenie sytuacji w kraju są pertraktacje z przeciwnikiem numer jeden.

Wałęsa formalnie strajkiem nie kierował, ale jego obecność czyniła ze stoczni centrum solidarnościowego protestu. To tutaj 25 sierpnia na rozmowy z przewodniczącym polskiego związku przyjechali szefowie dwóch wielkich federacji

związkowych: Jan Kułakowski ze Światowej Konfederacji Pracy i John Vanderveken z Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych. Władze musiały uznać realia. 24 sierpnia ponowny kontakt nawiązali Czyrek ze Stelmachowskim. Nazajutrz prezes KIK przyjechał do Gdańska po oficjalne stanowisko Lecha. Po naradach w okupowanej przez robotników stoczni zawiózł do Warszawy wstępną ofertę współdziałania na rzecz demokratyzacji, czyli pomocy w przeprowadzeniu

rządowych reform. Zarazem domagano się legalizacji Solidarności i pluralizmu społeczno-politycznego.

Jednoznaczne poparcie Kościoła dla tych postulatów, ze sprawą Solidarności na czele, tegoż dnia otrzymał sekretarz Ciosek od księdza Orszulika. Nieoficjalny przedstawiciel Episkopatu równocześnie odrzucił propozycję odrębnego paktu państwa z Kościołem, odsyłając władze do rozmów z Wałęsą i jego współpracownikami. Dwa dni później biskupi potwierdzili to w specjalnym oświadczeniu:

„Należy przyjąć, że podstawą rozwiązywania wszelkich konfliktów społecznych jest dialog. Trzeba szukać dróg prowadzących do pluralizmu związkowego i do tworzenia stowarzyszeń”.

Chcąc nie chcąc, kierownictwo PZPR zgodziło się na rozmowy z liderem związku – jeszcze podczas trwania strajku. Warunków wstępnych nie stawiano. Oczekiwano jedynie, że po spotkaniu przywódca opozycji podejmie działania na rzecz wygaszenia protestów. 26 sierpnia minister spraw

wewnętrznych Czesław Kiszczak zaprosił w przemówieniu telewizyjnym opozycję do rozmów „okrągłego stołu”. O tym, że zaproszenie obejmuje także Lecha Wałęsę, zapewnił 30 sierpnia rzecznik rządu Jerzy Urban.

Komuniści nie byli jednak gotowi do legalizacji związku. Zamierzali zaoferować opozycji miejsce na scenie publicznej, ale nie pod szyldem Solidarności. Tymczasem dla Wałęsy było oczywiste, że tylko związek może być gwarancją demokratycznych przemian. Te



różnice nie zostały  
przewyciężone 31 sierpnia  
1988 roku, podczas pierwszego  
od sześciu lat spotkania  
przywódcy opozycji z  
reprezentantem rządu, które  
wypadło w rocznicę podpisania  
porozumienia gdańskiego.  
Rozmowy odbyły się w  
dyskretnie położonej willi MSW  
na ulicy Zawrat w Warszawie.  
Lech Wałęsa miał wpięty w  
klapę wizerunek Matki Boskiej i  
znaczek Solidarności. Ta  
manifestacja, jak się okazało,  
była bardzo na czasie.  
„Zapraszamy do »okrągłego

stołu« ludzi »Solidarności«, ale bez »Solidarności«” – mówili Kiszczak i towarzyszący mu Ciosek. „Konstruktywnej opozycji” obiecywano natomiast dopuszczenie do bezpośredniego udziału w sprawowaniu władzy. Jednak Wałęsa odrzucił te pokusy. „Strajkujący żądają powrotu »Solidarności«. Nie możemy ominąć tego tematu – tłumaczył swoim rządowym rozmówcom. – »Solidarność« to swego rodzaju kula magiczna, w której każdy widzi i widział, co chce i co chciał. Było to w istocie dla

każdego coś miłego. Tego nie możemy ludziom zabrać”.

Każdy pozostał przy własnym zdaniu, więc spotkanie zakończyło się bez konkluzji. Jedynym konkretem była zapowiedź dalszych rozmów – pod warunkiem zakończenia strajków. Szef związku zrealizował ten warunek z wielkim trudem, obiecując, że na swoje barki bierze sprawę relegalizacji. W Stoczni Gdańskiej, dokąd powrócił 31 sierpnia późnym wieczorem, został wręcz wygwizdany. Robotnicy nie chcieli znowu

kończyć strajku bez żadnych konkretnych ustępstw ze strony władz. Na wygaszanie protestu bez uzyskania niczego w zamian krytycznie patrzył także Jacek Kuroń. Nawet Adam Michnik uważał, że Wałęsa postąpił nierozważnie i może stracić twarz. „Prawdę powiedziawszy, kiedy wrócił i opowiedział nam przebieg rozmowy, miałem wrażenie, że godząc się przerwać strajki w zamian za iluzję rozmów Lechu poszedł na zbyt wielkie ryzyko” – wspomina. Przewodniczący miał jednak rację. Nie było na co

czekać, fala protestów już opadała. Nigdy zresztą nie osiągnęła wielkich rozmiarów. W sierpniu 1988 roku strajkowało w całej Polsce kilkanaście zakładów – wielokrotnie mniej niż w sierpniu 1980. – Z oferty Kiszczaka nie byłem zadowolony, ale też nie mogłem zbyt podskakiwać – pisze w *Drodze do wolności*. Mimo uzasadnionych wątpliwości, jakie budziła zgłoszona przez władze propozycja „rozmów okrągłego stołu”, nie można było tej szansy przegapić.

Najtrudniej Wałęsie przyszło przekonać górników w kopalni Manifest Lipcowy w Jastrzębiu, którzy rozpoczęli sierpniową falę strajków. Gdy przyjechał do nich 2 września, napotkał stanowczy opór przed opuszczeniem kopalni bez gwarancji bezpieczeństwa dla uczestników protestu i obietnicy dalszych negocjacji w sprawie postulatów górniczych. Podczas gorącej dyskusji groził, że jeśli go nie usłuchają, to wyłączy się z przygotowań do „okrągłego stołu”. Krewcy górniczy nie pozostawali dłużni –

przygotowali nawet taczki do wywiezienia zbyt ugodowego, ich zdaniem, przywódcy. Strajk w Manifeście Lipcowym skończył się dopiero nazajutrz o szóstej rano, po podpisaniu odpowiedniego porozumienia z dyrekcją.

Gdańskie stocznie zakończyły protest 1 września. Strajkująca mniejszość – bo w sierpniowych protestach brała udział jedynie nieliczna grupa pracowników – wychodziła z zakładów z podniesionym czołem. „Na apel Lecha Wałęsy, przewodniczącego NSZZ

Solidarność, opuściliśmy stocznię po 11 dniach strajkowych – pisał w swojej ostatniej odezwie Komitet Strajkowy Stoczni Północnej w Gdańsku. – [...] Wyszliśmy w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku trwania w obronie wartości moralnych i społecznych. Wyszliśmy w atmosferze zrozumienia dla koncepcji POROZUMIENIA NARODOWEGO wyrażającego się w idei »okrągłego stołu«. Z nadzieją będziemy oczekiwać przemian mających przynieść ożywienie dla POLSKI, a tym



samym poprawę bytu POLAKÓW. Nie zrezygnujemy z walki o swoje prawa. Nie zrezygnujemy z walki o NSZZ »SOLIDARNOŚĆ«”.

To połączenie nadziei na porozumienie i determinacji w walce o istnienie swojego związku charakteryzowało cały ruch strajkowy w sierpniu 1988 roku. Przywódca Solidarności musiał zrobić wszystko, by tych nadziei nie zawieść. W życiu czterdziestopięcioletniego Wałęsy rozpoczął się kolejny okres gry o najwyższą stawkę. Ryzyko polegało na tym, że

zabiegając o porozumienie z obozem dyktatury, łatwo było porzucić demokratyczne imponderabilia opozycji. Przystąpienie do pertraktacji pod hasłem „wszystko albo nic” groziło z kolei przekreśleniem perspektywy odbudowy związku. Gasząc strajki, Lech Wałęsa z jednej strony pozbawiał się najbardziej wyrazistego argumentu, z drugiej dowodził, że jest silnym partnerem, który panuje nad swoją bazą polityczną. W oczach władz zyskiwał znaczenie jako lider, który

potrafi uruchomić protest, ale potrafi też go zakończyć. Nikt jednak nie mógł zagwarantować sukcesu. Podejmując wbrew doradcom decyzję o zakończeniu strajków, Wałęsa rzucił na szalę swoje przywództwo. Od wyniku gry, jaką podejmował, zależało o wiele więcej niż jego osobiste powodzenie.

W gruncie rzeczy szansa dialogu, jaka pojawiła się w wyniku strajków, była dla obydwu stron propozycją nie do odrzucenia. Tajne analizy, które dla kierownictwa PZPR

sporządzała bezpieczeństwa, nie pozostawiały złudzeń. Jeśli władza uzna Solidarność, to cała jej działalność po 13 grudnia będzie dezawuowana – pisano w jednej z nich. Jeśli rząd z kolei nie zgodzi się na pluralizm związkowy i rozmowy okrągłego stołu, to trzeba się liczyć z „bardzo niekorzystnymi reakcjami zagranicy (Zachodu i Wschodu)” oraz Kościoła i „kompletnym załamaniem gospodarczym, rozlaniem się fali strajkowej po kraju”. Dobrego wyjścia nie było. Generałowi Jaruzelskiemu pozostawał więc

znowu wybór „mniejszego zła”.

Szefowi PZPR sytuację trochę ułatwiał fakt, że myśl o kontaktach komunistów z opozycją solidarnościową przestała być tabu w ZSRR. 25 sierpnia 1988 roku, a więc w kulminacyjnym momencie kryzysu politycznego w Polsce, „Litieraturnaja Gazieta”, jeden z najbardziej znanych tygodników radzieckich, zwróciła się do ambasady PRL w Moskwie o zgodę na przeprowadzenie wywiadu z Lechem Wałęsą. Z pewnością nie była to zupełnie samodzielna inicjatywa redakcji.

Pismo chciało go zapytać o ocenę sytuacji w Polsce i porozmawiać o celach opozycji. W tym samym numerze zamierzano też zamieścić wypowiedź szefa oficjalnych związków zawodowych Alfreda Miodowicza. W Warszawie przestraszano się jednak perspektywy uznania Wałęsy przez Kreml. „Wyjaśnijcie kierownictwu »Litieraturnej Gaziety«, iż realizacja ich inicjatywy byłaby politycznie szkodliwa” – napisał do ambasadora wiceminister spraw zagranicznych Stefan

Staniszewski. Szkodliwa dla władz PRL, ma się rozumieć. Władze radzieckie były o tym, jak się zdaje, coraz mniej przekonane.

Jaruzelski jeszcze 14 lipca 1988 roku tłumaczył Gorbaczowowi podczas jego wizyty w Warszawie, że nie może uznać opozycji. „Nakłaniają nas na Zachodzie do uznania Wałęsy. Mówią, że Michaił Siergiejewicz Gorbaczow zadzwonił przecież do Sacharowa. Ale Sacharow to nie Wałęsa. Jego samego moglibyśmy jakoś urządzić,

choćby jako pośła, albo  
przyjąć do Rady Konsultacyjnej  
[...]. Były przewodniczący  
wiejskiej Solidarności przecież  
już w niej jest [chodziło o Jana  
Kułaja – J. S.]. Ale za nim  
nie stoi żadna organizacja. A o  
Wałęsie tego nie można  
powiedzieć”. W pewnym sensie  
miał rację. Strajki sierpniowe  
dowodły, że ruch  
solidarnościowy i jego  
przywódca znów stał się  
niebezpiecznym przeciwnikiem  
– lub partnerem. Na Kremlu  
zaczęto coraz poważniej  
rozpatrywać tę drugą opcję. 2



września ambasador PRL w Moskwie przekazywał centrali opinie czynników radzieckich: „Uważają za słuszne próby podjęcia dialogu z Wałęsą – bez przywracania do życia Solidarności – i to na możliwie uczciwych i trwałych podstawach”. Płynąca z Kremla rada, aby dogadać się z liderem opozycji, do tego w sposób „uczciwy i trwały”, sama w sobie świadczyła o poważnych zmianach w polityce radzieckiej doby Gorbaczowa. Pomysł odseparowania Wałęsy od ruchu, któremu przewodził,

szwankował wszakże brakiem realizmu. Takiej możliwości nie było. Następne miesiące pokazały to jednoznacznie.

10 września Krajowa Komisja Wykonawcza NSZZ Solidarność zaaprobowała działania swego szefa: podjęcie rozmów z rządem i zakończenie strajków. Władze związku podkreśliły jednak, że warunkiem nowego porozumienia z komunistami i włączenia się w reformowanie kraju jest powrót Solidarności na scenę legalną. Następnego dnia Wałęsa zaprosił

„sześćdziesiątkę” na naradę do Gdańska. Tym razem przybyło 91 osób. Przewodniczący powiedział, że władze chyba liczą się z koniecznością ustępstw, gdyż wiedzą, że jeśli tego nie zrobią, to grożą im w niedługim czasie znacznie silniejsze i bardziej niebezpieczne protesty społeczne. „Czynnik ten musimy mądrze wykorzystać” – stwierdził. Należy zmusić rząd do uzgodnienia rzeczywistych reform w kwestiach gospodarki, niezależnych stowarzyszeń i systemu politycznego. Jeśli to

się nie uda, trzeba będzie wstać od stołu – załogi robotnicze nie przyjmą rozwiązań pozornych. Wałęsa wezwał elitę opozycji do przygotowania merytorycznego programu zmian – konkretnych rozwiązań w wymienionych dziedzinach. Należało także opracować scenariusz relegalizacji Solidarności, która powinna być załatwiona na początku procesu przemian.

„Sześćdziesiątka”, która już wkrótce przekształci się w Komitet Obywatelski, podjęła te zadania. Plonem wrześniowego

spotkania było także stanowcze oświadczenie, w którym opozycyjni intelektualiści odrzucili podsuwaną przez władze ofertę pluralizmu politycznego zamiast Solidarności. Bez ponownej legalizacji związku nie ma mowy o porozumieniu – brzmiało przesłanie gdańskiej narady. Jednak kolejne spotkanie Wałęsy z Kiszczakiem nie przyniosło postępów w tej sprawie. Rozmawiali 15 września znowu na ulicy Zawrat, tym razem w towarzystwie Cioska, Stelmachowskiego i

księdza Orszulika. – Jestem przekonany, że nie ma wolności bez Solidarności – Wałęsa przywoływał hasło sierpniowych strajków. Poparcie Kościoła dla pluralizmu związkowego potwierdził ksiądz Orszulik. „Potrzebny jest krok do przodu: przyjęcie zasady, że jest pluralizm, że jest on potrzebny, a w nim, że jest miejsce dla Solidarności, nie tej z 1981 roku, ale odnowionej – a wtedy przystępujemy do obrad okrągłego stołu z konkretnymi propozycjami” – przekonywał lider opozycji. Bez rezultatu.

Następnego dnia w ośrodku MSW w podwarszawskiej Magdalence, który jeszcze wielokrotnie będzie służył do takich spotkań, rozpoczęły się negocjacje z udziałem wieloosobowych delegacji obu stron. Początkowe stanowiska były zupełnie rozbieżne. Kiszczak chciał uzgodnienia pakietu reform politycznych, łącznie z utworzeniem urzędu prezydenta dla szefa partii, kwestię Solidarności odsuwał jednak na drugi plan. Wałęsa odmówił dyskusji na temat zmian politycznych, żądając

rozwiązania w pierwszej kolejności sprawy związku. „Polska 1988 potrzebuje pluralizmu w gospodarce, w życiu społecznym, w życiu politycznym”. Oczekujemy jasnej odpowiedzi, że w reformującej się Rzeczypospolitej jest miejsce dla Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Solidarność – oświadczył. Przedstawiciele partii tłumaczyli swój opór niechęcią, a nawet strachem aparatu władzy przed powrotem związku na scenę publiczną. „Poczekamy, to nie



potrwa długo – zagroził Wałęsa.  
– Może aparatowi trzeba trzech miesięcy, żeby zrozumiał. Trzy miesiące, które wstrząsną krajem. I zmiany będą szybciej, niż się spodziewacie”.

Po całodziennych, kilkakrotnie znajdujących się na skraju zerwania rozmowach zdecydowano, że przedmiotem obrad okrągłego stołu będą reforma państwa, modernizacja gospodarki i kształt ruchu związkowego. Sukcesem władz była rezygnacja opozycji z żądania legalizacji Solidarności jeszcze przed przystąpieniem do

obrad. Tę kontrowersyjną decyzję Lech Wałęsa podjął swoim zwyczajem samodzielnie, jedynie po konsultacji z Tadeuszem Mazowieckim, stawiając resztę delegacji przed faktem dokonanym. Przekonał go do tego Kiszczak, który zapowiedział rychłą dymisję rządu, co miało przynieść lepszą pogodę dla porozumienia. Wałęsa postanowił raz jeszcze zaryzykować wiarę w dobrą wolę partnera. Wytłumaczył swojej delegacji, że należy się zgodzić na to, by sprawy związkowe były obecne obok

innych w rozmowach okrągłego stołu, a tylko zakończenie obrad nie może się odbyć bez ich załatwienia.

Nowym premierem został Mieczysław Rakowski. Miał opinię partyjnego liberała i plany wolnorynkowych zmian w gospodarce, ale lider opozycji widział w nim raczej agresywnego i nielojalnego negocjatora z 1981 roku. Rakowski z kolei z pewnością zapamiętał upokorzenie z pierwszego dnia stanu wojennego, gdy uwięziony przewodniczący butnie odmówił

z nim rozmowy. Relacji nie poprawiło starcie w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1983 roku, podczas którego ówczesny wicepremier dał się wyprowadzić z równowagi przez elektryka.

Solidarność nie spodziewała się więc zbyt wiele po nowym szefie rządu, ale mimo to przygotowywała się starannie do rozmów. 25 września Krajowa Komisja Wykonawcza powołała zespoły ekspertów, kierowane przez doradców: Bronisława Geremka, Tadeusza Mazowieckiego, Andrzeja

Stelmachowskiego i Andrzeja Wielowieyskiego. Podział ról lapidarnie określił Wałęsa: „Ja będę mówił: »Nie ma wolności bez Solidarności«, w innych tematach będą fachowcy”. We wrześniowym numerze miesięcznika „Konfrontacje” pojawił się pierwszy od 1981 roku w polskiej prasie oficjalnej wywiad z Lechem Wałęsą, co było potwierdzeniem politycznej odwilży.

# Pojedynek

Wedle ustaleń z Magdalenki obrady okrągłego stołu miały się rozpocząć w październiku. Terminu nie dotrzymano. Władze zaczęły mnożyć przeszkody – kwestionowały skład opozycyjnych negocjatorów, liczbę grup negocjacyjnych, a także podział miejsc przy stole, najwyraźniej grając na zwłokę. Do rangi pierwszoplanowej urosła sprawa Jacka Kuronia i Adama

Michnika, których generał Jaruzelski chciał wykluczyć z udziału w rozmowach. Doradcy byli gotowi na to przystać, ale Wałęsa się uparł – nie mógł pozwolić, by partia decydowała o składzie delegacji solidarnościowej. O kolejnych po zakończeniu strajków ustępstwach nie było mowy. Przeciwnie – im bardziej sytuacja się zaogniała, tym bardziej przywódca ruchu usztywniał swoje stanowisko, nie chciał zrezygnować z ustalonych warunków kompromisu. „Do okrągłego

stołu może i powinno dojść, ale nie za wszelką cenę i nie wszelkimi środkami” – oświadczył 27 października.

Tymczasem władze zmierzały raczej w kierunku przeciwnym. 1 listopada premier Rakowski postawił Stocznnię Gdańską w stan likwidacji, potwierdzając najgorsze podejrzenia co do swoich intencji. Decyzję uzasadniano względami ekonomicznymi, ale trudno było jej nie odczytać jako atak na gniazdo Solidarności. Wałęsa ocenił to jako polityczną prowokację wymierzoną w ideę



porozumienia. Jak się zdaje, dużą rolę odegrała osobista niechęć premiera do sztandarowego zakładu Solidarności i jej lidera. A także ambicja wykazania się energią w walce ze związkami zawodowymi przed przybywającą właśnie do Polski Margaret Thatcher. Premier Wielkiej Brytanii zawiodła jednak nadzieje Rakowskiego. Była pierwszym szefem rządu, który spotkał się z Wałęsą po 1981 roku. 4 listopada odwiedziła Gdańsk, gdzie złożyła kwiaty pod Pomnikiem

Poległych Stoczniovców i została przez przewodniczącego podjęta obiadem na plebanii Świętej Brygidy. A w rozmowach z rządem PRL wsparła sprawę Solidarności.

Uznanie ze strony jednej z najbardziej znanych postaci światowej polityki kontrastowało z wciąż wrogim nastawieniem rządu PRL do ruchu demokratycznego. Kontakty między władzą a opozycją zostały praktycznie zerwane. Dwie tury rozmów ostatniej szansy między Wałęsą a generałem Kiszczakiem, do

których doszło pod egidą Kościoła 18 i 19 listopada na plebanii w Wilanowie, nie przyniosły żadnych efektów. Komuniści bali się zapowiedzi uznania związku niczym diabeł wody święconej. Kiszczak nie chciał nawet zadeklarować, że będzie to przedmiotem obrad okrągłego stołu. Toteż w wywiadzie dla podziemnego „Tygodnika Mazowsze” Wałęsa nie ukrywał sceptycyzmu: „Z faktu, że rozmowy są konieczne, nie wynika, że się odbędą”. Zapanował polityczny pat. Inicjatywa jego przerwania

wyszła z najmniej oczekiwanej strony.

Szef prorządowej centrali Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych Alfred Miodowicz, jednocześnie członek władz partii, wezwał Lecha Wałęsę do telewizyjnej debaty. Wytrawny aparaczyk związkowy był przekonany, że łatwo pokona swego robotniczego konkurenta. Otoczenie Wałęsy miało wątpliwości, czy przyjmować to wyzwanie bez kontroli nad przekazem telewizyjnym; nie było też pewne, czy da on sobie

radę z bardziej obytym Miodowiczem. Jednak Wałęsa propozycję natychmiast przyjął, wiedząc, że jest to niepowtarzalna szansa na pokazanie się najszerszej publiczności. „Ja taką rozmowę proponuję od siedmiu lat” – oznajmił. 30 listopada 1988 roku telewizywiści stali się więc świadkami bezprecedensowej dyskusji – naprzeciw członka Biura Politycznego KC PZPR usiadł reprezentant ruchu wolnościowego, któremu wciąż odmawiano prawa do istnienia.

Doradcy przewodniczącego

próbowali go wszechstronnie przygotować, udzielać korepetycji z rozmaitych dziedzin. Jednak – jak wspominał Bronisław Geremek – najważniejsza okazała się pomoc sióstr zakonnych z biura Episkopatu Polski, które napoiły mocno przeziębionego Wałęsę ziółkami. Jedynymi radami, z jakich skorzystał, były techniczne wskazówki dziennikarza telewizyjnego Andrzeja Bobera oraz uwaga Andrzeja Wajdy, by pamiętał, aby powiedzieć: „Dzień dobry państwu”.

Lider Solidarności był w bojowym nastroju, tuż przed wejściem do studia powiedział do Miodowicza: „Zniszczę pana!”. Jednak w trakcie debaty nie był napastliwy. Była to zresztą nie tyle rozmowa z szefem oficjalnych związków, ile spotkanie z bardzo licznie zgromadzonymi przed telewizorami Polakami. Na początku, ignorując partnera, Wałęsa przywitał się z nimi: „Dobry wieczór państwu. Cieszę się z naszego spotkania. Dziękuję tym, którzy nie zwątpili przez siedem lat”. Jego

przesłanie było proste: po latach walki i kłótni nadszedł czas na porozumienie. „Jesteśmy gotowi na wielkie kompromisy” – deklarował. Mocno stawiał postulat pluralizmu związkowego, ale podkreślał też, że zmiany trzeba przeprowadzać stopniowo, a przywrócona Solidarność będzie się różniła od tej z 1980 roku. Wtedy reformy się nie udały, bo „Breżniew żył o dwa lata za długo”, ale w dobie pierestrojki może być inaczej. – Już nie powinniśmy dyskutować, czy pluralizm w Polsce jest



potrzebny i czy się sprawdzi, bo on udowodnił swoje istnienie w świecie – mówił. – Natomiast powinniśmy zastanowić się, w jaki sposób w Polsce w tej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, wprowadzić systemy, które wszędzie na świecie się sprawdziły. Nie dyskutujemy więc już, czy potrzebny jest związek Solidarność, tylko jak go uruchomić.

Laureat Nagrody Nobla bez ogródek pokazał bankructwo komunizmu. – Jesteśmy żebrakami Europy i świata. Nie korzystamy z dorobku Europy.

Czy nas na to nie stać? Stać nas, Polacy mają możliwości, tylko są źle rządzeni. Czas monopolu już minął. Ten system – stalinowska kośćcówka – jest nie do utrzymania – przekonywał. – Pan widzi, że w tym kierunku idziemy. Mimo braku pluralizmu... – nieudolnie bronił się Miodowicz. – Idziecie, proszę pana – ripostował Wałęsa – idziecie krok po kroku, piechotą, a tu samochodami świat jedzie. Jak będziecie tak szli, to będziemy mieli efekty za 200, 300 lat!

Po debacie nie był z siebie

zadowolony. „Pierwsze śliwki robaczywki” – tak ocenił swój występ w rozmowie z Miodowiczem. Jednak dla każdego, kto oglądał tę pierwszą debatę polityczną w historii polskiej telewizji, jego sukces był ewidentny. Tego wieczoru przewodniczący Solidarności odniósł zwycięstwo nie tylko nad szefem OPZZ. Przekreślił także wieloletnie wysiłki komunistycznej propagandy, która przedstawiała go jako osobę całkowicie niewiarygodną, w gruncie rzeczy zwykłego awanturnika.

Wielomilionowej widowni, widzącej go w telewizji po raz pierwszy od wielu lat, przedstawił się jako człowiek umiarkowany, pewny własnych racji przywódca, myślący o przyszłości kraju. „Wałęsa z całym rozmachem wszedł na scenę polityczną, a sposób, w jaki się zaprezentował, oznacza, że władza powinna go traktować jako poważnego partnera” – komentował Rakowski w swoim dzienniku. Równie pozytywna była ocena Urbana: „Miodowicz wypadł w tej debacie fatalnie. Wałęsa –

znakomicie. Był ugodowy i rozważny. Wcielone zaprzeczenie tego wszystkiego, co o nim mówiłem przez siedem lat”. Sam generał Jaruzelski przyznawał, że jego przeciwnik numer jeden zrobił wrażenie człowieka mądrego i poważnego, przekonał Polaków, że nie ma się co bać Solidarności. – Od wczoraj Wałęsy nie sposób już traktować jak osoby prywatnej – powiedział Miodowiczowi dzień po debacie.

Telewizyjny *come back* lidera związku oznaczał też powrót

sprawy Solidarności, której nie dało się już usunąć z politycznej wokandy. W opinii publicznej nastąpił przełom. Trzy czwarte ludzi pytanych zaraz po debacie w telewizji o to, czy należy zalegalizować związek, powiedziało „tak”. W sondażach robionych przez rządowe Centrum Badania Opinii Społecznej podwoiła się (w porównaniu z majem 1988 roku) liczba Polaków opowiadających się za powrotem Solidarności – z 34 do 61 procent. Wzrosła też niepomniernie społeczna pozycja samego Wałęsy. Jeszcze w lipcu

1987 roku tylko 18 procent badanych odpowiadało pozytywnie na pytanie o ocenę działań przewodniczącego i jego współpracowników. W sierpniu następnego roku, według rządowych analiz, odsetek aprobaty wzrósł do 26 procent. Prawdziwy skok nastąpił jednak w listopadzie 1988 roku – 45 procent Polaków uznało, że działania Wałęsy i jego otoczenia są korzystne dla społeczeństwa. A ponad 60 procent ankietowanych oceniło, że był górą w pojedynku z Miodowiczem. (Temu





bezpośredniego kontaktu z ludźmi, pod presją stresu, gdy trzeba podejmować szybkie, samodzielne decyzje, Wałęsa sprawdzał się najlepiej. Wtedy ujawniały się jego zdolności trybuna i charyzma narodowego przywódcy. Przeciwnicy Lecha nigdy nie doceniali tych zdolności, uważając, że jest on jedynie dyrygowaną przez doradców marionetką. Owego listopadowego wieczoru musieli uznać, że jeszcze raz się pomylili.

Sukces na scenie krajowej szedł w parze z udanym

występem międzynarodowym. W grudniu 1988 roku władze PRL w geście dobrej woli po raz pierwszy od siedmiu lat pozwoliły Wałęsie wyjechać za granicę. Trzydniowy (9-12 grudnia) pobyt przewodniczącego w Paryżu był wypełniony rozmowami z prezydentem François Mitterrandem, z francuskim premierem, a także z ministrem spraw zagranicznych RFN Hansem-Dietrichem Genscherem, szefami amerykańskiej centrali AFL-CIO i innych międzynarodowych

federacji związkowych. Szczególną wymowę miała rozmowa z Andriejem Sacharowem, który także przyjechał do Paryża. Obaj laureaci pokojowej Nagrody Nobla z za żelaznej kurtyny zadeklarowali kontynuowanie walki o prawa człowieka i obywatela. Podczas spotkania z polską emigracją Wałęsa tłumaczył swoją nastawioną na poszukiwanie kompromisu politykę, mówił o porozumieniu z władzami PRL – „ale nie na kolanach”. Bodaj po raz pierwszy opowiedział wtedy

słynną anegdotę o tym, że z akwarium można zrobić zupę rybną, ale z zupy rybnej akwarium – dużo trudniej, pokazując w ten obrazowy sposób kłopoty drogi powrotnej od komunizmu do kapitalizmu.

O swoich preferencjach politycznych, poza generalną opcją na rzecz demokracji, nie lubił się wypowiadać. Podczas spotkania z grupą niezależnych dziennikarzy po powrocie z Paryża wyjaśniał: „chcę mieć wolność, chcę znośnie żyć, mieć możliwość stowarzyszania się, chcę swobodnie chodzić do

kościół, móc pisać i mówić to, co chcę, należeć do partii, jakiej chcę. [...] A jak to się będzie nazywać – nieważne. Ważne, co jest w butelce, a nie to, co na etykiecie”. Deklarował swoją apolityczność w znaczeniu dystansu do wszystkich partii i programów; twierdził, że najważniejsza jest swoboda powstawania wielu programów, bo „nikt nie ma patentu na Polskę”. Przekonywał też dość sceptycznie nastawionych słuchaczy do swojego kursu na porozumienie: „Z samym szatanem należy rozmawiać o

Polsce. I można zawierać kompromisy”. Rzec w tym, by w sposób spokojny przeprowadzić kraj do Europy.

Wkrótce po powrocie z Paryża, 18 grudnia zaprosił – już po raz piąty – polityczną i intelektualną elitę opozycji na spotkanie do Warszawy. Grono pierwotnej „sześćdziesiątki” rozrosło się do 119 osób, gromadząc czołowych działaczy Solidarności, a także przedstawicieli innych organizacji niezależnych: Solidarności Rolników Indywidualnych, Niezależnego

Zrzeszenia Studentów, Ruchu „Wolność i Pokój”, Ruchu Młodej Polski, Klubów Inteligencji Katolickiej, środowisk akademickich, podziemnych wydawnictw i „Tygodnika Powszechnego”, klubów politycznych, stowarzyszeń gospodarczych, związków twórczych i ruchu ekologicznego. Była to niekłamana elita kraju, „wspaniały kwiat polskich gwiazd”, jak określił ich Wałęsa, potrafiący uwodzić intelektualistów. Oczekiwał od nich programu płynnego

przejścia od wywodzącego się ze stalinizmu systemu monopolu do pluralizmu we wszystkich dziedzinach życia; przejścia „bez strat, bez anarchii, bez destrukcji – do kraju, o którym marzymy: kraju demokratycznego, kraju rozwijającego się”. W tym celu powołano Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ Solidarność i kilkanaście komisji merytorycznych. Na krótką metę miały one przygotować się do pertraktacji z rządem, a w dłuższej perspektywie opracować polityczny rozkład



jazdy demokratycznej transformacji. Toteż na koniec od nieskorego do pochwał Wałęsy luminarze opozycji usłyszeli słowa podziękowania. „Ja się strasznie dużo nauczyłem od was i strasznie dużo się muszę uczyć. Dla Polski naprawdę robimy duże rzeczy! I będziemy jeszcze większe robić!”. – To jest jedna wielka improwizacja – przyznawał. Ale osiągnąć tyle w tak zróżnicowanym gronie to naprawdę bardzo dużo. „Ciąg dalszy nastąpi!”

Osoby, które przyjęły

„zaproszenie Lecha Wałęsy”, stanowiły szeroką reprezentację ruchu solidarnościowego – rozmaitych nurtów „społeczeństwa podziemnego”, które działało już jawnie, choć nadal nielegalnie. Reprezentacja nie była jednak pełna. Zabrakło w niej członków Grupy Roboczej Komisji Krajowej, pozostających w sporze z Wałęsą i Krajową Komisją Wykonawczą. Nie było też radykalnych odłamów opozycji, takich jak Solidarność Walcząca czy Konfederacja Polski Niepodległej, które odrzucały

możliwość kompromisu z komunistami. W sporze radykałów ze skrzydłem umiarkowanym, jaki w drugiej połowie lat osiemdziesiątych dzielił polską opozycję, nie było nic nadzwyczajnego. Konflikt taki stanowił także część procesu demokratyzacji innych dyktatur – zarówno lewicowych, jak i prawicowych. Osią tego sporu był zawsze stosunek do ewentualnej ugody z przeciwnikiem i projektu wyjścia z dyktatury na drodze negocjacji z obozem rządzącym. Pryncypialni antykomuniści nie

wierzyli w porozumienie z ekipą generałów, którzy 13 grudnia przekreślili umowy sierpniowe i byli odpowiedzialni za represje stanu wojennego. Upadek systemu komunistycznego uważali za nieuchronny – ich zdaniem należało jedynie poczekać. Umiarkowani nie chcieli czekać – w obawie o cenę, jaką za to zapłacą ludzie i kraj pogrążony w kryzysie już nie tylko ekonomicznym, ale wręcz cywilizacyjnym. Obawiali się także wstrząsów okresu przejściowego. I tego, że z rewolucyjnego chaosu wyłonić

się może nowe oblicze dyktatury. Byli więc gotowi zawrzeć z reformatorami z PZPR polityczny kontrakt zapewniający łagodne i stopniowe przejście do demokracji – bez przemocy i gwałtownych działań, ale też bez daleko idących rozliczeń za totalitarną przeszłość.

Skrzydło umiarkowane miało w Polsce pozycję dominującą. Przede wszystkim należeli do niego główni przywódcy podziemia i kierownictwo Solidarności z Wałęsą na czele. Byli oni wspierani przez ludzi

dawnego Komitetu Obrony Robotników i innych grup opozycji przedsierniowej, jak Ruch Młodej Polski czy Towarzystwo Kursów Naukowych. Mieściła się w nim również większość przywódców strajkowych z 1988 roku ze Śląska, Gdańska, Stalowej Woli i Szczecina. Do tego samego obozu zaliczali się niezależni działacze katoliccy ze środowiska Klubów Inteligencji Katolickiej i „Tygodnika Powszechnego”. Wreszcie umiarkowana linia Wałęsy cieszyła się mocnym poparciem

Kościół – zarówno Episkopatu Polski, który czynnie wspierał jego kroki na rzecz dialogu, jak i papieża Jana Pawła II.

Główny nurt ruchu solidarnościowego stanowiły zatem środowiska, które uznawały autorytet Lecha Wałęsy i jego umiarkowaną strategię. Zawijając Komitet Obywatelski, utworzyły one swoje stałe przedstawicielstwo, które mogło odgrywać różne role. Powołano w ten sposób reprezentację do negocjacji z rządem, a także swoistą radę koronną opozycji, która nie

wywodziła się z wyborów, ale z nominacji szefa Solidarności. Wewnątrzopozycyjni dysydenci i radykałowie nie znaleźli się w niej częściowo z własnego wyboru, kwestionując nie tylko kurs na porozumienie, ale i samo przywództwo Wałęsy. Jemu z kolei nie było spieszno do wciągania w krąg elity kierowniczej ruchu swoich zdeklarowanych przeciwników. Toteż nie podjął poważniejszych prób dogadania się z działaczami Grupy Roboczej. Tym bardziej że zbliżały się negocjacje z komunistami, które wymagały



jedności i świętego porozumienia w solidarnościowej delegacji.

Miesiąc później, 18 stycznia 1989 roku nad ranem Komitet Centralny PZPR otworzył drogę do negocjacji okrągłego stołu, zgadzając się w końcu na legalizację Solidarności. Upierając się przy tej sprawie przez długie miesiące, kilkakrotnie niemal zrywając rozmowy, ale zawsze podejmując na nowo kontakty z partnerami rządowymi, Wałęsa doprowadził do tego, że partia musiała zaprzeczyć całej swej

dotychczasowej polityce i przekreślić delegalizację ruchu, co było najważniejszą konsekwencją 13 grudnia. Uznanie prawa Solidarności do istnienia było równoznaczne z przyznaniem się do porażki przez Wojciecha Jaruzelskiego, który przez siedem lat robił wszystko, by zlikwidować związek. Długą wojnę kaprała z generałem ostatecznie wygrał kapral.

Jednak batalia o demokrację trwała nadal. Pierwszym testem dla opozycyjnych negocjatorów było spotkanie 27 stycznia

w Magdalence. Tego dnia, po dziesięciu godzinach rozmów, delegacje obu stron z Wałęsą i Kiszczakiem ustaliły polityczne ramy Okrągłego Stołu, a także wstępny zarys porozumienia. Nie obyło się bez poważnych spięć. Komuniści chcieli odsunąć jak najdalej proces rejestracji Solidarności i narzucić jej żmudny, długotrwały tryb oddolny. Gdy Ciosek zaczął tłumaczyć, że ludzie Miodowicza chcą, by Solidarność, tak jak oni, budowała swoje struktury od dołu, Wałęsa mu przerwał: – To

powtórzymy cały scenariusz. Niech OPZZ zostanie rozwiązane i zepchnięte do podziemia. Przedstawiciele PZPR chcieli też skłonić opozycję do prosocjalistycznych deklaracji. Proponuję mój socjalizm – odparł na to Wałęsa. – Są trzy piekarnie w mieście: prywatna, spółdzielcza i państwowa. Ta, która piecze najtańsze i najlepsze bułeczki, jest najbardziej socjalistyczna.

Generał Kiszczak kusił swoich rozmówców możliwością współudziału w sprawowaniu władzy po „niekonfrontacyjnych

wyborach”. – My do rządu się nie pchamy – skwitował to lider związku. Opozycja była gotowa na daleko idące kompromisy, do jakich należała akceptacja tylko częściowo demokratycznych wyborów do sejmu, ale nie oznaczało to w żadnym wypadku chęci utrwalenia systemu politycznego PRL ani tego, by stać się jego częścią. Wejście do parlamentu było ceną, jakiej zażądali komuniści za legalizację Solidarności. Lech Wałęsa i jego doradcy uznali, że warto tę cenę zapłacić – także po to, by będąc w sejmie,

zmieniać system. Nie mieli jednak wielkich złudzeń co do intencji drugiej strony. Gdy rozpatrywano miejsce uroczystej inauguracji obrad Okrągłego Stołu, Wałęsa z wisielczym humorem zaproponował: „A może w Otwocku, tam gdzie siedziałem?”.

Przywódcą ruchu wolnościowego przestał być już jednak dla komunistów wrogiem numer jeden. Kolejny sygnał znów nadszedł z Moskwy. Gdy 10 stycznia 1989 roku pismo „Nowoje Wriemia” zapytało

polską ambasadę o możliwość przeprowadzenia wywiadu z Wałęsą, tym razem obiekcji nie było. Wywiad ukazał się 7 lutego – nazajutrz po rozpoczęciu negocjacji Okrągłego Stołu. Solidarność domaga się autonomii i niezależności od partii, ale nie zamierza przejmować władzy, rządy pozostaną w rękach komunistów – mówił radzieckim dziennikarzom. Deklaracje były obliczone na uspokojenie Wielkiego Brata, jednak sam fakt przeprowadzenia z nim rozmowy świadczył o

zasadniczej zmianie statusu lidera Solidarności, który z pozycji wroga stał się politykiem respektowanym za wschodnią granicą. Kilka dni później sylwetkę Lecha pod tytułem *Człowiek nie z żelaza* przedstawił dziennik „Komsomolskaja Prawda”. Rozmowę z prywatną do niedawna osobą opublikowała też w styczniu „Polityka”.

Zmiana moskiewskiego spojrzenia na Lecha Wałęsę wynikała z głębszych przemian, które do polityki ZSRR wprowadziła ekipa Michaiła



Gorbaczowa. Politycy pierestrojki rozumieli, że trzeba bardzo wiele zmienić w „realnym socjalizmie”, aby wszystko zostało po staremu. Jednym z fundamentów tego „nowego myślenia” była rezygnacja z globalnej rywalizacji i podjęcie reform wewnętrznych mających na celu ratowanie znajdującego się na skraju bankructwa systemu. Bez pomocy zachodnich „imperialistów” nie dało się tego przeprowadzić. Właśnie w imię otwarcia na Zachód Gorbaczow wykluczył możliwość

interwencji zbrojnej wobec satelitów Związku Radzieckiego i zrezygnował z tak zwanej doktryny Breżniewa. Ogłosił to w grudniu 1988 roku w ONZ, oświadczając, że w stosunkach międzynarodowych nie wolno stosować siły ani groźby jej użycia. Dotyczy to również stosunków między krajami Układu Warszawskiego – podkreślił. Było to zielone światło dla generała Jaruzelskiego. Ostatni szef Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego nie naciskał na demokratyczne reformy w

Polsce, ale też im nie przeszkadzał. To wystarczyło.

# Stół bez kantów

Okrągły stół został ustawiony w Sali Kolumnowej Pałacu Namiestnikowskiego na Krakowskim Przedmieściu, który wówczas mieścił Radę Ministrów PRL, a obecnie jest siedzibą prezydenta RP. 6 lutego 1989 roku oficjalnie zainaugurowano rozmowy. Choć stół, przy którym zasiadło 56 osób, był okrągły, to strony były dwie. Na czele delegacji rządowej stał generał

Czesław Kiszczak, negocjatorom opozycji przewodził Lech Wałęsa. W przemówieniu wygłoszonym podczas otwarcia lider związku akcentował konieczność zasadniczych zmian. „Czas monopolu politycznego czy społecznego dobiega końca. Trzeba takiej przebudowy, która państwo jednej partii uczyni państwem narodu i społeczeństwa” – mówił dawny więzień generałów w gmachu rządu PRL. „Zacząć trzeba od przywrócenia pluralizmu związkowego, od przywrócenia »Solidarności«.

Tędy biegnie przecież główna linia konfliktu narodowego od grudnia 1981 roku. [...] Prawo do swoich związków mają także rolnicy i studenci – oczekujemy zatem przywrócenia do legalnego życia zarówno »Solidarności Rolników«, jak i NZS”. Kraj jest w ruinie, ale „to nie krasnoludki go zrujnowały, lecz system sprawowania władzy, który wywłaszcza obywateli z praw i marnuje owoce pracy”. Trzeba jednak „przejsć ponad złymi doświadczeniami ubiegłych lat, pokonać urazy i przewyciężyć

nienawiść. Ale w tym dniu, w którym wolno nam wreszcie mówić o tym otwarciu, nie możemy zapomnieć o ludziach, którzy zginęli, o latach cierpień i udręki, o latach, gdy nas poniżano i chciano nam odebrać nadzieję. Nie wystawiamy tu za to rachunku, ale krzywdy trzeba wyrównać”.

Mocnym tonem przewodniczący podkreślał, że przystępując do negocjacji z komunistami, Solidarność nie wyrzeka się negatywnej oceny ich rządów. Jego przemówienie zostało bardzo źle przyjęte przez

gospodarzy, którzy nie nawykli do publicznego wysłuchiwanie krytyki. Nerwowość przedstawicieli rządu wzmagał fakt, że inaugurację obrad relacjonowała telewizja (ale nie na żywo). Obie strony były już jednak na siebie skazane – droga odwrotu w gruncie rzeczy nie istniała. Wynik negocjacji nie był wszakże przesądzony. Przez następne tygodnie na Krakowskim Przedmieściu i w Magdalence toczyły się ostre targi polityczne o ostateczny kształt nowej umowy społecznej. Sporów i ostrych



konfliktów było w czasie tych negocjacji więcej niż wzajemnego zrozumienia. Opozycja walczyła o jak największy obszar wolności, o taką dawkę demokratyzacji, która pozwoli obywatelom mieć wpływ na rządzenie krajem. Partia natomiast zaciekle broniła swego stanu posiadania, chcąc utrzymać jak najwięcej ze swojej uprzywilejowanej pozycji w państwie. Z tych dwóch przeciwstawnych tendencji narodził się kompromis Okrągłego Stołu.

Lech Wałęsa nie uczestniczył

na co dzień w rozmowach; kierowali nimi w jego imieniu Bronisław Geremek (zespół do spraw reform politycznych), Tadeusz Mazowiecki (zespół do spraw pluralizmu związkowego) i Witold Trzeciakowski (zespół do spraw reform gospodarczych). Sam w tym czasie jeździł po kraju, występował na wiecach, łagodził niepokoje, przekonywał nieufnych działaczy i sympatyków ruchu do koncepcji porozumienia. Był między innymi w Krakowie, Nowej Hucie, Bielsku-Białej,

Jastrzębiu, Stalowej Woli, Łodzi, Wrocławiu i Szczecinie. Stale też krążył między Gdańskiem a Warszawą.

16 lutego przyjechał do Stalowej Woli, jednego z głównych ośrodków strajkowych w sierpniu 1988 roku. „Gwarancje są w Was! Nie wiercie Wałęsie, rządowi, nikomu! Wiercie jedynie w struktury, które sami stworzycie!” – mówił pytany o gwarancje powodzenia rozmów z komunistami. „Nasz kraj należy naprawiać stopniowo i w sposób cywilizowany, bez gwałtów”.

Trzeba raz jeszcze spróbować porozumieć się z władzą. Okrągły Stół to dopiero początek drogi – przekonywał. – Przyszłość należy wziąć w swoje ręce.

27 lutego zawitał do Wrocławia. „Polska nie jest własnością grupy politycznej, milicji, SB i wojska, lecz jest własnością nas wszystkich i w zależności od tego, jak tę Polskę potrafimy zrobić, taka ona będzie” – mówił podczas spotkania na Uniwersytecie Wrocławskim. Zmian demokratycznych nie można

wprowadzać na drodze  
gwałtownej rewolucji. Trzeba  
tego próbować w rozmowach, a  
nie na ulicy. W efekcie  
Okrągłego Stołu społeczeństwo  
powinno uzyskać swobodę  
organizowania się. – Jeśli  
obrazy zakończą się  
niepomyślnie, to w kwietniu lub  
maju osobiście dam sygnał do  
rozpoczęcia walki o Polskę i  
wolność – obiecywałem licznie  
zebranyemu sympatykom ruchu.  
Jeżeli jednak dokona się  
rejestracja związku i  
Niezależnego Zrzeszenia  
Studentów, to Solidarność

weźmie udział w wyborach. Podkreślał, że opozycja nie ma zamiaru przejmować władzy, ale chce mieć maksymalny wpływ na jej sprawowanie.

Rysując perspektywę porozumienia i udziału opozycji w normalnym życiu politycznym, Wałęsa nie uchylał się od słownych potyczek z przeciwnikami tej linii. Związku nie wywalczy się kamieniami na ulicy – mówił podczas kilkutyśięcznego wiecu we wrocławskiej Hali Ludowej. Bronił pomysłu udziału w wyborach przed zarzutem

kolaboracji z władzą komunistyczną, choć sam nie miał zamiaru kandydować. Krytykował radykałów z Konfederacji Polski Niepodległej, Solidarności Walczącej i Polskiej Partii Socjalistycznej, apelował o powstrzymanie się od manifestacji, które mogą przekształcić się w zamieszki. – Nigdy się w tym kraju nie zdarzyło, żeby tak wiele zależało tylko od nas. Jeśli my między sobą się zrozumiemy, to reszta spraw, reszta zwycięstw jest w zasięgu ręki – powtarzał jeszcze

raz wieczorem, po mszy świętej.  
– Nie jesteśmy głupszy, nie jesteśmy mniej bogaci niż inne kraje świata. Jesteśmy źle rządzeni. Bierzmy rządy w nasze ręce!

Nie była to zachęta do obalenia władzy, ale do wykorzystania tej szansy wolności, którą miał otworzyć Okrągły Stół. – Na ile z tego skorzystacie, na tyle poszerzycie swoje wolności i na tyle pomożecie Polsce – uświadamiał ludziom we Wrocławiu. Następnego dnia był w Szczecinie. Spotkał się



tam z blisko sześcioma tysiącami osób w porcie szczecińskim. Wzywał do organizowania się, bo rozbicie monopolu władzy zależy od postawy społeczeństwa. Okrągły Stół jest tylko otwarciem drzwi i sam niczego nie rozwiązuje – przestrzegął.

Takich spotkań Wałęsa odbył tej wiosny dziesiątki. Sam był najlepszym rzecznikiem polityki nastawionej na porozumienie, pokazując jej cele i zachęcając do aktywności. Wiedział, że najgroźniejszym przeciwnikiem wolności jest społeczna

bierność, na którą liczyli komuniści. Bez pobudzenia milczącej większości, bez powrotu na scenę publiczną milionów Polaków, którzy w 1981 roku tworzyli Solidarność, demokratyzacja mogła zatrzymać się na etapie bezpiecznym dla władzy. Jednocześnie chciał opanować żywiołowe rewindykacje, często przechwytywane i sterowane przez Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych, przybierające postać strajków ekonomicznych, które wiosną 1989 roku były

znacznie liczniejsze niż rok wcześniej. Szło o to, by żądania płacowe nie zagłuszyły postulatów politycznych, a protesty nie przeistoczyły się w niszczący proces rewolucyjny, czego opozycja bała się nie mniej niż partia. Te znacznie przesadzone, jak się okazało, obawy popychały Wałęsę do retorycznych ataków na solidarnościowych radykałów. Stąd brała się wizja Polski jako drugiej Irlandii, w której spory wewnętrzne mogą przybrać postać terroru i wojny domowej. Umieszczając w tym kontekście

swoich przeciwników z KPN czy Solidarności Walczącej, Wałęsa popisywał się demagogią równą tej, jaką posługiwali się jego rywale. Swych związkowych przeciwników z Grupy Roboczej potrafił nazwać „zbiorowiskiem politycznych cwaniaków, którzy pragną zbić kapitał na plecach robotników”. Odpłacano mu się pięknym za nadobne.

Szczegółowe negocjacje Okrąglego Stołu w pomniejszych sprawach toczyły się bez niego, trzymał wszakże rękę na pulsie w wypadku najważniejszych kwestii

politycznych. Był szefem delegacji opozycji podczas spotkań, które odbywały się w podwarszawskiej Magdalence – wszystkie kluczowe decyzje zapadały z jego udziałem. Pierwsze z tych spotkań odbyło się 2 marca. Choć obrady trwały już prawie miesiąc, tylko jedna z podstawowych spraw była na dobrej drodze: szybka legalizacja Solidarności, w formie zgodnej z życzeniami związkowców. Inne – reformy polityczne, nowy ład gospodarczy, liberalizacja prawa i mediów – stanęły w miejscu.

Poufne rozmowy w

Magdalence, prowadzone w gronie kierowniczym, a więc zdolnym do podejmowania decyzji z obu stron, miały na celu przełamywanie blokad, jakie pojawiały się podczas obrad w Pałacu Namiestnikowskim. Ten tryb okazał się skuteczny (Magdalenka to najciężiej pracująca kobieta przy Okrągłym Stole – żartowano w kuluarach). Już podczas pierwszego wyjazdu udało się ustalić podział mandatów w przyszłym sejmie. 65 procent miejsc miało przypaść PZPR i jej

sojusznikom, a 35 procent pozostawiono dla wolnej konkurencji, w której mogli wziąć udział wszyscy obywatele: zarówno opozycjoniści, jak i zwolennicy partii. Tego dnia została też postawiona zupełnie nowa kwestia – całkowicie wolnych wyborów do senatu. Z tą inicjatywą wyszedł najmłodszy partyjny negocjator, współkierujący zespołem do spraw związkowych Aleksander Kwaśniewski, zaskakując swoich towarzyszy. Nie był to jednak samorzutny krok w

stronę demokracji, ale podbicie oferty dla strony solidarnościowej, aby zgodziła się na obdarzonego dużą władzą prezydenta. Wolne wybory do senatu jako pierwszy zaproponował w styczniu Tadeusz Mazowiecki, jeszcze podczas rozmów przygotowawczych do Okrągłego Stołu. Jego partyjny rozmówca, Stanisław Ciosek, wtedy jednak gwałtownie odrzucił tę ideę. Powróciła ona w zmienionych okolicznościach dwa miesiące później dzięki uporowi negocjatorów opozycji.



Urząd głowy państwa, który chciał objąć generał Jaruzelski, miał być dla komunistów gwarancją bezpieczeństwa politycznego. Opozycja przeciwko temu w zasadzie nie oponowała. Przedstawiony przez Kiszczaka 2 marca projekt zmroził jednak stronę społeczną. Szef państwa wybrany jeszcze przez dotychczasowy peerelowski sejm z udziałem aparaczyków z wojewódzkich rad narodowych miał posiadać wyraźną przewagę nad władzą ustawodawczą i dysponować kompetencjami zbliżonymi do

modelu autorytarnego. „Taki prezydent, o jakim usłyszeliśmy od pana generała, byłby chyba dożywotni. Mógłby odejść tylko przez rozstrzelanie” – skomentował to Wałęsa. Dopiero gdy solidarnościowi negocjatorzy odrzucili propozycje Kiszczaka, pojawiła się inicjatywa Kwaśniewskiego. Była to bardzo interesująca oferta. Wybierany w wolnych wyborach senat zmieniał nową konstrukcję ustrojową, dając szansę siłom niezależnym na odgrywanie znacznie większej roli w parlamencie. Toteż po

wielu jeszcze dniach targów, po ustaleniu, że głowa państwa będzie wybrana przez nowy dwuizbowy parlament, i po okrojeniu jej kompetencji opozycja przyjęła tę propozycję.

Następne spotkania w Magdalence – 7 marca, 29 marca i 3 kwietnia – to uporczywe zabiegi o jak największy zakres zmian demokratycznych, które miała wprowadzić umowa Okrągłego Stołu. Przedstawiciele Solidarności musieli wyrywać od delegatów rządu kolejne ustępstwa w takich sprawach

jak demokratyczna ordynacja wyborcza, uprawnienia senatu, ograniczenie nomenklatury w gospodarce czy legalizacja NZS. Najbardziej dramatyczny charakter miało spotkanie ostatnie, na dwa dni przed zapowiedzianym już finałem rozmów. Zakończone między drugą a trzecią w nocy, rozstrzygnęło wiele kontrowersji, ale nie wszystkie. Cały kontrakt omal się nie rozbił o kwestię stuprocentowej indeksacji płac, czego domagało się OPZZ, chcąc wygrać z Solidarnością w socjalnej

licytacji. Niezależny związek, który nie uciekał się do płacowej demagogii, wiedząc, że grozi to hiperinflacją, zgadzał się na osiemdziesięcioprocentową rekompensatę wzrostu cen. Atak Alfreda Miodowicza na tym polu stawiał więc Lecha Wałęsę w pozycji człowieka, który nie dba o interesy pracownicze, sprzedaje je w zamian za miejsca w parlamencie dla swoich ludzi. W tej sytuacji Krajowa Komisja Wykonawcza mogła odrzucić całe porozumienie. Nie stało się

tak dlatego, że Solidarność raz jeszcze przedłożyła dobro kraju ponad obronę własnych, wąsko rozumianych interesów, ale przywódcy związku byli wściekli. Stan nastrojów dobrze pokazuje wypowiedź Wałęsy w Magdalence podczas dyskusji o scenariuszu zakończenia Okrągłego Stołu. – Ja powiem tylko dwa zdania: „Dobrze, że to się już skończyło. Mam nadzieję, że już w to nie wdepnę”.

Przybierający na sile spór między OPZZ a Solidarnością w sposób spektakularny dał o sobie znać podczas finału obrad,

5 kwietnia. Kłótnia o porządek wystąpień – Miodowicz chciał koniecznie przemawiać jako trzeci, zaraz po Wałęsie, opozycja była przeciw – doprowadziła do dwugodzinnej przerwy w transmitowanym na żywo przez telewizję uroczystym zakończeniu Okrągłego Stołu. Walka Miodowicza o samodzielną pozycję nieomal wywróciła zawarty już kompromis. Partia z generałem Jaruzelskim na czele wzięła stronę OPZZ. Solidarność raz jeszcze – w imię interesu kraju – ustąpiła.

Umowa pomiędzy opozycją a PZPR została podpisana, ale polityczny thriller rozegrany w tym dniu pokazał, jak głębokie różnice dzielą obie układające się strony. Sensem kontraktu nie było wcale zawarcie politycznego pokoju ani ogłoszenie ogólnonarodowego „kochajmy się”, ale tylko obopólna zgoda na kontynuowanie zasadniczego sporu o Polskę – innymi środkami. Bo jeśli porozumienie kwietniowe kończyło pewien etap walki, to przecież jednocześnie otwierało



następny.

Wałęsa przypomniał w zamykającym negocjacje przemówieniu, że w powojennej historii dużo było pięknych słów, „za którymi kryło się wiarołomstwo, przemoc i bezsilność narodu”. Dlatego opozycja zabiegała o sprawy konkretne: legalizacja Solidarności oraz Solidarności Rolników Indywidualnych i Niezależnego Zrzeszenia Studentów. „Nie ma wolności bez Solidarności – to jest prawda, z którą przyszedliśmy do Okrągłego Stołu. [...] Do tego

stołu przyszliśmy z więzień, spod pałek ZOMO, z żywą pamięcią tych, którzy przelali krew za »Solidarność«. Dlatego we wszystkich komisjach Okrągłego Stołu zabiegaliśmy o konkretne ustalenia, które mogą zostać wcielone w życie natychmiast. [...] Te postulaty zostały przez stronę koalicyjno-rządową przyjęte. Osiągnęliśmy tym samym niezbędne minimum dla wkroczenia na szlak przemian demokratycznych. [...] Uważam, że obrady »okrągłego stołu« mogą się stać początkiem drogi do demokratycznej i

wolnej Polski”.

Aby te nadzieje i słowa wygłoszone w Pałacu Namiestnikowskim stały się rzeczywistością, należało zmobilizować zmęczonych kryzysem gospodarczym ludzi do obywatelskiej aktywności. Po dwóch miesiącach wyczerpujących pertraktacji z rządem działacze opozycji nie mogli sobie pozwolić na urlop od polityki. Przed Lechem Wałęsą i Solidarnością stało już następne wyzwanie: wybory.

Perspektywa zbliżającej się kolejnej batalii przyćmiła

satysfakcję z odniesionego na punkty zwycięstwa, jakim było dla opozycji porozumienie Okrągłego Stołu. Trudno to było od razu dostrzec, ale umowa kwietniowa stanowiła – tak samo jak porozumienia sierpniowe z 1980 roku – wielki sukces ruchu i jego przywódcy. W jej wyniku społeczeństwo uzyskiwało nawet większą wolność niż w latach 1980–1981. Partia zgodziła się na polityczny pluralizm i wejście opozycji demokratycznej do parlamentu, licząc, że zreformowany system zyska

dzięki temu społeczną legitymizację. Zachowanie władzy gwarantowały jej, jak się wydawało, większość w sejmie (spodziewano się także zdobyć sporo miejsc w senacie) oraz urząd prezydenta, który miał odgrywać w nowym układzie rolę kierowniczą, dotąd przynależną PZPR. Rachuby te okazały się błędne. Samo uznanie reguły wolnych wyborów, co zostało zapisane w umowie Okrągłego Stołu, przewidyującej, że następna elekcja będzie już w pełni demokratyczna, obaliło

ideologiczną barierę ochronną komunizmu. Uchylenie drzwi dla demokracji zakończyło się ich otwarciem na oścież.

Na krótką metę najważniejsze było to, że zwalczana przez siedem lat Solidarność odzyskała prawo do legalnego działania. 17 kwietnia 1989 roku Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Solidarność został ponownie zarejestrowany przez Sąd Wojewódzki w Warszawie, ale mało kto miał wówczas głowę do świętowania. Rozmiary sukcesu polskiego ruchu

demokratycznego lepiej zdawali się dostrzegać obserwatorzy zagraniczni niż krajowi. W dniu ponownej rejestracji związku prezydent Stanów Zjednoczonych George Bush oświadczył, że polskie porozumienie stanowi przełom w powojennej historii całej Europy Wschodniej. Powodzenie polskiego eksperymentu miało być przykładem dla innych krajów komunistycznych. Zdaniem prezydenta Busha o pomyślnym zakończeniu rozmów Okrągłego Stołu zadecydował „realizm

generała Jaruzelskiego, duchowe przywództwo Kościoła katolickiego, nieugięty duch narodu polskiego oraz siła i mądrość Lecha Wałęsy”. Za tymi wzniosłymi słowami kryła się nader ostrożna polityka ówczesnej administracji amerykańskiej, nastawiona raczej na utrzymywanie powolnego tempa zmian niż popychanie do szybkiego wyzwolenia spod komunizmu. Toteż Bush łatwiej znajdzie wspólny język z komunistycznym „realistą” Jaruzelskim niż z niecierpliwym



demokrata Wałęsą.

# „Polska będzie nasza”

Porozumienie Okrągłego Stołu ustanawiało ład polityczny na czas przejściowy między dyktaturą i demokracją. Nikt z jego autorów nie przewidywał, że będzie obowiązywać dłużej niż kilka lat. Ani Lech Wałęsa, ani inni sygnatariusze umowy nie sądzili wszakże, że przetrwa ona tylko kilka miesięcy. Jednak lider Solidarności mocno

podkreślał, że następne wybory muszą być całkowicie demokratyczne. Opozycja zgadzała się wziąć udział w „niekonfrontacyjnych” wyborach do sejmu, ale ich półdemokratyczna ordynacja miała być tylko jednorazowa.

Przewidywania wyniku nadchodzącego głosowania były ostrożne. Wałęsa nie krył sceptycyzmu, uważał, że opozycja może zdobyć najwyżej trzy czwarte mandatów z całej puli do wzięcia. Wielu działaczy obawiało się wręcz porażki. Sama Solidarność, jako związek

zawodowy, nie chciała organizować kampanii. Przewodniczący zaproponował więc, by zajął się tym Komitet Obywatelski. Podczas zebrania 12 marca musiał jednak bronić sensu porozumienia przed luminarzami opozycji. Ich niepokój budził zwłaszcza projekt utworzenia urzędu prezydenta, który – co było oczywiste, choć nigdzie niezapisane – miał objąć szef partii, a także to, że udział kandydatów niezależnych w wyborach może być uznany za uprawnienie systemu

komunistycznego. Po długiej dyskusji komitet zaakceptował w końcu kompromisową linię negocjatorów społecznych przy Okrągłym Stole, ale podkreślił, że rysujące się porozumienie będzie tylko pierwszym krokiem na drodze do budowania demokracji w Polsce – potrzebne są więc następne.

Poważne kontrowersje wywołała też taktyka wyborcza. Burzliwa dyskusja na ten temat odbyła się w Komitecie Obywatelskim 8 kwietnia. Tego dnia „rozpoczęliśmy batalię o władzę” – wspomina Wałęsa.

Poprowadzić kampanię jako jednolita grupa, wystawiając tylko jednego kandydata na każde miejsce, czy pozwolić na wewnętrzny pluralizm i dopuścić na listy różnorodne środowiska polityczne? Wygrała koncepcja „jednej drużyny”, forsowana przez Jacka Kuronia i Bronisława Geremka. Zwolennicy drugiej – Tadeusz Mazowiecki, Wiesław Chrzanowski, Jan Olszewski i Aleksander Hall – wycofali się z wyborczego wyścigu. Wałęsa zdecydowanie poparł opcję „drużynową”. – Powołajmy

jedno ciało, które weźmie na siebie ciężar rozegrania akcji wyborczej po naszej myśli – przekonywał. „Ja nie znoszę przegrywać, a do wygrania jest 161 miejsc w Sejmie i wszystkie 100 miejsc w Senacie. Nie zmuszajcie mnie do dyktatury, pozwólcie być demokratą”. Sam jednak – mimo namów – nie chciał kandydować. „Musi być ktoś w odwodzie, żeby ratować was i kraj” – argumentował, wskazując na niebezpieczeństwo załamania gospodarczego, o co ludzie będą z pewnością obwiniać

parlamentarzystów Solidarności. Trzeba przyznać, że stawiał sprawę jasno: „Wy przegracie, a ja będę czysty”. Ważniejsze wszakże było zapewne to, że jego aspiracje sięgały wyżej, a rola pośła czy senatora wiązałyby mu ręce, niewiele przynosząc w zamian.

Ambicje dawnego stoczniowca były uzasadnione. Pierwszoplanowa rola odegrana w rozpisanych na raty negocjacjach z władzami PRL – od sierpnia 1988 do kwietnia 1989 roku – uczyniła go niekwestionowanym przywódcą



opozycji demokratycznej. Formalnie wciąż był jedynie przewodniczącym związku zawodowego, ale w istocie urastał do roli jednego z głównych rozgrywających w polskiej polityce. Szybciej niż wielu innych zrozumiał, że jedną z konsekwencji Okrągłego Stołu będzie odrodzenie normalnego życia politycznego. Aby się w nim odnaleźć, należało wyjść z okopów powstałych po wprowadzeniu stanu wojennego, a w dotychczasowym wrogu zobaczyć zwykłego przeciwnika

- lub partnera. Temu, jak się zdaje, służyło spotkanie z Wojciechem Jaruzelskim, do którego doszło 18 kwietnia. Były więzień generała określił je jako zamknięcie karty walki i otwarcie karty budowania. Nowa perspektywa nie dotyczyła tylko szefa partii komunistycznej. W maju Wałęsa spotkał się z przewodniczącym Stronnictwa Demokratycznego Jerzym Józwiakiem. Trzy miesiące później polityka ta przyniesie niespodziewane owoce.

Odbył też kilka ważnych wizyt

zagranicznych. 19 kwietnia w towarzystwie żony i trzech głównych negocjatorów Okrągłego Stołu – Bronisława Geremka, Tadeusza Mazowieckiego i Witolda Trzeciakowskiego – pojechał do Rzymu, gdzie prywatnej audiencji udzielił mu Jan Paweł II. Przewodniczącego Solidarności przyjęli także prezydent, premier, czołowi włoscy politycy (szefa partii komunistycznej nie wyłączając) i główne centrale związkowe, które wspomagały Solidarność w latach stanu wojennego.

Europa jest jedna, a Polacy mają do niej takie same prawo jak inni – powiedział podczas konferencji prasowej, prezentując w ten sposób polskie aspiracje do udziału w zjednoczeniu europejskim. Potwierdził to 10 maja, mówiąc w Radzie Europy: „Wierzę, że Polska odzyska swoje miejsce w rodzinie narodów wolnych i demokratycznych”. W Strasburgu odebrał Europejską Nagrodę Praw Człowieka, przyznaną mu w marcu przez Radę Europy. Po drodze, w Paryżu, rozmawiał z premierem

Francji Michelelem Rocardem. Kilka dni później złożył wizytę w siedzibie Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych w Brukseli. W stolicy Europy został przyjęty także przez króla Belgów Baudouina, premiera Belgii oraz przewodniczącego Komisji Europejskiej Jacques'a Delors'a. Wszędzie apelował o pomoc gospodarczą dla kraju zza żelaznej kurtyny, w którym dokonywały się istotne zmiany demokratyczne. Była to dyplomacja szczególnego rodzaju. Wałęsa nie pełnił

wszak w latach 1989–1990 żadnych funkcji państwowych, a głowy państw i rządów nie mają zwyczaju przyjmowania zagranicznych liderów związkowych. Dla przywódcy Solidarności czyniono jednak wyjątek.

W kraju czekały na niego zadania innego rodzaju, choć także wymagające zdolności dyplomatycznych. Od razu po powrocie z Rzymu trafił na zebranie Komitetu Obywatelskiego, które miało zatwierdzić listę kandydatów do sejmu i senatu. Zdawał sobie

sprawę z trudności i konfliktów, jakie przy tej okazji powstały. – To jest najgorszy moment: jedno się kończy, drugie nie zaczęło działać – ocenił. – W opozycyjnej reprezentacji trzeba pożenić ludzi walki z ludźmi twórczej pracy. Świat jest zainteresowany, aby Polska przeszła do systemu sprawdzonego w Europie we wszystkich tematach. Mamy na to szansę, ale od nas najbardziej zależy, w jakim stopniu tę szansę wykorzystamy – mówił 23 kwietnia członkom komitetu. Usilnie namawiał do jedności.

„Każde waśnie, nieporozumienia, a przede wszystkim zacierzewienia osłabiają nas i niszczą”. To jeszcze nie jest pełna wolność, więc demokratyczne spory lepiej odłożyć na później. Na razie chodzi o to, by „złapać przyczółki ludźmi znanymi” i dopiero jutro zbudować demokrację. Sam nie chciał wchodzić do parlamentu. „Muszę zostać w dołku, z którego wyszedłem – odpowiedział Adamowi Michnikowi, który namawiał go do kandydowania. – Czekają nas



strasznie trudne problemy. Podjęliśmy strasznie wielkie ryzyko zmian systemowych. [...] I ja nie mogę mieć na plecach [zarzutu], że Lech poszedł, bo chciał stanowisko. Bo mnie ludzie oceniają wprost". Chciał więc zostać na politycznym przedpolu, by bronić sensu i kierunku zmian. Ale także po to, „żeby mówić, że nie o to chodziło”, gdy opozycji przyjdzie płacić utratą popularności społecznej za trudy transformacji. Solidarnościowi kandydaci to „skazańcy”, którzy muszą położyć fundament pod

nową Polskę. „Nie udaje im się – przewidywał. – Zachód nie podjął, kiepsko podjął; nowe źle się rodzi – podwyżki, kanciarstwo, oszustwo, prowokacje. W tym wszystkim oni działają i musimy ich rozumieć, pomagać, wybaczyć – i ja jestem z wami – a czasami i zrzucić jednego, dwóch. Tak też będzie. Żebym miał wolną rękę do gry, muszę zostać tam, gdzie jestem”.

Była to bodaj pierwsza wersja teorii zderzaków, którą Lech Wałęsa będzie z takim upodobaniem praktykował jako

prezydent. U źródeł tego myślenia tkwiła skłonność do politycznego rozgrywania zarówno przeciwników, jak i zwolenników, ale także celna ocena najbliższej przyszłości i kosztów reform. Podczas tego samego spotkania Wałęsa przedstawił też swoją drugą wizję polityczną, która go później poróżni z przyjaciółmi z opozycji. Przewidywał rozpad obozu solidarnościowego, powstawanie różnych partii i „straszliwy podział” przed następnymi wyborami. „Wtedy prawdopodobnie pękniemy, jak

pęka Europa i jakie jest społeczeństwo – a więc pójdą kierunki związane z wiarą, to znaczy – z prawą i lewą ręką, i jeszcze środkiem”. Nie możemy żyć w abstrakcyjnej jedności, byłoby to wręcz niebezpieczne dla demokracji – mówił opozycyjnym intelektualistom. „Nie możemy jednego monopolu zamieniać na inny. Musimy iść zgodnie z rozwojem Europy i świata. A świat ma kierunki i tendencje. [...] Bądźmy realistami. Nas czeka wielka kłótnia... Ja byłem w Rzymie – jak oni się w demokracji kłóca.

Mój Boże!”. Zakończył apelem, który wciąż pozostaje aktualny: „Kłóćmy się na programy – a nie na złość”.

Po ustaleniu listy 261 kandydatów, co zostało zrobione w rekordowym czasie trzech tygodni, solidarnościowa opozycja pełną parą weszła w kampanię wyborczą. Jednym z jej ważnych elementów były plakaty ze zdjęciem, jakie każdemu kandydatowi na posła i senatora zrobiono z Wałęsą. Sesja zdjęciowa odbyła się 29 kwietnia podczas spotkania Komitetu Obywatelskiego w

historycznej sali BHP w Stoczni Gdańskiej. Szło o wykorzystanie ogromnej popularności lidera ruchu i o wyróżnienie kandydatów opozycji z masy mniej lub bardziej znanych osób, które do 35-procentowej puli miejsc sejmowych objętych wolną konkurencją wystawiła PZPR. Skuteczność tego zabiegu docenił rozgoryczony własną porażką wyborczą Aleksander Kwaśniewski, który twierdził, że 4 czerwca nawet krowa by się dostała do parlamentu, gdyby miała zdjęcie z Wałęsą.

Lider                      wspierał                      też

solidarnościową drużynę podczas wieców wyborczych w całej Polsce. Wzywał podczas nich do aktywności obywatelskiej, a przede wszystkim do udziału w głosowaniu. „Jeśli nie wygramy, to nie narzekajcie na Wałęsę, narzekajcie sami na siebie” – mówił w Płocku na początku maja. Następne wybory będą wolne – zapewniał. – „Jutro i pojutrze Polska będzie nasza, nie żadnej grupy”. Do głosowania na kandydatów Komitetu Obywatelskiego namawiał rolników podczas

masowych uroczystości Zielonych Świąt pod Racławicami, gdzie z kaprała awansowano go na naczelnika, a także wiele tysięcy uczestników tradycyjnej pielgrzymki górniczej w Piekarach Śląskich.

Zgodnie z umową Okrągłego Stołu w maju 1989 roku zostały uruchomione dwa opozycyjne tytuły prasowe: ukazująca się codziennie „Gazeta Wyborcza” i „Tygodnik Solidarność”. Na czele „Gazety” Wałęsa postawił Adama Michnika, na redaktora naczelnego „Tygodnika” wyznaczył Tadeusza



Mazowieckiego, który tę rolę odgrywał z powodzeniem w 1981 roku. Obaj należeli do najbliższych współpracowników Wałęsy w czasach walki z komunizmem – w wolnej Polsce obaj mieli się rychło znaleźć w gronie jego przeciwników. Na razie jednak w środowiskach intelektualistów opozycyjnych Wałęsa był otoczony szacunkiem graniczącym z kultem. Czesław Miłosz mówił 31 maja „Gazecie Wyborczej”, że jest on postacią kluczową dla losów kraju, osobą, która „ogniskuje wszystkie nadzieje i

możliwości Polski”.

„To nie jest jeszcze wolność i demokracja, ale to jest ważny krok na drodze do wolnej, demokratycznej, gospodarnej Polski” – napisał Wałęsa w odezwie do wyborców, opublikowanej w „Gazecie Wyborczej” na dzień przed głosowaniem. Ludzie mu uwierzyli, choć nie wszyscy – blisko 40 procent obywateli nie głosowało. 4 czerwca 1989 roku odbyła się pierwsza tura wyborów. Mimo wszelkich ograniczeń większość Polaków potraktowała to głosowanie jak

plebiscyt: za lub przeciw rządowi PZPR. Toteż wyniki przeszły najśmielsze oczekiwania Solidarności – drużyna Lecha Wałęsy zdobyła 252 z 261 przeznaczonych dla bezpartyjnych miejsc w sejmie i senacie. Ruch demokratyczny osiągnął gigantyczny sukces, ale wybuchu entuzjazmu nie było. Mamy klęskę urodzaju – ocenił Wałęsa. Wśród przywódców opozycji górowało uczucie niepewności; starano się uśmierzyć zarówno radość zwolenników, jak i niepokój przeciwników. Problemem, z

którym musiano się uporać w pierwszej kolejności, było skreślenie przez wyborców prawie wszystkich kandydatów z listy krajowej, na której była cała czołówka PZPR. Zmniejszyła to poważnie parlamentarną reprezentację partii i rodziło groźbę niekonstytucyjności sejmu, który powinien liczyć 460 posłów. Była to też w pewnej mierze porażka przywódcy opozycji, który przed głosowaniem powiedział, że sam z listy krajowej skreśli tylko jedno nazwisko (myśląc

najpewniej o Mieczysławie Rakowskim).

Solidarność będzie przestrzegać umów Okrągłego Stołu – zapewniał Wałęsa, choć podkreślał też, że wyniki wyborów wytworzyły zupełnie nową sytuację, którą trzeba uwzględnić. 8 czerwca potwierdził respekt dla zawartego w kwietniu porozumienia, zgadzając się na obsadzenie w drugiej turze wyborów mandatów utraconych przez komunistów wraz z listą krajową. Decyzja zapadła na posiedzeniu Komisji

Porozumiewawczej, która miała nadzorować realizację umowy Okrągłego Stołu. Lider opozycji nie odmówił sobie satysfakcji z sukcesu, kpiąc, że amatorzy wygrali z zawodowcami, ale deklarował dobowanie kwietniowego kontraktu. Jednak na groźby Kiszczaka, rysującego wizję buntu aparatu bezpieczeństwa i wojska, odparł: „Panowie generałowie jeśli chcą przeciwko narodowi występować, niech występują, jeśli mają taką czelność...”. W końcu w imię kontynuacji polityki ewolucyjnych zmian i

ratowania ekipy partyjnych reformatorów ustalono, że Rada Państwa dokona odpowiedniej zmiany ordynacji. – Solidarność nie oddaje niczego z tego, co wygraliśmy; musi oddać to, co już z góry było przeznaczone dla drugiej strony – niezbyt przekonująco tłumaczył Wałęsa na konferencji prasowej 9 czerwca. Władza wbiła sobie gola do własnej bramki – oceniał, ale się z tego nie cieszył. – Jesteśmy na cienkiej gałęzi – przedstawiał obrazowo sytuację. Do reform potrzeba rządowego partnera, a opozycja

nie dojrzała do rządzenia.

Przeprowadzona 18 czerwca druga tura wyborów przypieczętowała sukces Solidarności, przynosząc jej kolejne osiem mandatów. Z całej puli, jaka była do wzięcia, nie zdobyto zatem tylko jednego miejsca (reszta była przeznaczona dla obozu komunistycznego). 23 czerwca posłowie i senatorowie opozycji utworzyli Obywatelski Klub Parlamentarny.

Przewodniczącym klubu został wysunięty przez obecnego na obradach Wałęsę Bronisław



Geremek. Pierwszym tematem dyskusji była kwestia wyboru prezydenta. Niektórzy proponowali wystawienie własnego kandydata, ale Wałęsa był przeciwny, mówiąc, że nikt na świecie nie wybaczyłby tej brawury. Głosujemy przeciw kandydatowi komunistów – ustalono. O tym, że zachodni politycy namawiają go do ostrożności i wolnego tempa zmian, lider opozycji mówił tego samego dnia w „Gazecie Wyborczej”. Pytany o perspektywę przejścia rządu przez Solidarność odpowiedział:

„Żaden z nas – ze mną włącznie – nie rozmawiał z panem Gorbaczowem ani z panem Honeckerem [Erich Honecker, przywódca NRD – J. S.] i nawet nie wiemy, jak takie rozmowy wyglądają ani jak działają pakty, bloki i tak dalej. [...] Nie jesteśmy wyspą, nie wszystko nam wolno. Mamy tylko 35 procent wolności. Do 100 procent jeszcze daleko. Musimy o tym pamiętać”.

Mimo tych deklaracji wśród polityków opozycji kiełkowała już idea podziału władzy pomiędzy komunistycznego

prezydenta i solidarnościowego premiera. Taki projekt podjęli, niezależnie od siebie, Adam Michnik i Jarosław Kaczyński. Cieszył się on poparciem Wałęsy, który jednak publicznie się odeń dystansował. Pozostajemy opozycją – twierdził 29 czerwca lider związku. – Wspieramy reformy prowadzone przez rząd, ale walczymy, gdy odchodzi od reform. Do przejęcia władzy nie jesteśmy przygotowani. Byłoby to zresztą braniem odpowiedzialności za niepopełnione winy. Większość

elity opozycyjnej podzielała ten pogląd, ale wstępne rozmowy mające na celu przygotowanie gruntu dla ewentualnego rządu kierowanego przez polityka Solidarności już się rozpoczęły. Z jednej strony prowadził je z częścią kierownictwa PZPR Michnik, zmierzający do sojuszu między opozycją a „reformatorskim skrzydłem obozu władzy”, z drugiej – Kaczyński, projektujący koalicję Solidarność – Zjednoczone Stronnictwo Ludowe – Stronnictwo Demokratyczne. Wałęsa nie wykluczał żadnej

opcji – w sobie właściwy sposób czekał na rozwój sytuacji, by w końcu poprzeć bardziej obiecującą koncepcję.

Pierwszym etapem batalii o „nasz rząd” była rozgrywka wokół wyboru szefa państwa. Wobec wyniku wyborów dających opozycji 260 głosów w 560-osobowym Zgromadzeniu Narodowym, a także w obliczu szybkiego wybijania się na samodzielność dotychczasowych satelitów PZPR niepewny zwycięstwa generał Jaruzelski wycofał swoją kandydaturę. W zamian

zapropował swego  
najbliższego współpracownika  
w partii i w rządzie – Czesława  
Kiszczaka. W tej sytuacji w  
Solidarności znowu podniosły  
się głosy, żeby wysunąć lidera  
związku. „Mamy własnego  
kandydata na prezydenta –  
Lecha Wałęsę. Nie powstały  
jednak jeszcze warunki, by wola  
większości narodu mogła być  
spełniona” – w ten sposób  
Bronisław Geremek przedstawił  
wnioski ze spotkania  
Obywatelskiego Klubu  
Parlamentarnego, który 2 lipca  
obradował nad tą kwestią. Sam

Wałęsa nie był równie kategoryczny. 6 lipca nagabywany przez dziennikarza „Gazety Wyborczej”, czy przyjąłby fotel szefa państwa, odparł dyplomatycznie: „Może za jakiś czas”. Ewentualność wysunięcia własnej kandydatury traktował jednak chyba głównie przetargowo.

W podobny sposób manewrował, obiecując poparcie Kiszczakowi podczas poufnych rozmów w Gdańsku i Warszawie. Wałęsa wolał na stanowisku głowy państwa dotychczasowego szefa MSW,

który miałby znacznie słabszą pozycję niż Jaruzelski. We wspieraniu Kiszczaka widział też zapewne szansę na wprowadzenie podziałów w obozie komunistów. – Chcę, żeby Pan został wybrany – mówił generałowi 4 lipca podczas spotkania w tej samej willi na ulicy Zawrat, w której dziesięć miesięcy wcześniej zaczęła się droga do Okrągłego Stołu. Obiecał Kiszczakowi poparcie Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, podkreślając aspiracje Solidarności do tworzenia rządu. Na stanowisku



premiera widziałby Bronisława Geremka. – Co zrobić z Rakowskim? – zapytał generał. – Niech pisze książki – odparł krótko Wałęsa. Przejęcie rządu przez opozycję nie stanowiło warunku zgody na prezydenta z PZPR, ale było już stawiane otwarcie jako ewentualność całkiem realna.

Tymczasem przywódca Solidarności przyjmował w Gdańsku zachodnich mężów stanu. W czerwcu odwiedził go prezydent Francji François Mitterrand, w lipcu – prezydent USA George Bush. 11 lipca

Bush gościł na obiedzie w nowym domu Wałęsów przy ulicy Polanki. Gospodarz gwałtownie przekonywał Amerykanów do uruchomienia wielkiego planu pomocy finansowej dla Polski – sięgającej 10 miliardów dolarów w ciągu trzech lat. Przekraczało to znacznie wyobraźnię prezydenta Stanów Zjednoczonych, który nie zdawał sobie sprawy ze skali potrzeb i zasięgu zmian, jakie uruchamiała polska pokojowa rewolucja. Pod Pomnikiem Poległych Stoczniovców

wygłoszono przemówienia. – Z niewolnika nie ma pracownika – mówił Wałęsa. – Postęp cywilizacji nie znosi krępującego go monopolu. Zrzucamy więc z siebie garb totalitarnego stalinizmu i usiłujemy gonić za uciekającą nam Europą i całym światem – w stronę demokracji i pluralizmu. Za reformami politycznymi muszą jednak pójść skuteczne reformy gospodarcze. Inaczej grozi destabilizacja, która byłaby klęską demokracji.

George Bush wygłosił wiele ciepłych słów pod adresem „elektryka patrioty”, „jednego z

bohaterów naszych czasów”, ale co do konkretnej pomocy gospodarczej był znacznie bardziej oszczędny. Przywiózł ze sobą ofertę w wysokości 100 milionów dolarów, co było kwotą śmiesznie małą. Wałęsa powiedział to swemu gościowi bez owijania w bawełnę, rysując perspektywę niepokojów społecznych w Polsce wynikłych z biedy i bezrobocia. Zaskoczony bezpośrednim stylem robotniczego przywódcy, Bush przyjął to jako nierozumny radykalizm i donkiszoterię. Większą sympatię odczuwał do

bardziej przewidywalnego Jaruzelskiego. Podczas warszawskich rozmów z generałem zapewnił go, że nie przyjechał, aby dodatkowo komplikować trudne zadanie, jakie ma on do wykonania. Nie zamierza też utrudniać życia Gorbaczowowi i wywoływać napięcia w obozie komunistycznym. Dlatego nie będzie ingerować w polskie sprawy wewnętrzne. Namawiał jednak Jaruzelskiego, by nie rezygnował z prezydentury, podkreślał, że widzi w nim gwaranta stabilności w okresie

przejściowym. Nie szczędził też generałowi pochwał podczas publicznych wystąpień.

Amerykanie cieszyli się z demokracji w Polsce, ale wcale nie naciskali na jej przyspieszenie. W optyce Busha najważniejsza była kontynuacja pierestrojki i bezpieczeństwo polityki Gorbaczowa, którego mógł bardzo osłabić gwałtowny upadek reżimu komunistycznego w Polsce. Prezydent zapewnił szefa PZPR, że Stany Zjednoczone nie domagają się wycofania wojsk radzieckich z Polski i prosił, aby przekazał to

Gorbaczowowi. Również w Budapeszcie, dokąd pojechał z Warszawy, szybciej znalazł wspólny język z szefami partii niż z węgierskimi opozycjonistami, którzy zrobili na nim fatalne wrażenie. Uznał ich za znacznie gorzej przygotowanych do reformowania kraju niż przedstawiciele aparatu władzy. Ten polityczny realizm nie powstrzymał jednak upadku dawnego reżimu. Wsparcie Busha dla Jaruzelskiego pomogło mu zostać prezydentem, ale nie uratowało

rządów PZPR. Podczas „jesieni ludów” Amerykanie jednoznacznie opowiedzieli się za siłami demokratycznymi. A zmianę stosunku lokatora Białego Domu do Lecha Wałęsy pokazało w listopadzie entuzjastyczne przyjęcie przywódcy Solidarności w Waszyngtonie.

Mniej zaskakująca była aprobata prezydenckiej kandydatury generała ze strony jego moskiewskiego patrona. Podczas narady Układu Warszawskiego w Bukareszcie na początku lipca Gorbaczow



naciskał Jaruzelskiego, by się nie wycofywał z rywalizacji o funkcję głowy państwa. Dla Moskwy generał był gwarantem utrzymania Polski w sowieckiej orbicie – pod tym warunkiem była gotowa zgodzić się na dalsze zmiany demokratyczne, a nawet, jak się okazało, na przejście sterów rządu przez opozycję. Umocniony poparciem obydwu mocarstw, Wojciech Jaruzelski wznowił zabiegi o prezydenturę. Jednak rozgrywka się przeciągała – komuniści nie byli pewni, czy kandydatura I sekretarza partii zyska

wymagane minimum w Zgromadzeniu Narodowym. 14 lipca Wałęsa przeciął spekulacje, oznajmiając, że elekcję należy przeprowadzić szybko, a głową państwa może zostać tylko kandydat obozu komunistycznego. Za tym głosem popierającym szefa PZPR kryła się polityczna kalkulacja, zgodnie z którą jego wybór otwierał drogę do tworzenia rządu przez opozycję. Bez tego pierwszego kroku drugi nie byłby możliwy. Pięć dni później Wojciech Jaruzelski otrzymał urząd prezydenta PRL

dzięki wyborczym unikom kilku parlamentarzystów Solidarności.

„Zdajemy sobie sprawę z wewnętrznych i zewnętrznych uwarunkowań politycznych, które sprawiają, że w obecnej chwili prezydentem mogła zostać jedynie osoba reprezentująca koalicję rządowo-partyjną” – oświadczył Wałęsa po wyborze Jaruzelskiego. Wyraźnie stawiał jednak przed nim zadanie przyspieszenia przemian zachodzących w Polsce i realizowania polskiej racji stanu, wykraczającej poza interesy

jednej partii. Zasadniczym obowiązkiem nowego prezydenta miało być doprowadzenie do wolnych wyborów parlamentarnych w ciągu czterech lat i do powszechnych wyborów prezydenckich w następnej kadencji. W przesłanych Jaruzelskiemu gratulacjach raz jeszcze podkreślił, że następny prezydent Rzeczypospolitej powinien objąć swój urząd „głosem wszystkich Polaków, na miarę przysługujących nam praw obywatelskich”.

„Gdyby prezydent Polski miał

być wybierany w powszechnym głosowaniu, prezydentem zostałby Lech Wałęsa. W tej sprawie nikt spośród głosujących posłów i senatorów nie miał chyba wątpliwości” – napisał po elekcji Adam Michnik. Redaktor „Gazety Wyborczej” uznawał wybór Jaruzelskiego za polityczną konieczność, oczekiwał jednak od niego udziału w dalszej ewolucji demokratycznej i ratowania kraju przed gospodarczą ruiną. Klucz do zmian znajduje się w rękach prezydenta – twierdził Michnik.

Przypominał w ten sposób swoją koncepcję „wasz prezydent – nasz premier”, wysuniętą dwa tygodnie wcześniej, sugerując jej podjęcie przez głowę państwa. Ale generał nie zamierzał oddawać władzy Solidarności, choć gotów był ją dopuścić do udziału w rządzeniu.

25 lipca zaoferował przywódcy opozycji wejście do koalicji i liczne teki w rządzie, wraz ze stanowiskiem pierwszego wicepremiera. Wałęsa wysunął kontrpropozycję. „Powiedziałem

prezydentowi: kiedy opozycja wygrywa wybory tak mocno, przejmuje cały rząd. Jeśli koalicja do tego nie dorosła, zostajemy opozycją i tworzymy gabinet cieni” – relacjonował członkom OKP dwugodzinną rozmowę w Belwederze w cztery oczy. – Albo wszystko, albo nic. W ogłoszonym tegoż dnia oświadczeniu po raz pierwszy zarysował perspektywę odejścia od umowy Okrągłego Stołu. Skład sejmu wyznaczonego przez tę umowę nie odpowiadał bowiem woli większości społeczeństwa,

a sytuacja ekonomiczna stale się pogarszała. Konieczne były więc „śmiałe i zdecydowane rozwiązania dotyczące formuły sprawowania władzy”. Rząd należało przekazać siłom cieszącym się poparciem większości, które będą w stanie przeprowadzić trudne i gruntowne reformy gospodarcze. „Ze swej strony zamierzam powołać gabinet cieni, aby przygotować się do rozwiązań, które wcześniej czy później staną się nieuchronne” – oznajmił. Była to deklaracja politycznej wojny.



Można przypuszczać, że decyzja o próbie przejęcia władzy przez polityczną reprezentację Solidarności została już wtedy podjęta, choć tylko nieliczni działacze opozycji byli tego świadomi. Zadanie przygotowania gabinetu cieni otrzymał od Wałęsy Bronisław Geremek. On też prowadził rozmowy z PZPR i stronnictwami w sejmie. Inną misję dostali bracia Kaczyńscy, którzy już od jakiegoś czasu sondowali możliwość oderwania ZSL i SD od komunistów i zawiązania z nimi osobnej

koalicji. Lider opozycji nie przesądzał, która z tych koncepcji bardziej mu odpowiada. Każdej z nich w jakimś momencie udzielał poparcia, czekając na wyniki prowadzonych w dyskrekcji zabiegów.

Przygotowując w kularach nowy układ polityczny, Wałęsa jednocześnie przeciwstawił się próbie kontynuacji rządów PRL podjętej przez Czesława Kiszczaka. Komunistyczna większość w sejmie wybrała wskazanego przez Jaruzelskiego generała na nowego premiera,

ale miał on spore trudności z utworzeniem Rady Ministrów. Kolejne oferty udziału w rządzie kierowanym przez PZPR opozycja konsekwentnie odrzucała. Kruszył się też obóz peerelowski. Gdy prowadzone przez Kaczyńskich rozmowy z ZSL i SD weszły w decydujący etap, Wałęsa postanowił wyłożyć karty na stół. „Od 45 lat władza w Polsce jest zmonopolizowana przez jedną partię – ten właśnie stan rzeczy w połączeniu z ukształtowanym w warunkach monopolu systemem społeczno-

gospodarczym stanowi przyczynę zarówno głębokiego kryzysu ekonomicznego, politycznego, jak i moralnego” – oświadczył 7 sierpnia. Raz jeszcze sprzeciwił się formowaniu rządu przez Kiszczaka, który ma na celu zachowanie dotychczasowego monopolu. „Jedynym rozwiązaniem politycznym w obecnej sytuacji jest powołanie Rady Ministrów w oparciu o koalicję »Solidarności«, ZSL i SD, o co będę zabiegał” – ogłosił.

Tę lakoniczną zapowiedź odebrania im władzy komuniści

przyjęli jak grom z jasnego nieba. Gniewne reakcje nastąpiły zarówno w Warszawie, jak i w Moskwie. PZPR odczytywała ruch Wałęsy jako „dążenie do przekreślenia dorobku Okrągłego Stołu i postawienia pod znakiem zapytania trwałości osiągniętych porozumień”. Postowie partii, która przez 45 lat sprawowała w Polsce dyktatorskie rządy, bez żenady pouczyli lidera ruchu demokratycznego, że jego oświadczenie „pozostaje w sprzeczności z zasadami demokracji parlamentarnej w

jakimkolwiek kraju". Prasa radziecka oskarżyła go wręcz o próbę zamachu stanu. Wiceminister spraw zagranicznych ZSRR stwierdził, że Solidarność zrywa z prowadzoną dotąd polityką porozumienia i „zgody narodowej”, ostrzegał także przed destabilizacją sytuacji w Polsce, co miałyby negatywne skutki w całej Europie. Jednak już kilka dni później, po deklaracji Wałęsy, że opozycja liczy się z członkostwem Polski w Układzie Warszawskim, rzecznik radzieckiego MSZ

powiedział, że ZSRR nie zamierza w najmniejszym stopniu ingerować w sprawy wewnętrzne Polski. „Polacy muszą sami rozwiązać swoje problemy” – oznajmił, przyznając, że Moskwę uspokoiła zapowiedź pozostawienia komunistów na czele MON i MSW. Podobnie wypowiedział się rzecznik Departamentu Stanu USA – uznał, że o swoim rządzie muszą zdecydować Polacy.

Inicjatywę swego przewodniczącego czynnie wsparł NSZZ Solidarność. Po

gorącej dyskusji 8 sierpnia Prezydium Krajowej Komisji Wykonawczej poparło próbę utworzenia koalicji rządowej przez kluby parlamentarne OKP, ZSL i SD. Największe regiony odrodzonego związku wypowiedziały się tak jak Dolny Śląsk – za powołaniem „rządu obdarzonego społecznym zaufaniem, bez dziedzictwa nieudolności i nomenklatury”. Dla poparcia polityki Wałęsy ogłoszono strajki ostrzegawcze w regionie gdańskim, na Górnym i Dolnym Śląsku, na Pomorzu Zachodnim. Bogdan Borusewicz



i Władysław Frasyniuk wezwali do przekształcenia strajków rewindykacyjnych w protesty na rzecz zmiany systemu politycznego. Tego samego zdania byli przedstawiciele zakładów pracy z Podbeskidzia. 9 sierpnia zażądali jak najszybszych wyborów do samorządów lokalnych, nowej konstytucji dla nowego państwa i reprivatyzacji gospodarki narodowej, czyli – jak ostrożnie oceniła „Gazeta Wyborcza” – „chyba zmiany ustroju”.

Kluby poselskie SD i ZSL, a później także władze obu partii

przyjęły propozycje Lecha Wałęsy z aprobatą. Wieloletni satelici PZPR dostrzegli szansę na samodzielność i przetrwanie w nowym, pluralistycznym układzie politycznym. Do oficjalnych rozmów o nowej koalicji przewodniczący wydelegował Jarosława Kaczyńskiego. Ostatnią próbę storpedowania inicjatywy Wałęsy podjął generał Kiszczak, który rezygnując z utworzenia gabinetu, zaproponował, by premierem został szef ZSL Roman Malinowski. Jednak sami ludowcy nie byli tym

zainteresowani. Malinowski odmówił przyjęcia oferty prezydenta. Jaruzelski był już zresztą gotowy na wariant rządu solidarnościowego – o szczegółach rozmów o nowej koalicji informowali go politycy ZSL. Jego obawy spowodowane perspektywą odsunięcia PZPR zostały załagodzone zapowiedziami opozycji, że teki spraw wewnętrznych i obrony pozostaną w rękach komunistów. 15 sierpnia Wałęsa publicznie zapewnił, że koalicja Solidarności, ZSL i SD powoła „rząd odpowiedzialności

narodowej z zachowaniem respektu dla prerogatyw prezydenta PRL” – czyli jego wpływu na obsadę tych resortów.

Sytuacja Polski wymaga zmian zasadniczych – napisał tegoż dnia w „Gazecie Wyborczej” Adam Michnik. – „Dlatego sędzę, że prezydent Jaruzelski powinien powierzyć misję sformowania rządu Lechowi Wałęsie”. Jednak lider Solidarności nie zamierzał być premierem. Jego kandydatem był Tadeusz Mazowiecki, któremu złożył propozycję

podczas kolacji w Hotelu Europejskim. Mazowiecki przekonywał, że to Wałęsa powinien zostać szefem rządu. – Prezydentem to tak, premierem nie – odparł przywódca związku. Redaktor „Tygodnika Solidarność” po krótkich wahaniach zgodził się, choć jeszcze w lipcu opowiadał się przeciwko tworzeniu rządu przez opozycję. Jego kandydatura cieszyła się pełną akceptacją Kościoła i mogła liczyć na dobre przyjęcie przez nowych koalicjantów. Także wśród przywódców PZPR ów

działacz katolicki i dawny poseł na Sejm PRL postrzegany był jako polityk umiarkowany i obliczalny. Wałęsa wolał Mazowieckiego niż Bronisława Geremka, którego pozycja jako architekta Okrągłego Stołu, faktycznego szefa Komitetu Obywatelskiego i przewodniczącego OKP już i tak była bardzo mocna. W dziejach obozu solidarnościowego rozpoczął się etap, na którym zasadę jedności ruchu zastąpią odwieczne reguły politycznej rywalizacji.

Tegoż dnia, 16 sierpnia,

podjęli decyzję ludowcy i Stronnictwo Demokratyczne. Zrealizowanie propozycji Lecha Wałęsy odpowiada interesom społeczeństwa i państwa polskiego – oświadczył klub poselski SD, a za nim władze stronnictwa. Za utworzeniem „reformatorskiej koalicji” wypowiedziały się także władze ZSL. Inny ton przybrało szefostwo PZPR. Mieczysław Rakowski, nowy I sekretarz partii, oskarżył – nie bez racji – Wałęsę o podważanie układu politycznego w Polsce. „Weszliśmy w okres jawnej

walki o władzę – oburzał się. – Grozi nam złamanie porozumień zawartych przy Okrągłym Stole”. Jednak komuniści nie potrafili się już zmobilizować do walki. Po wyborczej katastrofie, po nie mniej upokarzającym wyborze prezydenta większością jednego głosu i po porażce misji Kiszczaka nie byli już zdolni do czynnego przeciwstawienia się perspektywie utraty władzy.

Paradoksalnie, najwięcej kłopotów przywódca opozycji miał we własnych szeregach. Zebrani tego samego dnia po południu parlamentarzyści



Solidarności byli sceptycznie nastawieni do zaskakujących posunięć lidera ruchu. Ich oporu nie przezwyciężył Jarosław Kaczyński, choć przedstawił bardzo zachęcające wyniki swoich rozmów z ZSL i SD. Większość ministerstw miały objąć OKP i oba stronnictwa, prezydentowi pozostawiano obsadę resortów obrony i spraw wewnętrznych. Kandydatem na premiera był – według Kaczyńskiego – Lech Wałęsa. Wielu członków Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, między innymi

Ryszard Bugaj i Andrzej Celiński, uważało wszakże przejmowanie rządu za koncepcję awanturniczą – wobec kompletnego nieprzygotowania opozycji. Ustąpili dopiero pod silną presją Wałęsy, który wieczorem przyjechał na posiedzenie klubu. „Przyszliśmy po to, żeby Polskę zmieniać, i macie ją zmieniać – przypominał. – Zmieniać przez nową koalicję. Nie przeciwko PZPR, ale przeciwko monopolowi PZPR”. Jego zdaniem PZPR będzie jeszcze kierować, ale musi się pozbyć

cech monopolisty. Zapewniał też, że sam nie ma zamiaru zostać premierem. „Ja tu premierów widzę wielu. I poza salą też widzę” – mówił, ale nikt nie wiedział, że jest już po rozmowie z Mazowieckim. – Możemy stać z boku, bo po co się narażać, ale weszliście do parlamentu po to, żeby się narażać. Proszę i wzywam was w imię odpowiedzialności za kraj – twórzcie koalicję! Kraj potrzebuje nowych układów, nowych rozwiązań – apelował do posłów i senatorów OKP. Wreszcie udało mu się zyskać

aprobatę dla „rządu odpowiedzialności narodowej, w którym mogłyby być reprezentowane wszystkie siły polityczne naszego kraju zdecydowane działać na rzecz reform politycznych i gospodarczych” – jak głosiło oświadczenie klubu. Było to więc także zaproszenie dla PZPR.

Nazajutrz koalicja Solidarność – ZSL – SD stała się faktem. 17 sierpnia rozpoczął się od porannej tury rozmów Lecha Wałęsy: najpierw z przewodniczącym ZSL

Romanem Malinowskim, potem z szefem SD Jerzym Józwiakiem. Umowę przypieczętowało trójstronne spotkanie w pałacu w Łazienkach w samo południe. Potem trzech panowie pojechali do Belwederu, by prezydentowi przedstawić zawiązaną koalicję i kandydata na premiera – Tadeusza Mazowieckiego. Jaruzelski, po konsultacjach z Kiszczakiem, przystał na układ, do którego wchodzili przecież także politycy komunistyczni, i na proponowanego szefa rządu. Pracowity dzień Wałęsa zakończył wizytą u prymasa

Józefa Glempa.

Decyzje przewodniczącego w pełni poparła Krajowa Komisja Wykonawcza. Idea sformowania rządu przez przedstawicieli opozycji solidarnościowej powinna stać się zasadniczym przełomem w życiu publicznym PRL i zerwaniem z „polityką monopolu nomenklatury partyjnej” – stwierdziła 19 sierpnia. Tego dnia Jaruzelski formalnie desygnował Mazowieckiego na premiera. Pięć dni później sejm powołał polityka opozycji na stanowisko prezesa Rady Ministrów. „Jako

przewodniczący NSZZ  
»Solidarność« wyrażam radość z  
dzisiejszej decyzji sejmowej i w  
imieniu całego związku życzę  
Tadeuszowi Mazowieckiemu,  
aby kierowany przez niego rząd  
był rządem wszystkich Polaków,  
skutecznie przeprowadzającym  
nasz kraj od systemu  
totalitarnego do demokracji” –  
oświadczył z tej okazji Lech  
Wałęsa.

„To, co przez wiele dni  
wydawało się niezrozumiałym  
meandrem politycznym Wałęsy,  
okazało się doskonale  
przeprowadzonym manewrem

politycznym” – napisał 18 sierpnia komentator „Gazety Wyborczej” Ernest Skalski. Trudno się z tym nie zgodzić. Podjęta w lipcu i sierpniu 1989 roku gra o rząd była kolejnym wielkim momentem w karierze gdańskiego stocznio-wca. Uczestników tej gry po stronie solidarnościowej było więcej – Adam Michnik, Bronisław Geremek, Jarosław Kaczyński, Jacek Kuroń – ale rolę kluczową odegrał w niej Wałęsa. To on zdecydował o tworzeniu koalicji z ZSL i SD, to on wyznaczył na premiera Mazowieckiego, to on



prowadził rozmowy z prezydentem Jaruzelskim, to on wreszcie namówił parlamentarzystów OKP do poparcia planu przejęcia władzy. Energia, z jaką przystąpił do budowania nowego układu, zaskoczyła zarówno jego politycznych przyjaciół, jak i przeciwników. Był jednym z pierwszych w obozie Solidarności, który zrozumiał, że ustalone przy Okrągłym Stole etapy drogi do wolności można i trzeba skrócić, że wybory dały demokratycznej opozycji mandat do rządzenia, że ludzie

nie rozumieją i nie wybaczą zmarnowania szansy na odebranie władzy komunistom.

Trzytygodniowa ofensywa polityczna Wałęsy przyniosła koniec czterdziestopięcioletnich rządów PZPR w Polsce. Wprawdzie partia zachowała istotne teki w Radzie Ministrów oraz stanowisko wicepremiera, ale o najważniejszych sprawach – demokratycznej przebudowie państwa, programie gospodarczym, suwerennej polityce zagranicznej – decydował polityk Solidarności, który stanął na czele rządu, i

dobrani przezeń ministrowie. Proces przejmowania władzy przebiegał zgodnie z regułą zmian ewolucyjnych, dokonywanych dzięki kompromisowi. Pokonani w parlamentarnej walce komuniści nie zostali zepchnięci do opozycji. Zgadzając się na pozostawienie resortów siłowych w ich rękach, Wałęsa i Mazowiecki zapewniali sobie poparcie Jaruzelskiego i bezpieczeństwo przemian. Dziś można to uważać za nadmierną ostrożność, wówczas widziano w tym niezbędne koszty

roztropności.

Kierowany przez siły demokratyczne rząd w Polsce zapowiadał kres komunistycznej dominacji w Europie Środkowej. Mur berliński upadł trzy miesiące później. Do końca 1989 roku załamały się także reżimy w Budapeszcie, Pradze i Bukareszcie. Epicentrum tego politycznego trzęsienia ziemi, największego od końca drugiej wojny światowej, znajdowało się w Warszawie.

# Przyspieszenie

W pierwszych tygodniach Wałęsa nie szczędził słów poparcia dla nowego rządu i jego szefa. On zrobi więcej niż ktokolwiek inny na jego miejscu – powiedział 24 sierpnia dziennikarzowi Polskiej Agencji Prasowej. W dniu sejmowej nominacji nazwał Mazowieckiego człowiekiem, który całe swoje życie poświęcił walce o Polskę, i współtwórcą Solidarności. „Premier Tadeusz

Mazowiecki jest jednym z nas, tak jak wtedy, gdy razem z nami spał na styropianie w czasie stoczniowych strajków, gdy był internowany i gdy wszyscy walczyliśmy o »Solidarność«” – oświadczył 25 sierpnia, wzywając do ograniczenia akcji strajkowej, by nie szkodzić działaniom „naszego rządu”. Między przewodniczącym a jego dawnym doradcą rodziły się już jednak nieporozumienia. W tworzeniu gabinetu Wałęsa nie brał żadnego udziału, choć jako ojciec chrzestny koalicji rządowej oczekiwał zapewne

jakiejś formy konsultacji. Dał temu wyraz podczas rozmowy na marginesie obchodów rocznicy Sierpnia, przypominając Mazowieckiemu, że to on zrobił go premierem. – No tak, ale ja już jestem tym premierem – odpowiedział nie bez racji szef rządu.

Na tak szybką emancypację swego współpracownika przywódca ruchu z pewnością nie był gotowy. Tym bardziej że na świecie traktowano go jako symbol polskich przemian demokratycznych. Wykorzystał to do promowania

podejmowanych przez Polskę reform i namawiania do ich poparcia – chciał, jak to określał, „umiędzynarodowić polską gospodarkę”. – Nie oczekujemy jałmużny, tylko inwestycji, na których zarobimy wspólnie – mówił przedstawicielom kapitału niemieckiego podczas wizyty w RFN. – Tymczasem wasi przemysłowcy zachowują się jak dziewice, które i chciałyby, i boją się. Bezceremonialnie krytykując bierność Zachodu w kwestii gospodarczej, Wałęsa starał się jednocześnie



uśmierzyć obawy dotyczące polityki. Lęki przed destabilizacją kontynentu z powodu gwałtownego rozpadu bloku sowieckiego uspokajał zapewnieniami, że Polska nie myśli o jednostronnym wyjściu z Układu Warszawskiego. Pakty jednak stają się niepotrzebne, gdy buduje się wspólny europejski dom – przekonywał, cytując Michaiła Gorbaczowa.

W dniu przegłosowania składu rządu przez sejm Lech Wałęsa jeszcze raz udzielił mu jednoznacznego poparcia, deklarując gotowość pomocy.

„Wraz z powołaniem gabinetu Tadeusza Mazowieckiego dochodzi do głosu inna Polska, dotąd odsunięta od udziału w rządzeniu krajem, pozbawiona wpływu na bieg spraw w naszej ojczyźnie – ogłosił przy tej okazji. – Jest to Polska ludzi pragnących żyć w państwie niezawisłym, demokratycznym i dostatnim. [...] Życzę nowemu rządowi, aby skutecznie przeobrażał nasz kraj, aby zdobył niezbędne poparcie społeczne dla swoich działań i aby okazał się rządem na miarę naszych wspólnych aspiracji, na

miarę stojącego przed Polską przełomu”. Wokół tego, czy premier i jego ministrowie spełniają te oczekiwania, będą się rodzić w obozie solidarnościowym nowe podziały polityczne.

Na razie wszakże przewodniczący Solidarności namawiał związkowców do udzielenia rządowi kredytu zaufania. Nie możemy na pierwszym miejscu stawiać swoich interesów – przekonywał 19 września kolegów z Krajowej Komisji Wykonawczej. – Mamy widzieć

przede wszystkim interes Polski. A Polski nie da się przebudować, jeśli podejmiemy zbyt silną obronę przed reformami ekonomicznymi. Najważniejsza jest wolność, bo ona przyniesie chleb – mówił, odchodząc od tradycyjnego myślenia przywódcy związku zawodowego. – Trzeba odebrać komunistycznemu państwu 80 procent własności fabryk, ziemi, wszystkiego. I przekazać to ludziom. Słowa Wałęsy nie stanowiły przemyślanej propozycji prywatyzacji gospodarki, ale były sygnałem

jego poparcia dla rozwiązań rynkowych. Polska musi przejść od gospodarki zdominowanej przez państwo do gospodarki rynkowej, opartej na własności prywatnej, bo tylko ten model zdał egzamin. – Reformy wynikają z wymogów epoki, a nie czyichś zachcianek – bronił rządowej polityki ekonomicznej. Dostrzegał jednak ich społeczną cenę, obawiał się wybuchu konfliktów. „Zmieniamy system, ale siedzimy na beczce z prochem” – mówił w październiku. W imię społecznego bezpieczeństwa

trzeba ludziom jasno powiedzieć, że zanim w Polsce zostanie przywrócony porządek po komunizmie, będziemy musieli przejść przez trudny okres. Krytykował też Europę Zachodnią, która nie rozumiała do końca tych procesów – za mało w niej było chętnych do pomocy w budowie nowego systemu na miejsce zbankrutowanego realnego socjalizmu. A jeśli polski eksperyment się nie powiedzie, to skutki tej klęski odczują także NRD, Czechosłowacja, Węgry i Związek Radziecki –

przekonywał Wałęsa odwiedzających go polityków europejskich.

Ekipa Mazowieckiego podjęła radykalną reformę gospodarczą według projektu Leszka Balcerowicza, ale w sferze politycznej była znacznie ostrożniejsza. Powolne tempo zmian w Polsce, gdzie komuniści jeszcze przez wiele miesięcy zachowali kluczowe pozycje w wojsku, policji i administracji, bulwersowało szczególnie w zestawieniu z błyskawicznym rozpadem systemu w innych krajach w końcu 1989 roku.

Stało się to główną osią sporu w obozie Solidarności i konfliktem między premierem a przywódcą Solidarności. Był to także konflikt prestiżowy między dwoma ambitnymi politykami. Zaraz po objęciu funkcji szefa rządu Mazowiecki oznajmił, że nie zamierza być premierem malowanym. „Nie mogę się zgodzić, żeby być malowanym przewodniczącym” – twierdził z kolei Wałęsa, krytykowany za nominację Jarosława Kaczyńskiego na redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność”, z którego odszedł



Mazowiecki. Oddając  
Kaczyńskiemu tygodnik,  
wynagradzał swego  
współpracownika, który z  
sukcesem przeprowadził  
operację odwrócenia przymierzy  
i zbudowania koalicji z ZSL i SD.  
Tworzył także w obozie  
Solidarności ośrodek niezależny  
od szefa rządu i  
przewodniczącego OKP. Taką  
polityczną intencją – nie  
dopuścić do nadmiernej  
przewagi jednego skrzydła na  
scenie politycznej – będzie się  
stale kierował w III  
Rzeczypospolitej. „Musi być

równowaga lewo – prawo. Jak jedno będzie za silne, to poprę drugie” – opisywał tę zasadę w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”.

Zapewne chodziło nie tyle o zachwianą równowagę polityczną w obozie Solidarności, ile o to, że w układzie rządzącym nie było miejsca dla Wałęsy. Dotychczasowy lider został wyłączonego z procesu podejmowania decyzji – mógł jedynie kibicować posunięciom swoich byłych doradców. Powstający w Warszawie nowy

krajobraz polityczny tworzył się bez niego. Obywatelskiemu Klubowi Parlamentarnemu szefował Bronisław Geremek, sterujący także Komitetem Obywatelskim, rządem całkowicie autonomicznie kierował Tadeusz Mazowiecki w towarzystwie Jacka Kuronia jako ministra pracy, a linię polityczną „Gazety Wyborczej”, najważniejszego medium obozu reform, samodzielnie kształtował Adam Michnik. Poza kręgiem podejmującym decyzje pozostawali przedstawiciele innych nurtów ideowych –

Wiesław Chrzanowski, Jan Olszewski, Jarosław i Lech Kaczyńscy, a także gdańscy liberałowie z Janem Krzysztofem Bieleckim, Januszem Lewandowskim i Donaldem Tuskiem.

Polityczne aspiracje tych środowisk zyskiwały wsparcie Wałęsy, również niezadowolonego z sytuacji w kraju. Podczas gdy dawni doradcy przewodniczącego Solidarności zdobywali samodzielną pozycję, sprawując ważne funkcje publiczne, on sam tkwił w Gdańsku

pozbawiony wpływu na posunięcia rządu. Przeskok od roli niekwestionowanego przywódcy do spychanego na margines szefa centrali związkowej był zbyt gwałtowny, by nie wywołać gniewnej reakcji ambitnego noblisty. Wałęsa deklarował wprawdzie, że jest zmęczony, że poświęcił krajowi 20 lat życia i chciałby odpocząć. „Idą czasy zawodowców, a ja jestem tylko amatorem. Jak się w porę nie wycofam, to mnie wycofają”. Już czuję, że zaczynam przeszkadzać zawodowym politykom – mówił

w końcu września 1989 roku. Słowa te wcale jednak nie były sygnałem rezygnacji, ale rosnącej frustracji. Jeśli dawnym współpracownikom przewodniczącego wydawało się, że zadowoli się on pozycją historycznego autorytetu, który żyruje i popiera decyzje zapadające bez jego udziału, to grubo się pomylili. Wysyłanie czterdziestosześcioletniego Wałęsy na polityczną emeryturę zaraz po jego największym sukcesie, jakim było odebranie władzy komunistom, dowodziło wielkiej naiwności. Jego powrót

na środek sceny publicznej był tylko kwestią czasu – od sposobu, w jaki miał to uczynić, zależało coś więcej niż tylko przyszłość jego kariery.

Pozostawiony poza tworzącym się w stolicy establishmentem nowej Polski Wałęsa spychany był w rolę kontestatora. Do tego, by rzucić wyzwanie przyjaciołom z czasów rewolucji Solidarności, pchało go też przekonanie o roli, jaką ma wciąż do odegrania, i żywione w głębi ducha aspiracje prezydenckie. Długo się powstrzymywał od krytyki

posunięć Mazowieckiego, ale bezwzględnej lojalności nie obiecywał. – Jeśli rząd nie będzie przedstawiał dobrych propozycji, konsultował ich, dyskutował i rozjaśniał sytuacji, to Solidarność może uciec się do strajków – ostrzegał w końcu października. „Ale to jeszcze nie teraz, nie zakłócamy miodowego miesiąca, chociaż za długo też nie zamierzamy się przyglądać – albo rząd jest udolny, albo nieudolny. [...] A rozliczać go będziemy nie za to, że problemów nie rozwiązał, ale że nie dokończył pluralizmu



politycznego, nie pomógł zbudować nowych partii, które przedstawiłyby program”. Postulat wielości partii i klarownego podziału sceny politycznej zgodnie z europejskim zwyczajem na lewicę, prawicę i centrum Wałęsa formułował już – przypomnijmy – na kilka miesięcy przed wyborami. Toteż nie zyskał jego uznania projekt, by z komitetów obywatelskich zbudować szeroki ruch polityczny, łączący, tak jak związek Solidarność, różne nurty ideowe. Autorom tego

projektu, Bronisławowi Geremkowi i Adamowi Michnikowi, szło o powołanie trwałej struktury działającej na rzecz podejmowanych przez rząd reform. Krajowa Komisja Wykonawcza wraz z Wałęsą, obawiając się konkurencji dla odradzającego się dopiero związku, próbowała jeszcze w czerwcu rozwiązać regionalne komitety obywatelskie. To nie zakończyło ich działalności, a sam Wałęsa zmienił później zdanie. Spór o przyszłość tego ruchu i o kontrolę nad nim będzie jedną z przyczyn

konfliktu w obozie dawnej opozycji.

Polityczna marginalizacja w kraju kontrastowała z uznaniem, z jakim lider Solidarności spotykał się na scenie międzynarodowej. Potwierdziła to wrześniowa podróż do RFN i rozmowy z kanclerzem Helmutem Kohlem i prezydentem Richardem von Weizsäckerem. W listopadzie Wałęsa odwiedził Kanadę, Wenezuelę i Wielką Brytanię. Najważniejsza była jednak tygodniowa wizyta w Stanach Zjednoczonych. Amerykański

sukces Wałęsy przyćmił wszystkie poprzednie, także udane, podróże. Podejmowano go tam z wielkim uznaniem dla jego roli publicznej, ale też pod wrażeniem autentycznej kariery self-made mana. Prezydent USA nazwał go ojcem duchowym przemian w Europie Wschodniej. „Być może historia tworzy ludzi, ale Lech Wałęsa stworzył historię” – powiedział George Bush. „Ameryka cieszy się swoją wolnością i zaraża nią inne kraje – odpowiadał mu polski gość. – Teraz mój kraj wszedł na drogę wolności.

Jestem pewien, że już z niej nie zejdzie”.

Kulminacyjny punkt wizyty nastąpił 15 listopada – było nim wystąpienie Lecha Wałęsy przed połączonymi izbami Kongresu. „My, naród...” – od pierwszych słów amerykańskiej konstytucji zaczynała się wygłoszona po polsku mowa. Napisana przez Kazimierza Dziewanowskiego, znakomicie tłumaczona na żywo przez Jacka Kalabińskiego, została przyjęta przez kongresmenów owacją na stojąco. Przywódca Solidarności przypomniał strajk sierpniowy i

przekonywał, że wyzwolenie spod komunizmu to początek ery lepszego, demokratycznego świata. „Teraz nie chodzi o to, by umierać za Gdańsk, ale o to, by dla niego żyć. Dziś patrząc na to, co się wokół nas dzieje, możemy z całą stanowczością powiedzieć: polska droga walki o ludzkie prawa, walka bez użycia przemocy, polski upór i konsekwencja na drodze do pluralizmu i demokracji wskazują dziś wielu ludziom, a nawet narodom sposób uniknięcia największych niebezpieczeństw. Jeżeli dzisiaj

coś grozi stabilizacji europejskiej, to nie jest to Polska. [...] Spokojnie i w sposób rozważny, licząc się z niebezpieczeństwami, ale nie rezygnując z tego, co słuszne i niezbędne, Polacy torują powoli drogę historycznym przemianom. Na tej drodze znajdują się razem z nami, choć w różnych stadiach zaawansowania, również inni: Węgrzy, Rosjanie, Ukraińcy i mieszkańcy krajów bałtyckich, Ormianie i Gruzini, a ostatnio wkroczyły na nią również wschodnie Niemcy. Z

pewnością wkroczą na tę drogę również pozostali, ponieważ nie ma innego wyboru”.

Odradzająca się demokracja w Polsce stoi jednak przed wielkimi wyzwaniami – mówił Lech Wałęsa. Długie trwanie dyktatury i sprzecznego ze zdrowym rozsądkiem sposobu gospodarowania doprowadziło kraj na skraj katastrofy. W takim samym stanie są wszystkie państwa wychodzące z komunizmu. Potrzebna jest im konkretna pomoc, a nie tylko „piękne słowa zachęty”. „Nie prosimy o żadne datki ani



filantropię [...]. Chcemy współpracy na dobrych i korzystnych warunkach”. Pomoc dla demokracji i wolności w Polsce i w całej Europie Wschodniej to najlepsza inwestycja w przyszłość i pokój – „lepsza niż czołgi, okręty i samoloty”. „Runął już mur, który był granicą wolności – powiedział na koniec przywódca Solidarności. – Mam nadzieję, że narody świata już nigdy nie pozwolą na budowę takich murów”.

Komentator „Gazety Wyborczej” nazwał to

przemówienie zwycięską bitwą.  
– To było najtrudniejsze wystąpienie w moim życiu – mówił sam Wałęsa. – Jestem naprawdę elektrykiem, a udaję dyplomatę. Jednak gdański elektryk był świetnym ambasadorem polskich przemian – przekonywał Amerykanów, że warto inwestować w demokrację w Polsce, namawiał do współpracy gospodarczej, rozmawiał z przywódcami Żydów amerykańskich, z politykami, związkowcami i dziennikarzami, spotykał się z Polonią.

Mógł być z siebie zadowolony i tego nie ukrywał. Wracając z Waszyngtonu, spotkał się na lotnisku w Warszawie z wyjeżdżającym do Moskwy premierem Mazowieckim. – Życzę Panu, by przywiózł Pan to samo z Moskwy, co ja przywiozłem ze Stanów Zjednoczonych – powiedział nie bez odrobiny złośliwości. W grudniu sam pojechał do Związku Radzieckiego na pogrzeb Andrieja Sacharowa. Rozmawiał wówczas w Moskwie z politykami demokratycznymi, a także z

Borysem Jelcynem. Do spotkania z Michaiłem Gorbaczowem nie doszło. Kreml nie był na to jeszcze gotowy.

Innego rodzaju kłopoty były ze spotkaniem z Vaclavem Havlem. Podczas swojej krótkiej wizyty w Polsce, już jako prezydent Czechosłowacji, Havel nie miał czasu, by pojechać do Gdańska, a Wałęsa z kolei nie chciał przyjechać do Warszawy.

Działacze Solidarności Polsko-Czechosłowackiej wymyślili więc, że najlepszym miejscem na spotkanie na szczycie będzie

granica w Karkonoszach, przez którą jeszcze niedawno przekradano się z bibułą. Obaj dawni dysydenci 19 marca 1990 roku przylecieli helikopterami do schroniska na Śnieżce, a serdeczna rozmowa zaprzeczyła plotkom o osobistych animozjach i zazdrości, jaką Wałęsa miał żywić do kolegi z Hradu. – W temacie prezydenta jesteśmy do tyłu – przyznał jednak dawny stoczniowiec.

Po zagranicznych wojażach Lech Wałęsa powrócił z impetem na scenę krajową. 12

grudnia 1989 roku  
zapropował wyposażenie  
rządu w uprawnienia do  
wydawania aktów prawnych  
z mocą ustawy w ściśle  
ograniczonych kwestiach  
reformy gospodarczej i zmiany  
struktury państwa.  
Wprowadzane zmiany są  
pozytywne, ale zbyt powolne –  
oceniał. Kredyt zaufania  
społecznego się wyczerpuje,  
należy więc działać prędko i  
zdecydowanie. Premier odrzucił  
tę propozycję, choć nie była ona  
pozbawiona sensu. W dziejach  
III Rzeczypospolitej koncepcja,

by Radę Ministrów obdarzyć prawem do wydawania dekretów, wracała jeszcze dwa razy. W 1991 roku została postawiona przez rząd Jana Krzysztofa Bieleckiego, a dwa lata później wysunął ją Jan Rokita, szef Urzędu Rady Ministrów w gabinecie Hanny Suchockiej. Większość polskiej klasy politycznej nie była jednak zainteresowana wzmocnieniem władzy wykonawczej.

18 stycznia wejście Wałęsy było jeszcze mocniejsze. Przewodniczący przyjął w Gdańsku ambasadora Związku

Radzieckiego i zażądał wycofania wojsk sowieckich z Polski do końca 1990 roku. Tak daleko nie posunął się wcześniej żaden z polskich polityków – w realiach wciąż istniejącego Układu Warszawskiego żądanie mogło się wydawać awanturnicze. Dziś wiemy, że takie nie było. Podczas rozmowy z radzieckim ambasadorem Wałęsa zarysował perspektywę pojednania między narodem polskim i rosyjskim, opartego jednak na prawdzie o wspólnej przeszłości. Rosjanie muszą



dopuścić do stałych kontaktów z Polakami w ZSRR, a także wyjawić całą prawdę o 17 września 1939 roku, o procesie szesnastu przywódców Polski Podziemnej, o tym, gdzie poza Katyniem zginęli polscy oficerowie uwięzieni przez NKWD. Te historyczne postulaty, postawione blisko 20 lat temu, wciąż czekają na odpowiedź strony rosyjskiej.

Wbrew ostrożnej polityce Mazowieckiego przewodniczący Solidarności występował z kolejnymi inicjatywami. W końcu stycznia wraz z Krajową

Komisją Wykonawczą zażądał natychmiastowej likwidacji Służby Bezpieczeństwa i zabezpieczenia jej archiwów, systematycznie niszczonej od jesieni 1989 roku przy biernej postawie rządu (a jak się zdaje, wręcz z udziałem wicepremiera Kiszczaka). Rozwiązanie PZPR skwitował apelem o niedopuszczenie do przejęcia jej majątku przez jej następczynię, Socjaldemokrację Rzeczypospolitej Polskiej, założoną przez Kwaśniewskiego, oraz wezwaniem do budowy partii

politycznych. „Przyszłości Polski nie można budować tylko na jednej orientacji politycznej, a w szczególności na formule związku zawodowego – czas wreszcie uporządkować sprawy. [...] W najbliższych wolnych wyborach powszechnych, w walce o władzę winny rywalizować ze sobą wyłącznie partie polityczne, wysuwając własnych liderów i konkurencyjne programy” – ogłosił.

Politykom stojącym na czele Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego najlepszym

rozwiązaniem wydawało się wówczas utworzenie ruchu obywatelskiego Solidarność – ugrupowania bez wyrazistego oblicza ideowego, które na najbliższe lata miałyby zdominować scenę publiczną, zapewniając reformatorom ciągłość władzy. Wałęsa rozbijał tę jednolitofrontową koncepcję – także dlatego, że nie było w niej miejsca dla jego przywództwa. Zorganizowana na początku grudnia konferencja z udziałem Wałęsy, Mazowieckiego i Geremka nie rozstrzygnęła przyszłości

komitetów obywatelskich. Choć animozje między czołowymi postaciami ruchu solidarnościowego były coraz bardziej widoczne, zdołano uzgodnić wspólną uchwałę z poparciem „dla działań na rzecz naprawy Rzeczypospolitej”. Jednak czas jedności dobiegał końca. W końcu lutego 1990 roku Wałęsa wyznaczył do kierowania pracami Komitetu Obywatelskiego Zdzisława Najdera, twórcę Polskiego Porozumienia Niepodległościowego (1976), dawnego dyrektora Rozgłośni

Polskiej Radia Wolna Europa i zwolennika zdecydowanej dekomunizacji. Było to rzucenie rękawicy dotychczasowym przyjaciołom. Komitet, w którym pierwsze skrzypce grał Geremek, miał się stać ośrodkiem nowego ruchu obywatelskiego. Nominacja Najdera, który dopiero co powrócił z emigracji, na powrót podporządkowywała to ciało przewodniczącemu Solidarności, niechętnemu formule ruchu.

Pierwsze starcie nastąpiło podczas zebrania Komitetu Obywatelskiego 31 marca.

Tadeusz Mazowiecki apelował, „abyśmy tej zaczynającej się polskiej demokracji nie zamienili w polskie piekło. Polskie piekło swarów, podgryzań i walk”. Choć nie zaadresował tej uwagi, było jasne, do kogo kieruje ją przede wszystkim. W odpowiedzi Lech Wałęsa atakował rząd za zbyt wolne zmiany, za hamowanie pluralizmu, za niepodjęcie jego propozycji dekretów i nieprzeciwstawienie się rabunkowej prywatyzacji. Mówił, że w warunkach rewolucji najważniejsza jest

skuteczność – „Nie czas na ratowanie róz, jak płonie las”. Jednak na spotkaniach w zakładach pracy wciąż jeszcze bronił polityki rządu, zwłaszcza reform Balcerowicza, i odżegnywał się od osobistego konfliktu z Mazowieckim. – Ja też jestem niezadowolony, może nawet bardziej niż wy – mówił 29 marca do pracowników handlu Trójmiasta. – Możemy oczywiście zmieniać rząd co dwa tygodnie, ale zaprzęgu nie zmienia się pośrodku rzeki. Dajmy szansę rządowi.

Uważni obserwatorzy mogli



dostrzec w jego działaniach ambicje objęcia urzędu szefa państwa. Mówiło się o tym już latem 1989 roku, ale od tego czasu sytuacja się zmieniła. W oczach swoich współpracowników z czasów walki o wolność Wałęsa stał się zagrożeniem dla ładu demokratycznego budowanego krok za krokiem, w sposób, dla którego nie widziano alternatywy. Ścisła elita obozu solidarnościowego próbowała swego dawnego przywódcę odwieść od rychłej prezydentury podczas

nieformalnych spotkań u arcybiskupa gdańskiego 7 i 8 kwietnia. Bez rezultatu. – Panowie, ja i tak będę tym prezydentem, bez względu na to, czy wy tego chcecie czy nie – nie pozostawił wątpliwości Wałęsa. Szukając pola do kompromisu, proponował, by Geremek został wiceprezydentem (choć takiego stanowiska nie było), a Mazowiecki nadal był premierem. To z kolei nie uspokoiło polityków warszawskich.

Kropka nad „i” postawiona

została 10 kwietnia 1990 roku. W oświadczeniu dla Polskiej Agencji Prasowej Wałęsa potwierdził wcześniejszą informację Jarosława Kaczyńskiego, że zamierza ubiegać się o urząd prezydenta. Zwiększenie skuteczności rządu i przyspieszenie zmian – takie miały być motywy jego decyzji. Elementy programu to reprivatyzacja większości majątku państwowego, wyprowadzenie wojsk radzieckich, wolne wybory do parlamentu. Wałęsa wciąż deklarował też chęć współpracy

z Mazowieckim jako premierem, choć coraz ostrzejsza krytyka rządu podawała te deklaracje w wątpliwość. Do pośpiechu pchało go zapewne, poza wrodzoną ambicją, szybkie zmniejszanie się jego popularności. Według badań opublikowanych w „Gazecie Wyborczej” w okresie od listopada 1989 do marca 1990 roku poparcie społeczne dla lidera Solidarności spadło z 90 do 56 procent (premier też stracił, ale mniej: z 93 do 65 procent). Mimo jego ataków na opieszałość rządzących ludzie



przewodniczącego, mimo że było już jasne, iż będzie kandydował na prezydenta. Przeciwników z radykalnego skrzydła, w tym Andrzeja Słowika, pokonał zdecydowanie (362 głosy do 52). Jedyne poważny konkurent, broniący rządu przed coraz bardziej demagogicznymi atakami innych związkowców, Władysław Frasyniuk, nie wystartował. Ten sukces na pewno usatysfakcjonował miłość własną Lecha Wałęsy i wzmocnił jego prezydenckie ambicje. – Nie chciałem być

przewodniczącym, nie chcę być ani prezydentem, ani premierem, ale gdy będzie 500 partii i anarchia, zrobię to dla Polski – powiedział kolegom na pierwszym posiedzeniu Komisji Krajowej Solidarności, przymierzając się do roli męża opatrznościowego.

Wkrótce po zjeździe, 12 maja 1990 roku, zawiązało się pod wodzą Jarosława Kaczyńskiego Porozumienie Centrum – koalicja ugrupowań o genezie solidarnościowej, które popierały kandydaturę Wałęsy do Belwederu (wówczas

mieściła się tam siedziba głowy państwa). Szyki zwierali też przeciwnicy tej kandydatury. 7 maja, a potem 10 czerwca w Krakowie z inicjatywy Jerzego Turowicza spotkała się inna część dawnych opozycjonistów z Bronisławem Geremekiem i Adamem Michnikiem, rozpoczynając tworzenie „sojuszu na rzecz demokracji” wspierającego rząd Mazowieckiego.

Swoją – wedle modnego wówczas terminu – filozofię polityczną Lech Wałęsa najpełniej przedstawił 10 maja



na spotkaniu w Pucku. W Polsce toczy się spór o rozumienie demokracji – mówił, cytując książkową definicję tego pojęcia. Dla jednych demokracja to proces sterowany, to statek, który politycy prowadzą po niepewnych wodach politycznego żywiołu. Dla drugich demokracja to dziedzina spontanicznej działalności jednostek pod żelazną kontrolą prawa. Wolne społeczeństwa opierają swój byt nie na spokoju społecznym, lecz na stałym niepokoju politycznym. Nie na wyciszaniu konfliktów, lecz na

ich nieustannym publicznym rozładowywaniu. „Dla mnie demokracja to pokojowa wojna wszystkich ze wszystkimi”. Przedstawił też swoją wizję prezydenta, który „może nawet z siekierą latać, kiedy rozkradają Polskę”. Trzy dni później podczas posiedzenia Komitetu Obywatelskiego dodawał: „Jeżeli jest spokój na górze, to na dole jest wojna. Dlatego zachęcam państwa do wojowania”. Model obywatelskiej aktywności ograniczony do wspierania rządu, „wmawianie, że lepiej być

nie może”, nie jest ani dobry dla rządu, ani bezpieczny dla społeczeństwa. Trzeba dopuścić do głosu różne idee i konflikty, trzeba publicznie dyskutować na temat prezydenta, premiera, ministrów. „Nie po to, żeby straszyć, ale żeby ludziom się chciało. [...] Stan wojenny wprowadził marazm i obecna koncepcja robi to samo. Wziąłem sobie urlop, kiedy Tadeusz Mazowiecki został premierem. Dzisiaj schodzę z urlopu”.

Wystąpienie to zostało uznane przez obóz

Mazowieckiego za proklamację tak zwanej wojny na górze. Do rozstrzygnięcia tej wojny dojść miało podczas wyborów prezydenckich – na razie gra toczyła się o kontrolę nad Komitetem Obywatelskim. Mazowiecki oraz kierownictwo Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego próbowało z ruchu komitetów zbudować platformę poparcia dla rządu, czemu w imię pluralizmu, pod hasłem przyspieszonych wyborów prezydenckich, sprzeciwiali się Wałęsa i politycy Porozumienia Centrum.

Walka na programy przybrała jednak nieprzyjemną postać kłótni personalnej. 1 czerwca przewodniczący Solidarności zwolnił Henryka Wujca (postać i sekretarza OKP, bliskiego współpracownika Bronisława Geremka) z funkcji sekretarza Komitetu Obywatelskiego. Gdy Wujec odpowiedział, że został wybrany przez cały komitet i tylko to ciało może go odwołać, Wałęsa wysłał mu lakoniczny faks: „Czuj się odwołany”. Tegoż dnia próbował także odwołać własną nominację Adama Michnika na szefa „Gazety

Wyborczej”. Bez skutku. Redakcja „Gazety” stanęła w obronie swego szefa. Jakiś czas potem zgodziła się natomiast usunąć znak graficzny Solidarności z winiety dziennika, co było potwierdzeniem rozstania, które dokonało się już kilka miesięcy wcześniej.

Konflikt lidera Solidarności z jego wieloletnimi sojusznikami był bolesny dla obu stron. Opisywany często w kategoriach etycznych, odbierany przez wielu ludzi jako przykra, wręcz nieprzyzwoita kłótnia w rodzinie, był przede

wszystkim sporem politycznym. Choć każda ze stron próbowała przedstawiać swoje motywacje w języku idei i programów, to – jak zwykle w polityce – szło przede wszystkim o władzę. Premier i szef OKP uznali, że wiedzą najlepiej, jak kierować sprawami państwa, a krytyka ze strony Lecha Wałęsy szkodzi polskiej racji stanu. Toteż aspiracje prezydenckie przywódcy ruchu napotykały sprzeciw jego dawnych doradców. Spotkały się natomiast ze zrozumieniem takich ludzi, jak Zbigniew

Brzeziński i Jan Nowak-  
Jeziórański.

24 czerwca doszło do  
rozłamu – zwolennicy  
Mazowieckiego opuścili Komitet  
Obywatelski, który został  
zdominowany przez stronników  
Wałęsy.

Wcześniej  
przewodniczący podczas ostrej  
dyskusji bezceremonialnie i  
niegrzecznie potraktował  
osiemdziesięcioletniego Jerzego  
Turowicza, ogólnie  
szanowanego redaktora  
„Tygodnika Powszechnego”. –  
Panie Turowicz, powiedział pan,  
że trzeba koniecznie bronić



rządu Mazowieckiego. Mogę powiedzieć: ten rząd jest chroniony wszystkimi słowami, ale nie czynami. To nie jest Polska, którą ja chciałem zbudować. Polska, panie Turowicz, czeka, aby pan powiedział, co pan ma przeciwko Wałęsie i demokracji – zaatakował Wałęsa, zły za jednoznaczne poparcie „Tygodnika Powszechnego” dla Mazowieckiego. Dostało się też wieloletniemu doradcy związku, uczestnikowi strajku sierpniowego, Andrzejowi Wielowieyskiemu, cytującemu

sondaże opinii w obronie rządu.  
– Stłucz pan termometr, a nie  
będziesz pan miał gorączki –  
poradził mu dawny  
stoczniowiec. Napaść na  
czołowe postacie katolickiego  
środowiska Znak, które zawsze  
wspierało Solidarność, zrobiła  
fatalne wrażenie. Było to  
powodem odsunięcia się od  
Wałęsy wielu osób z Komitetu  
Obywatelskiego, które starały  
się zachować neutralność w  
przybierającym na sile sporze.  
W kategoriach politycznych  
batalię o komitety wygrała  
formacja „przyspieszenia”, w

kategoriach wizerunkowych stracili na tym wszyscy uczestnicy „wojny na górze”. To chyba wtedy w opinii społecznej zaczął się zmierzch mitu Solidarności.

Wskutek rozbicia Komitetu Obywatelskiego na scenie publicznej pojawiło się 16 lipca nowe ugrupowanie – Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna, z udziałem Zbigniewa Bujaka, Władysława Frasyniuka, Adama Michnika, Jacka Kuronia i Henryka Wujca. Założyciele ROAD wyrażali poparcie dla „filozofii rządu

Tadeusza Mazowieckiego” i nie kryli, że za głównego przeciwnika uważają Porozumienie Centrum. Prezydenckie ambicje Lecha Wałęsy uważali za niebezpieczne dla młodej demokracji, a koncepcję przyspieszenia zmian za sprzeczną z programem ewolucji, który chcieli kontynuować. Odrzucali też hasła radykalnego zerwania z PRL, dekomunizacji i zdecydowanych rozliczeń za czas komunizmu. W imię tych racji namawiali Mazowieckiego

na start w wyborach głowy państwa.

Mimo coraz ostrzejszej walki przedwyborczej Wałęsa nie uchylał się od pomocy w łagodzeniu otwartych konfliktów społecznych. Miesiąc miodowy rząd Mazowieckiego dawno miał już za sobą, a nikt lepiej od przywódcy Solidarności nie umiał pacyfikować strajków. W podbramkowych sytuacjach potrafił nawet bronić władz. Gdy w maju wybuchł strajk kolejarzy na Pomorzu, popierany przez OPZZ i związek

Solidarność '80, który założył Marian Jurczyk, Wałęsa wzywał do zakończenia protestu. – Nie wszystko można zrobić od razu – odpowiadał na krytykę gabinetu. – Rząd mocno pracuje, premier prawie nie opuszcza Urzędu Rady Ministrów. Popatrzcie, jaki premier blady, bledszy niż polska gospodarka – przekonywał. Uznawał racje strajkujących, ale przestrzegał, że ich protest wspierany przez związki Miodowicza zagraża reformom demokratycznym. 28 maja po nocnych negocjacjach doprowadził do zakończenia

głodówki kolejarzy w Słupsku. 16 czerwca uśmierzył z kolei antyrządowy protest rolników w Mławie, zdobywając przy okazji kolejne punkty w rywalizacji z Mazowieckim.

Na początku lipca zaprosił premiera na publiczne spotkanie ze związkowcami w Stoczni Gdańskiej. Szef rządu, obawiając się wiecowej atmosfery, zaproponował rozmowę w Warszawie, pod egidą Kościoła. Gospodarzem, a chyba też mediatorem, miał być, jak za czasów negocjacji między władzami PRL a opozycją,

arcybiskup Bronisław Dąbrowski. Wałęsa zgodził się przyjechać do stolicy. 7 lipca doszło do sześciogodzinnej rozmowy przewodniczącego z premierem w klasztorze w Zalesiu pod Warszawą. Poufne spotkanie nie zakończyło się ugodą. Wyjaśniło natomiast, że Mazowiecki będzie kandydować w wyborach prezydenckich, choć wciąż nie ogłosił tej decyzji. Następnego dnia zebrani w stoczni na zaproszenie Wałęsy działacze Solidarności nie zostawili na rządzie suchej nitki. Atakowano



zarówno brak rozliczeń, czyli tak zwaną politykę „grubej kreski”, jak i plan Balcerowicza. Przewodniczący przybrał nieco spokojniejszy ton. „Nasz problem polega na tym, że nigdy nie rozmawialiśmy o tym, jak działać po obaleniu komunizmu. Polska jest w potrzebie, a my nie wiemy, jak trud rządu i parlamentu przełożyć na język zrozumiały dla społeczeństwa. Ważne jest nie to, co wy uważacie za ważne, ale to, co jest ważne dla tych, którzy was wybrali” – napominał obecnych na sali posłów i senatorów z

OKP.

Mazowiecki poważnie się wahał, czy podjąć prezydencką rękawicę, choć mogły go zachęcać wyniki sondaży, w których długo wypadał lepiej od Wałęsy. Z tego też powodu jego obóz przeforsował projekt wyboru prezydenta w głosowaniu powszechnym, a nie, tak jak w wypadku Jaruzelskiego, przez Zgromadzenie Narodowe, co proponowało Porozumienie Centrum. Sam Wałęsa także wolał wybory powszechne, dające silniejszą legitymację

demokratyczną. Premier był przekonany, że startu w wyborach wymaga obrona polityki jego rządu. Chyba się mylił. „Nie chcę obalać tego rządu. Chcę go zdopingować” – deklarował jego konkurent. Ostro krytykując konkretne poczynania gabinetu Mazowieckiego, a zwłaszcza niezrozumiałą zwłokę w usuwaniu ludzi i struktur z czasów reżimu komunistycznego, lider Solidarności aprobował jego generalną linię, zwłaszcza w dziedzinie reformy

gospodarczej. Obietnica złożona Mazowieckiemu 31 sierpnia podczas spotkania ostatniej szansy u biskupa Tadeusza Gołowskiego w Oliwie, że będzie mógł kontynuować po wyborach misję szefa rządu, jeśli wycofa się z wyścigu do prezydentury, nie była gołosłowna. W odpowiedzi premier zaproponował, by obaj się wycofali i znaleźli trzeciego kandydata obozu solidarnościowego. Dla Wałęsy było to, rzecz jasna, nie do przyjęcia. 17 września oznajmił: „w dniu dzisiejszym

zdecydowałem” i rozpoczął oficjalną kampanię wyborczą.

Nie chcę zostać prezydentem, ale będę musiał – powtarzał często Lech Wałęsa. Dlaczego? „Niewykorzystana została szansa, jaka powstała po rozwiązaniu partii – tłumaczył 30 sierpnia. – Tamten układ zbudowany był w 65 procentach przez partię, w 35 procentach przez nas. Rozsypał się i nie wykorzystaliśmy szansy zbudowania nowego. O to mam pretensje do polityków – ich bierność ustawiła wszystkich w

roli manekinów, także i mnie. Należało sprawę rozwiązać, a mnie albo podziękować, albo znaleźć jakieś nowe miejsce, a tak Wałęsa stał się śmieszny”. Niebezpieczne jest jego zdaniem kontynuowanie polityki powolnych zmian, gdyż doprowadzi do wybuchu społecznego. Nie można utrzymywać przy życiu systemu 35-procentowej demokracji wywodzącej się z Okrągłego Stołu.

Prezydentura była w tej optyce instrumentem przyspieszenia, czyli

doprowadzenia do końca rozpoczętych w 1989 roku zmian, które powinny objąć wolne wybory, szybką prywatyzację gospodarki i dekomunizację. Szef państwa zdaniem Wałęsy winien aktywnie uczestniczyć w rządzeniu i mieć szerokie kompetencje na wzór francuski. „Na dziś, gdy zmieniamy system, potrzeba prezydenta z siekierą: zdecydowany, ostry, nie certoli się, nie przeszkadza demokracji, ale natychmiast blokuje luki – mówił w czerwcu w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”. – Gdy

widzi, że korzystają ze zmiany systemu, rozkradają, wydaje dekret, ważny do czasu uchwały sejmowej”. Na wiecach ten program przybierał kształt skrajnie uproszczony – prezydenta, który zaprowadzi sprawiedliwość za pomocą siekiery, a sprawców nadużyć „puści w skarpetkach”. Wykorzystując swoje talenty trybuna, Wałęsa prezentował się jako obrońca prostego człowieka, pozbawionego przez warszawską elitę wpływu na sprawy kraju. „Budujemy demokrację, ale ludzie prości nie



mają z tego pożytku” – mówił i zapowiadał „przewietrzenie” Warszawy. – To, co robi rząd, przypomina operację, która się udała, ale pacjent jej nie przeżył – oceniał. Nie stronił od chwytów populistycznych, takich jak głosowanie, które zarządzał na zakończenie swoich wieców: za czy przeciw jego propozycjom. Wynik był zawsze po jego myśli. W kampanii pojawiły się też akcenty antysemityczne. Choć nie wychodziły one od samego Wałęsy – robotniczy lider nigdy nie żywił antyżydowskich

uprzedzeń – to nie próbował uciąć tego wątku.

Kandydaturę przewodniczącego wspierał NSZZ Solidarność, co było ważne z uwagi na rozgałęzioną, regionalną strukturę i miliony głosów związkowców. Dynamiczną, profesjonalnie prowadzoną kampanią kierował Jacek Merkel, przywódca strajku na Wybrzeżu w sierpniu 1988 roku, reprezentujący teraz środowisko Kongresu Liberałów, które poparło Wałęsę, licząc na przyspieszenie wolnorynkowych reform gospodarczych.

Decydujące wszakże było to, że hasła wyborcze przewodniczącego związku trafiały do przekonania ludziom, odczuwającym trudy terapii szokowej Balcerowicza i rozumiejącym „grubą kreskę” jako rozgrzeszenie funkcjonariuszy dyktatury, którym świetnie się powodziło w kraju wcześniej doprowadzonym przez nich do ruiny.

25 listopada w pierwszej turze wyborów Lech Wałęsa zdobył 40 procent głosów. To było sporo, ale za mało, by

świętować zwycięstwo. Żadnych powodów do radości nie miał Tadeusz Mazowiecki, który z 18 procentami głosów zajął dopiero trzecie miejsce – za tajemniczym przybyszem z Peru Stanisławem Tymińskim. – Jestem przerażony tym, jak bardzo społeczeństwo jest niezadowolone z nas i z tego, co się w Polsce dzieje – skomentował te wyniki Wałęsa. – To, co się stało z Mazowieckim, to jest klęska nas wszystkich i moja, ale gdybym dziewięć miesięcy temu słuchał się ich, to klęska byłaby

większa.

W drugiej turze musiał się zmierzyć z Tymińskim, nikomu nieznanym demagogiem, którego sukces był szokiem dla całego dawnego obozu solidarnościowego. Próbował on szantażować swego konkurenta jakimiś kompromitującymi materiałami, jakie miał rzekomo trzymać w ogromnej czarnej teczce, z którą się nie rozstawał. Gdy odwołał się do tego podczas debaty telewizyjnej z Wałęsą, ten z reflekssem zażądał ich natychmiastowego zaprezentowania. Tymiński

jednak odmówił – jego słynna teczka była zapewne pusta. Strach przed zwycięstwem Tymińskiego, którego uważano za realne zagrożenie dla Polski, skłonił wielu polityków z obozu premiera, z nim samym na czele, do poparcia w drugiej turze inicjatora „wojny na górze”. Za Wałęsą opowiedział się też jednoznacznie Kościół. Jednak dopiero 9 grudnia, po drugiej turze wyborów, w której otrzymał 74 procent głosów (głosowało na niego 10,5 miliona ludzi), przywódca Solidarności mógł odetchnąć.

Batalia o Belweder została  
wygrana.

# Prezydent Rzeczypospolitej

22 grudnia 1990 roku Lech Wałęsa został zaprzysiężony jako prezydent Rzeczypospolitej Polskiej – wcześniej zrezygnował z funkcji przewodniczącego Solidarności. Przysięgę zakończył słowami, których nie było w oficjalnej rocie: „Tak mi dopomóż Bóg!”. Insignia władzy przekazał mu Ryszard Kaczorowski, prezydent



RP na uchodźstwie. By jeszcze silniej zaakcentować zerwanie z PRL, na uroczystość nie zaproszono Wojciecha Jaruzelskiego.

Nowy szef państwa chciał, by premierem pozostał Tadeusz Mazowiecki. „My jesteśmy skazani na siebie, musimy dokończyć reformę w Polsce” – apelował zaraz po pierwszej turze. Już wtedy uspokajał zachodnich inwestorów, że rynkowy kierunek przemian gospodarczych, rozpoczęty przez Balcerowicza, będzie kontynuowany. Mazowiecki

jednak uznał, że wynik wyborów oznacza odrzucenie jego polityki, i podał się do dymisji. Jego miejsce zajął liberał z Gdańska Jan Krzysztof Bielecki, ale zmiany w składzie rządu były mniejsze, niż oczekiwano. Zaskoczeni byli zarówno przeciwnicy, jak i zwolennicy nowego prezydenta. Swoją pozycję zachowało trzech kluczowych ministrów: finansów – Leszek Balcerowicz, spraw zagranicznych – Krzysztof Skubiszewski, i obrony – Piotr Kołodziejczyk. Do kierowania prezydencką kancelarią Wałęsa

powołał Jarosława Kaczyńskiego. Lech Kaczyński został ministrem stanu, ale drogi autorów koncepcji przyspieszenia i prezydenta zaczęły się wkrótce rozchodzić. Szef państwa nie podjął hasła antykomunistycznych z kampanii wyborczej, a w polityce powołanego przezeń premiera więcej było elementów kontynuacji niż „nowego początku”.

Polska polityka zagraniczna, kierowana przez mającego dobry kontakt z prezydentem ministra Skubiszewskiego, miała

nadal jako główny cel umocnienie suwerenności oraz integrację z Zachodem. Lech Wałęsa, zastępując w fotelu prezydenta Rzeczypospolitej generała Jaruzelskiego, symbolizującego czasy zależności i dyktatury, dodał tej polityce wiarygodności i wigoru. Bez tej zmiany nie mógłby się odbyć na przykład szczyt w Wyszehradzie. Spotkanie demokratycznych prezydentów Polski, Czechosłowacji i premiera Węgier dało 15 lutego 1991 roku początek współpracy trzech, a potem czterech (po

powstaniu Czech i Słowacji) wychodzących z komunizmu krajów Europy Środkowej. W następnych miesiącach i latach wspólnie rozmontowano Układ Warszawski i w sposób skoordynowany zmierzano do NATO i Unii Europejskiej.

Z pierwszą wizytą zagraniczną prezydent Lech Wałęsa pojechał do Watykanu. 5 lutego został nadzwyczaj serdecznie przyjęty przez Jana Pawła II, który wygłosił przejmujące przemówienie. „Wspominam tu ofiary i łzy Polaków i Polek, tych, którzy walczyli o wolną

Polskę: robotników, ludzi kultury, kapłanów, zakonników i zakonnic, tych, którzy żywią i bronią, wszystkich. Ich symbolem pozostanie na zawsze polska Solidarność, ksiądz Jerzy i gdańskie krzyże, a także pan, Panie Prezydencie”. Obecny na tej audiencji Jacek Moskwa twierdzi, że było jasne, iż papież był zadowolony z wyniku wyborów prezydenckich. W maju Wałęsa odwiedził Izrael, gdzie podczas przemówienia w Knesecie wyraził ubolewanie z powodu krzywd, jakie spotykały Żydów we wspólnej przeszłości.

Wspierany przez prezydenta rząd prowadził politykę prozachodnią. W lipcu 1991 roku został rozwiązany Układ Warszawski, zlikwidowano także Radę Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, zrywając ostatnie więzy z Moskwą. W listopadzie Polska zawarła układ o stowarzyszeniu z Europejską Wspólnotą Gospodarczą. W grudniu 1991 roku jako pierwsza uznała niepodległą Ukrainę.

Za najważniejsze zadanie, obok kontynuacji zmian wolnorynkowych, rząd

Bieleckiego uznał doprowadzenie do wolnych wyborów parlamentarnych. Wałęsa proponował, aby odbyły się one już w maju, ale sejm przesądził o terminie październikowym. Prezydent toczył też spór z parlamentem o kształt ordynacji wyborczej, obawiając się, że doprowadzi ona do rozdrobnienia parlamentu. Przeważyła jednak wersja skrajnie proporcjonalna, co zaowocowało wejściem do sejmu aż 23 ugrupowań. Powołanie rządu w tak rozdrobnionej izbie było



przedsięwzięciem karkołomnym. Lech Wałęsa, który w wyborach zachował neutralność, najpierw zaproponował na premiera Bronisława Geremka, szefa najliczniejszego klubu – Unii Demokratycznej. Jednak szefem rządu został, mimo oporu prezydenta, Jan Olszewski z Porozumienia Centrum, forsowany przez Jarosława Kaczyńskiego. Olszewski sięgnął do retoryki antykomunistycznej i antyrynkowej. Jego gabinet odwoływał się do haseł walki z aferzystami i dekomunizacji,

jakich w 1990 roku używał sam Wałęsa. Jednak prezydent po objęciu urzędu nie próbował realizować tych zapowiedzi. Przeciwnie – wierny zasadzie równowagi mówił o potrzebie silnej „lewej nogi” na polskiej scenie politycznej. Hasło zerwania z „grubą kreską” poszło w zapomnienie.

Spór z prezydentem towarzyszył gabinetowi Olszewskiego właściwie od początku. Przybrał postać otwartego konfliktu, gdy minister obrony Jan Parys ogłosił, iż niektórzy oficerowie

spiskują przeciw rządowi, i zdymisjonował lojalnego wobec Wałęsy szefa wywiadu wojskowego. Odwołany Parys twierdził, że Biuro Bezpieczeństwa Narodowego przy kancelarii prezydenta stało się pozakonstytucyjnym ośrodkiem decyzyjnym w sprawach armii. Obronę narodową, sprawy wewnętrzne i politykę zagraniczną Wałęsa traktował istotnie jako domeny sobie podporządkowane. Specjalne prerogatywy w tych sferach dawała głowie państwa umowa Okrągłego Stołu i

wprowadzone w jej wyniku zmiany w konstytucji. Prezydent nie wahał się ich użyć, by ingerować w sprawy wojska.

Nieprzejednanym krytykiem głowy państwa stało się Porozumienie Centrum – partia, której Wałęsa w dużej mierze zawdzięczał swój wybór. Ludzie PC jako pierwsi padli ofiarą tak zwanej teorii zderzaków, którą prezydent uzasadniał instrumentalne traktowanie współpracowników i ich częste zmiany. Jarosław Kaczyński, pierwszy szef kancelarii prezydenta, po opuszczeniu

Belwederu w 1991 roku zaczął skrajnie negatywnie oceniać politykę Wałęsy i jego otoczenie, którego symbolem stał się Mieczysław Wachowski, dawny szofer i totumfacki przewodniczącego Solidarności, podniesiony do rangi ministra stanu. Niejasne – zdaniem Kaczyńskiego – było zachowanie prezydenta w chwili moskiewskiego puczu Giennadija Janajewa w sierpniu 1991 roku. Wałęsa zwlekał wówczas z poparciem dla Borysa Jelcyna, który przeciwstawił się puczystom,

prowadził rozmowy telefoniczne z Jaruzelskim i Kiszczakiem. Stosunki polsko-rosyjskie były polem kolejnego konfliktu z rządem, gdy szef państwa udał się w maju 1992 roku do Moskwy, by podpisać oficjalny traktat między Rzeczpospolitą a Rosją, a wraz nim protokół o wycofaniu wojsk radzieckich z Polski. Olszewski telegraficznie zakwestionował punkt przewidujący utworzenie spółek polsko-rosyjskich w obiektach opuszczonych przez armię ZSRR, zmuszając Wałęsę do dramatycznych negocjacji z

Jelcynem na ten temat. Zakończyły się one sukcesem i kontrowersyjny zapis usunięto, ale po powrocie do kraju prezydent ogłosił swoje wotum nieufności wobec Olszewskiego.

Konfrontacja przybrała na sile wobec projektu lustracji, który w końcu maja nagle uchwalił parlament. 4 czerwca 1992 roku minister spraw wewnętrznych Antoni Macierewicz przedstawił izbie listę posłów i członków najwyższych władz, których podejrzewał o tajną współpracę z komunistyczną Służbą

Bezpieczeństwa. Figurował na niej, obok marszałka sejmu Wiesława Chrzanowskiego, także Lech Wałęsa. Prezydent najpierw wydał oświadczenie, w którym przyznawał, że aresztowany przez SB w grudniu 1970 roku podpisał „3 albo 4 dokumenty”. „Podpisałbym wtedy prawdopodobnie wszystko, oprócz zgody na zdradę Boga i Ojczyzny, by wyjść i móc walczyć. Nigdy mnie nie złamano i nigdy nie zdradziłem ideałów ani kolegów”. Potem oświadczenie jednak wycofał, potępił



przeprowadzaną przez Macierewicza „pozaprawną” lustrację i w porozumieniu z opozycją podjął błyskawiczną akcję prowadzącą do dymisji gabinetu. Jeszcze tego samego dnia sejm na nocnej sesji odwołał rząd Olszewskiego. Na wniosek Wałęsy na stanowisko premiera powołano Waldemara Pawlaka z Polskiego Stronnictwa Ludowego, który natychmiast obsadził ministerstwa spraw wewnętrznych i obrony ludźmi lojalnymi wobec prezydenta. Po miesiącu Pawlaka zastąpiła

Hanna Suchocka z Unii Demokratycznej, której udało się sformować rząd siedmiopartyjnej koalicji.

Zgromadzona przez Antoniego Macierewicza dokumentacja Służby Bezpieczeństwa na temat Lecha Wałęsy nie zachowała się w całości. Uległa częściowemu zniszczeniu, najprawdopodobniej podczas wypożyczenia przez kancelarię prezydenta w 1992 i 1993 roku. Kryzys lustracyjny oznaczał ostateczne rozejście się Wałęsy z politykami centroprawicy,

którzy byli współtwórcami jego politycznych sukcesów po roku 1989. Był to także kolejny etap przetasowań w dawnym obozie Solidarności. W rządzie Hanny Suchockiej połączyli swe siły politycy skupieni niegdyś wokół rządu Mazowieckiego, tworzący teraz Unię Demokratyczną, popierający Wałęsę w 1990 roku gdańscy liberałowie z Kongresu Liberalno-Demokratycznego, Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe i postowie Solidarności. Sprawa zdymisjonowania rządu

Olszewskiego miała też wymiar ustrojowy. Konfliktom między prezydentem, premierem i parlamentem sprzyjał niejasny podział kompetencji pomiędzy tymi organami. Lech Wałęsa robił co mógł, by zwiększyć uprawnienia swego urzędu i wprowadzić w Polsce system prezydencki, ale z umiarkowanym powodzeniem. 1 sierpnia 1992 roku sejm uchwalił tak zwaną małą konstytucję, zgodnie z którą głowa państwa sprawowała ogólne kierownictwo w sferze stosunków zagranicznych i

bezpieczeństwa kraju oraz opiniowała kandydatów na ministrów obrony, spraw zagranicznych i spraw wewnętrznych. Zyskały one nazwę resortów belwederskich, a Wałęsa potrafił wymóc, by na ich czele stali politycy lojalni wobec jego wizji racji stanu: Władysław Bartoszewski, Andrzej Milczanowski, Andrzej Olechowski, Wojciech Okoński.

Prezydenturę Wałęsy cechowała swoista nadaktywność – nie mieścił się w kostiumie skrojonym w III Rzeczypospolitej dla głowy

państwa, chciał brać bezpośredni udział w sprawowaniu władzy wykonawczej, podejmować decyzje. Na tym tle narastały spory między prezydentem a partiami politycznymi. Szczególnie ostre formy przybrał konflikt między Wałęsą a politykami Porozumienia Centrum, którzy sposób odwołania rządu Olszewskiego porównywali do zamachu stanu, a Wachowskiego, prawą rękę prezydenta, oskarżali o związki ze Służbą Bezpieczeństwa. 29 stycznia 1993 roku podczas

ulicznej demonstracji PC i innych partii prawicowych spalono kukłę z napisem „Bolek”. W marcu Jarosław Kaczyński ujawnił tajną instrukcję Urzędu Ochrony Państwa, która wskazywała na zaangażowanie służb specjalnych w działania przeciwko partiom opozycyjnym. W pierwszą rocznicę upadku rządu Olszewskiego policja brutalnie potraktowała zwolenników lustracji i obalonego premiera. Polityczny spór dzielący dawnego przywódcę obozu

Solidarności i wyrosłe z niego ugrupowania tylko na chwilę został przerwany przez upadek rządu Hanny Suchockiej i wyborcze zwycięstwo postkomunistów we wrześniu 1993 roku.

Stosunki z koalicją lewicową układały się burzliwie. Osamotniony Wałęsa niewiele mógł zrobić wobec przejmowania wszystkich dźwigni władzy przez Sojusz Lewicy Demokratycznej i Polskie Stronnictwo Ludowe. Popierany przez niego Bezpartyjny Blok Wspierania



Reform dostał się wprawdzie do sejmu, ale zajął w nim marginalną pozycję. Dla pozaparlamentarnej prawicy Wałęsa pozostawał wrogiem numer jeden. Nieskore do współpracy z Belwederem były także obecne w sejmie partie o solidarnościowym rodowodzie: Unia Wolności i Unia Pracy, stale podejrzewające dawnego lidera opozycji o zapędy dyktatorskie.

Lech Wałęsa z pewnością nie był konwencjonalnym prezydentem – szarpał się w gorsecie konstytucji. Nigdy

jednak nie przekroczył swoich uprawnień, choć często balansował na krawędzi. Belwederski prawnik Lech Falandysz robił co mógł, by interpretować ustawę zasadniczą na korzyść swego zwierzchnika, ale efektem tej „falandyzacji” było obniżenie kultury prawniczej w Polsce. Z prawa weta wobec ustaw sejmowych prezydent korzystał w czasie całej kadencji 22 razy – z różnym skutkiem. Jego najważniejszą bronią pozostawała inicjatywa i energicznie egzekwowana wola

polityczna. Swoją wizję państwa i prezydentury przedstawił chyba najpełniej w wystąpieniu telewizyjnym 27 października 1994 roku. „Polska jest dzisiaj słaba, Polską nikt nie rządzi. Stworzyliśmy system, który jest kłótliwogenny” – mówił. Kraj potrzebuje porządku i silnej władzy. Porządek nie kłóci się z wolnością – zapewniał. „Dobry system władzy to taki, w którym rządzący mają duże możliwości i dużą odpowiedzialność”. Opowiedział się tedy za silną władzą prezydenta, który sprawuje rzeczywiste rządy, a

odpowiada jedynie przed narodem i konstytucją. Ustawa zasadnicza nie dawała takich możliwości – szef państwa mógł jedynie chronić równowagę polityczną. W sferze programowej Wałęsa wysuwał dwa projekty: „plan główny” i „sto milionów dla każdego”. Za pierwszym z tych haseł kryła się propozycja opracowania strategii społeczno-gospodarczego rozwoju Polski, za drugim – uwłaszczenie społeczeństwa i powszechna prywatyzacja majątku państwowego poprzez tanie

kredyty dla każdego obywatela. Wielu ekonomistów nie pozostawiło suchej nitki na programie „stu milionów”, ale nie był on sprzeczny z modelem gospodarki opartej na własności prywatnej.

Po przejęciu rządów przez postkomunistów lokator Belwederu stał się w oczach sporej części polskiej opinii publicznej i polityków Zachodu gwarantem kontynuowania reform wolnorynkowych i dążeń euro-atlantyckich naszego kraju. Potwierdziła to wizyta prezydenta w kwaterze głównej

Sojuszu Atlantyckiego w lipcu 1991 roku, choć nie padła jeszcze wtedy deklaracja woli przystąpienia Polski do NATO. Członkostwo w sojuszu jako cel polskiej polityki ogłosili w następnym roku ministrowie Jan Parys, a potem Krzysztof Skubiszewski. Wiele wątpliwości wzbudziły niejasne koncepcje utworzenia EWG-bis i NATO-bis. Przeciwnicy Wałęsy widzieli w nich groźbę ugrzęźnięcia Polski w szarej sferze bezpieczeństwa, pomiędzy Zachodem a Rosją; inni – nieprzemyślaną próbę

odbudowy zerwanych więzi gospodarczych ze Wschodem. Minister Skubiszewski odwiedził prezydenta od tych wywołujących nieporozumienia pomysłów.

Najbardziej spektakularnym wkładem Lecha Wałęsy do polskich zabiegów o wejście do zachodniego sojuszu było uzyskanie poparcia Borysa Jelcyna. Podczas swojej wizyty w Warszawie w sierpniu 1993 roku prezydent Rosji podczas długich nocnych rozmów z gospodarzem dał się przekonać do wyrażenia aprobaty dla

przystąpienia Polski do NATO (pogłoskom, że wypito przy tym sporo alkoholu, Wałęsa taktownie zaprzecza). „W perspektywie taka decyzja suwerennej Polski zmierzająca do integracji ogólnoeuropejskiej nie jest sprzeczna z interesami innych państw, w tym również Rosji” – głosił komunikat podpisany przez Jelcyna 25 sierpnia nad ranem. Rosyjski prezydent później zmienił zdanie, ale i tak było to zwycięstwo w dyplomatycznej batalii o NATO. Następnym sukcesem Wałęsa odnotował, gdy



17 września 1993 roku Polskę opuściły ostatnie oddziały wojsk rosyjskich, co było bez wątpienia w dużej mierze jego zasługą.

Podczas swych zagranicznych podróży prezydent propagował polskie aspiracje do instytucji euro-atlantyckich, wzywając kraje zachodnie do jednoznacznych i szybkich decyzji w tej sprawie. W najbardziej żywotnych dla Polski kwestiach potrafił przełamywać sztywne reguły protokołu, nie bojąc się prezentować otwarcie własnego zdania ani krytykować

partnerów za opieszałość. Zachodni politycy wysłuchiwali go z szacunkiem dla legendy przywódcy Solidarności, o której za granicą pamiętano lepiej niż w kraju. Wałęsa odegrał sporą rolę w przekonaniu Stanów Zjednoczonych do przyjęcia Polski do sojuszu atlantyckiego. Kluczowa była jego manifestacyjna niechęć do projektu Partnerstwa dla Pokoju, który mógł stać się propozycją alternatywną dla członkostwa w NATO. „Idea wspólnego europejskiego domu pozostaje niespełnionym

marzeniem. [...] Nie nastąpił rozwój i poszerzenie struktur bezpieczeństwa ani struktur ekonomicznych. Zatrzymaliśmy się w pół drogi – mówił podczas spotkania prezydentów Grupy Wyszehradzkiej z Billem Clintonem w styczniu 1994 roku. – Centralna Europa nie może być »szarą strefą« i próżnią bezpieczeństwa. Obszarem, w którym lęłyby się demony przeszłości”. Partnerstwo dla Pokoju nazwał „krokiem we właściwym kierunku, ale krokiem zbyt krótkim”, i wyraził oczekiwanie,

że polski marsz w drodze do NATO zostanie przyspieszony. W kwietniu tego roku powtórzył to jeszcze bardziej dobitnie podczas rozmowy z prezydentem Clintonem w Waszyngtonie, którą przeprowadził wraz z Vaclavem Havlem. „Wałęsa kategorycznym tonem żądał, by Zachód dał krajom takim jak Polska i Czechy to, co powinien był im dać tuż po wojnie” – relacjonował Tomasz Lis, ówczesny korespondent telewizji polskiej w USA. Zdecydowana postawa dwóch

legendarnych przywódców walki o wolność musiała wyrzeć wrażenie na amerykańskim prezydencie, który ją na długo zapamiętał.

Stosunki z Borysem Jelcynem pogorszyły się. W 1994 roku prezydent Rosji nie przybył – mimo zaproszenia – na zorganizowane z inicjatywy Lecha Wałęsy uroczystości pięćdziesiątej rocznicy powstania warszawskiego. Z kolei obecny w Warszawie prezydent RFN wyraził żal za zbrodnie niemieckie popełnione na Polakach podczas wojny. Był

to ważny krok na drodze polsko-niemieckiego pojednania. Wałęsa brał też znaczący udział w realizowaniu polskiej polityki wschodniej. W maju 1993 roku pojechał do Kijowa, gdzie zainaugurował polsko-ukraiński Komitet Konsultacyjny, który do dziś jest ważną płaszczyzną kontaktów politycznych. W kwietniu następnego roku podpisał w Wilnie traktat polsko-litewski, co zakończyło okres nieufności między dwoma krajami.

Ostatni rok prezydentury stał tyle pod znakiem walki z koalicją

lewicową, ile prezydenckiej kampanii wyborczej. W 1995 roku pytany o to, czy będzie ponownie kandydował, Wałęsa mógł powtórzyć swój slogan sprzed pięciu lat: „Nie chcę, ale muszę”. Sondaże dawały mu niewielkie szanse, ale żadne z posolidarnościowych ugrupowań nie dochowało się przywódcy zdolnego zagrozić kandydatowi postkomunistów Aleksandrowi Kwaśniewskiemu. Dawny lider Solidarności zwlekał z oficjalnym zgłoszeniem swej kandydatury – wreszcie 31 sierpnia zrobił to w

Stoczni Gdańskiej. Początkowo nie poparła go żadna poważna partia poza Bezpartyjnym Blokiem Wspierania Reform, później uzyskał wsparcie NSZZ Solidarność. Kampanię prowadził w politycznym osamotnieniu, bez wielkich środków, skupiając się na spotkaniach z ludźmi. Zdecydował się na usunięcie ze swego otoczenia Mieczysława Wachowskiego, który symbolizował belwederskie intrygi i ciemne strony prezydentury. W końcu września wskaźniki popularności



skoczyły w górę i Wałęsa wysforował się przed innymi konkurentów. Odtąd szedł łeb w łeb z Aleksandrem Kwaśniewskim. Ta sytuacja mu odpowiadała – jego głównym hasłem było wszak zagrodzenie drogi liderowi postkomunistów do objęcia pełnej władzy w państwie. Innego programu właściwie nie miał.

Brak programu mogła zrekompensować osobista legenda laureata Nagrody Nobla. Ale w szóstym roku przemian gospodarczych i ustrojowych mało kto pamiętał

o zasługach człowieka, który na czele Solidarności je rozpoczął. Odpowiedzialność prezydenta za dotkliwy dla wielu grup społecznych przebieg zmian w Polsce, a zwłaszcza jego poparcie dla reform gospodarczych, stały się zresztą w oczach sporej części elektoratu winą, a nie zasługą. Charyzma ludowego trybuna z roku 1980 i narodowego przywódcy z roku 1989 ustąpiła miejsca niechęci do stylu uprawiania polityki przez prezydenta. Od głowy państwa ludzie oczekiwali czegoś

zupelnie innego niz od lidera opozycji antykomunistycznej. Megalomania, chaotycznosc dzialan, agresja wobec przeciwnikow i nieumiejtnosc wspolpracy - tak oceniali jego prezydenture nie tylko wrogowie. Generalna opinia na temat Watęsy byla dla niego niekorzystna. Wedlug przeprowadzonych w marcu 1995 roku badan dokonania Lecha Watęsy od 1980 roku pozytywnie ocenilo 32 procent pytanych, a negatywnie - 40 procent. Blisko jedna trzecia ankietowanych nie miata

wyrobionego zdania. Większość Polaków nie darzyła więc szacunkiem jego publicznych osiągnięć. Nie wróżyło to dobrze walce o reelekcję.

Pierwsza tura wyborów, która odbyła się 5 listopada 1995 roku, nie przyniosła rozstrzygnięcia. Kwaśniewski otrzymał 35 procent głosów, Wałęsa – 33 procent. Konieczna była dogrywka, w której urzędujący prezydent miał szansę na pozyskanie głosów oddanych na innych kandydatów postsolidarnościowych. Mimo

negatywnej oceny jego prezydentury poparta go Unia Wolności, a nawet część prawicy. W jakimś sensie powtórzyła się sytuacja z 1990 roku – niechętna Wałęsie część wyborców głosowała na niego w drugiej turze raczej przeciw jego konkurentowi niż w poczuciu, że on sam jest najlepszym kandydatem. Ale to nie wystarczyło. Wałęsę pogrążyły dwie debaty telewizyjne, w których wypadł znacznie gorzej niż przywódca lewicy. 19 listopada 1995 roku niewielką przewagą 3,5

procenta głosów na prezydenta RP został wybrany Aleksander Kwaśniewski. Historyczny przywódca Solidarności przegrał – bodaj po raz pierwszy w tak ważnej batalii w swojej karierze.

Ostatnie dni jego prezydentury należały do najbardziej burzliwych w historii III Rzeczypospolitej. 19 grudnia Lech Wałęsa wezwał do pałacu prezydenckiego wszystkie najważniejsze osoby w państwie – poza premierem Józefem Oleksym. Zebrani zostali poinformowani, że według Urzędu Ochrony Państwa szef

rządu jest współpracownikiem wywiadu rosyjskiego. Oskarżenie powtórzył 21 grudnia na sali sejmowej minister spraw wewnętrznych Andrzej Milczanowski. Sprawa nigdy nie została do końca wyjaśniona, ale Oleksy utracił stanowisko premiera.

22 grudnia 1995 roku dobiegła końca pięcioletnia kadencja Lecha Wałęsy. W jej ostatnim dniu odznaczył Władysława Bartoszewskiego i Tadeusza Mazowieckiego Orderem Orła Białego. W południe opuścił Pałac

Namiestnikowski. Co zamierzał dalej? Jakie miał plany polityczne na przyszłość – nie wiadomo. Stanowczo zbyt młody na emeryta – miał dopiero 52 lata – postanowił wrócić do pracy w stoczni. Już w miesiąc po wyborach ogłosiła to pani Danuta: – Mąż musi wrócić do pracy, bo poza trzymiesięczną odprawą prezydencką nie mamy środków do życia. 2 kwietnia 1996 roku znów jak przed laty przed kolebką Solidarności zgromadziły się tłumy dziennikarzy. Dawny lider



związku, jak gdyby nigdy nic, przyszedł tego dnia o godzinie szóstej rano do pracy na wydział transportu. Pierwszy Elektryk Rzeczypospolitej, jak go określił ksiądz Henryk Jankowski, nie wytrzymał jednak długo przy swoim dawnym warsztacie. Wkrótce założył instytut swego imienia i rozpoczął podróże za granicę z wykładami.

Pięć lat później próbował powrócić do pałacu prezydenckiego. Jako kandydat na stanowisko głowy państwa musiał przejść procedurę lustracji. Jego oświadczenie

stwierdzające, że nie współpracował ze Służbą Bezpieczeństwa, zakwestionował rzecznik interesu publicznego. 11 sierpnia 2000 roku sąd oczyścił go jednak z zarzutu działalności agenturalnej. Potwierdzeniem tego wyroku była decyzja Instytutu Pamięci Narodowej z listopada 2005 roku o przyznaniu Lechowi Wałęsie statusu pokrzywdzonego. Przeciwnicy Wałęsy nie uznali jednak sprawy za zamkniętą. Oskarżenia o to, że jako tajny współpracownik „Bolek” był

donosicielem SB w latach siedemdziesiątych i później są do dziś kierowane pod jego adresem.

Trzeciego startu w wyborach prezydenckich nie sposób uznać za udany. Wałęsa nie odegrał poważnej roli w kampanii i otrzymał tylko jeden procent głosów. Polacy najwyraźniej nie chcieli powrotu dawnego lidera Solidarności na scenę polityczną. Społecznego poparcia nie udało się zdobyć także założonej przez niego partii o nazwie Chrześcijańska Demokracja III RP. Z tej

podwójnej porażki wyciągnął wnioski. – Polityk musi brać odpowiedzialność za wynik wyborczy. Ja go nie zlekceważę. Wskazuje mi on, że powinienem stanąć obok sceny politycznej, jako recenzent wydarzeń – oznajmił kilka dni po wyborach.

Legendarny przywódca polskiej walki o wolność wciąż cieszy się wielkim prestiżem za granicą. Jeździ po całym świecie z prelekcjami. W 1999 roku był gościem specjalnym na szczycie NATO w Waszyngtonie, gdy Polska wstępowała do sojuszu. W 2002 roku reprezentował

Europę podczas ceremonii otwarcia olimpiady zimowej w Salt Lake City. W listopadzie 2004 roku pojechał do Kijowa wesprzeć pomarańczową rewolucję. Od 2008 roku jest członkiem prestiżowej grupy refleksyjnej, zwanej Radą Mędrców, która ma przygotować Unię Europejską na wyzwania przyszłości.

W sierpniu 2005 roku wziął udział w obchodach rocznicy powstania Solidarności, ale wystąpił ze związku, który założył 25 lat wcześniej. Wykonał polubowne gesty

wobec Wojciecha Jaruzelskiego i Aleksandra Kwaśniewskiego. Nie oznacza to jednak, że chce zapomnieć o przeszłości. „Nie chcę rewanżu, nie żądam odszkodowań – mówił 3 maja 2005 roku. – Chcę jednak prawdy. Historycznej, ludzkiej i politycznej. Prawdy, która na zawsze utnie wszelkie chore teorie spiskowe i nikczemne szkalowanie niewinnych. Dlatego publicznie wzywam ówczesnych decydentów, zleceniodawców i sprawców fałszerstw, z panem generałem Wojciechem Jaruzelskim na

czele. Wzywam do ujawnienia prawdy o tamtych czasach i mechanizmach walki z nami, ludźmi pragnącymi wolności i uczciwości”.

Choć od wygłoszenia tego apelu minęło sporo czasu, pozostaje on aktualny.

# Od autora

Chłopski syn, robotnik, lider związkowy, przywódca narodowej walki o wolność, prezydent. W życiorysie Lecha Wałęsy jest wszystko, czego potrzeba do heroicznej biografii – biedne dzieciństwo, walka o byt, udział w rewolcie robotniczej, strajki i więzienie, pokojowa Nagroda Nobla, lata opozycji, dramatyczne negocjacje z rządem, a na koniec wielkie zwycięstwo. Ale



są też w nim karty nie do końca jasne, polityczne manewry i dworskie intrygi, duma i zawziętość, konflikty z przyjaciółmi i walka o władzę. Autorowi słynnego powiedzenia: „Jestem za, a nawet przeciw” towarzyszyło po 1989 roku zmienne wahadło społecznej popularności. Przywódca walki z komunizmem jest dziś atakowany przez heroldów antykomunizmu, a jeszcze niedawno w opinii publicznej przegrywał z dawnymi funkcjonariuszami dyktatury. Na początku obecnej

dekady jeden z ojców trzeciej polskiej niepodległości miał w sondażach popularności mniej zwolenników niż ci, którzy pilnowali nad Wisłą interesów Moskwy. Jak to było możliwe? Wałęsa w sporej mierze sam sobie na to zapracował – chaotyczną prezydenturą, nieumiejętnością budowania sojuszy i pozyskiwania trwałego poparcia, przejawami pychy i autokratyzmu. Obciążony odpowiedzialnością za wszystkie trudy i grzechy transformacji, padł ofiarą populizmu – broni, do której sam

sięgał w wolnej Polsce.

W swojej intelektualnej warstwie spór o Wałęsę dotyczy wszakże nie tyle osoby czy życiorysu przywódcy, ile związanej z jego nazwiskiem polityki, której najistotniejsze etapy wyznaczają porozumienie gdańskie, samoograniczająca się rewolucja Solidarności, umowa Okrągłego Stołu, wybory czerwcowe, utworzenie rządu Tadeusza Mazowieckiego. Polska ewolucyjna droga do wolności była, według mnie, wielkim sukcesem, przyniosła nam demokrację, oszczędziła

ofiar i miała decydujący udział w upadku komunizmu europejskiego. Jest naturalne, że głos w tej kwestii zabierają również kontestatorzy umiarkowanej linii Lecha Wałęsy, jednak niepokoi skala wyrażanych przy tej okazji politycznych emocji. W ocenie najnowszej historii Polski mamy do czynienia z zasadniczym naruszeniem proporcji. W publicznej debacie znacznie więcej miejsca poświęca się błędom i zaniechaniom niż autentycznym dokonaniom. Rok 1989, w którym Polska

odzyskała wolność po 45 latach dyktatury, znajduje się w cieniu czarnej legendy Okrągłego Stołu i rzekomej zmowy z Magdalenki. Tamte kompromisy utożsamiane są z kapitulacją, a ludzie skutecznie realizujący narodowe cele w latach osiemdziesiątych umieszczani w kręgu podejrzeń o zdradę.

W tej atmosferze głośniej słyhać gwałtownych krytyków i przeciwników przywódcy Solidarności niż jego zwolenników. W sporze o Lecha Wałęsę najwięcej jest fragmentarycznych opisów,

publicystycznych ocen, skrajnych sądów – znacznie mniej spokojnego spojrzenia na całość jego publicznego życiorysu. Bibliografia prac na temat lidera polskiego ruchu wolnościowego roi się od pamfletów i (w znacznie mniejszej liczbie) apologii, ale nie doczekał się on jeszcze napisanej bez uprzedzeń biografii, w której byłoby więcej faktów niż interpretacji. Ta książka na swoją skromną miarę chce chociaż część tej luki wypełnić. Nie rości sobie pretensji do statusu pracy

naukowej. Zamiarem jej autora było pokazanie drogi gdańskiego elektryka z Popowa do Belwederu, a zwłaszcza działalności w Wolnych Związkach Zawodowych i Solidarności, czyli lat 1978–1990. Niniejszy zarys biograficzny nie zastąpi oczywiście całościowej biografii Lecha Wałęsy, która pozostaje do napisania.

Jan Skórzyński

# Wybrana bibliografia

Andrew Christopher, Mitrochin Wasilij, *Archiwum Mitrochina. KGB w Europie i na Zachodzie*, Warszawa 2001.

Ash Timothy Garton, *Polska rewolucja: Solidarność*, Londyn 1987.

Barański Marek, *Tajemnice DT*, Warszawa 1991.

Biernacki Leszek, *Kronika Solidarności. 20 lat dzień za dniem...*, Sopot 2000.



Bochwic Teresa, *Odwrotna strona medalu. Z Jarosławem Kaczyńskim rozmawia Teresa Bochwic*, Warszawa 1991.

Bochwic Teresa, *III Rzeczpospolita w odcinkach. Kalendarium wydarzeń styczeń 1989 - maj 2004*, Kraków 2005.

Boyes Roger, *Nagi prezydent. Życie polityczne Lecha Wałęsy*, Londyn 1995.

„Chcemy Panu pomóc”. *Zapis rozmowy przewodniczącego Lecha Wałęsy z płk. Bolesławem*

*Klisiem i płk. Hipolitem Starszakiem z 14 listopada 1982 r., oprac. Sławomir Cenckiewicz, Grzegorz Majchrzak, „Arcana” 2006, nr 70 / 71.*

*Cenckiewicz Sławomir, Gontarczyk Piotr, SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii, Gdańsk–Warszawa–Kraków 2008.*

*Czaczkowska Ewa K., Kardynał Wyszyński, Warszawa 2009.*

*Dębska Agnieszka, Niezależna Samorządna, „Karta” 2005, nr 46.*

*Dokumenty Komitetu Obrony Robotników i Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”, oprac. Andrzej Jastrzębski, Warszawa-Londyn 1994.*

*Dubiński Krzysztof, Magdalena. Transakcja epoki. Notatki z poufnych spotkań Kiszczak - Wałęsa, Warszawa 1990.*

*Dudek Antoni, Historia polityczna Polski 1989-2005, Kraków 2007.*

*Eisler Jerzy, Grudzień 1970. Geneza, przebieg, konsekwencje, Warszawa 2000.*

Friszke Andrzej, *Komitet Obywatelski. Geneza i historia*, [w:] *Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność”*. Stenogramy posiedzeń 7 listopada 1987, 18 grudnia 1988, 23 kwietnia 1989, oprac. Małgorzata Strasz, Warszawa 2006.

Friszke Andrzej, *Narodziny Wałęsy*, „Gazeta Wyborcza”, 5 grudnia 2008.

Friszke Andrzej, *Opozycja polityczna w PRL 1945-1980*, Londyn 1994.

Friszke Andrzej, *Rok 1989*.

*Polska droga do wolności*, zdjęcia  
Erazm Ciołek, Warszawa 2009.

Friszke Andrzej, *Tymczasowa  
Komisja Koordynacyjna NSZZ  
„Solidarność” (1982–1987)*, [w:]  
*Solidarność podziemna 1981–  
1989*, red. Andrzej Friszke,  
Warszawa 2006.

Friszke Andrzej, *Zniszczyć  
Wałęsę*, „Gazeta Wyborcza”, 22  
czerwca 2008.

Gątarz Jerzy, Gładysz Mikołaj,  
*14–18 VIII 1980 r. w Stoczni  
Gdańskiej*, [w:] *„Solidarność” a  
wychodzenie Polski z komunizmu.  
Studia i artykuły z okazji XV*

rocznicy powstania NSZZ  
„Solidarność”, red. Lech  
Mażewski, Wojciech Turek,  
Gdańsk 1995.

Głuchowski Piotr, Kowalski  
Marcin, *Krzyczeli na mnie:  
zdrajca!*, „Gazeta Wyborcza”, 1  
lipca 2008.

Hemmerling Zygmunt, Nadolski  
Marek, *Opozycja demokratyczna  
w Polsce 1976–1980. Wybór  
dokumentów*, Warszawa 1994.

Holzer Jerzy, *Solidarność 1980–  
1981. Geneza i historia*,  
Warszawa 1990.

Holzer Jerzy, Leski Krzysztof, *Solidarność w podziemiu*, Łódź 1990.

Instytut Lecha Wałęsy, strona internetowa: [www.ilw.og.pl](http://www.ilw.og.pl).

Jankowska Janina, *Portrety niedokończone*, Warszawa 2004.

Jaruzelski Wojciech, *Stan wojenny. Dlaczego...*, Warszawa 1992.

Kaczyński Lech, *Wałęsy nie polubiłem*, rozm. Kamila Baranowska, Piotr Semka, „Rzeczpospolita”, 11 czerwca 2008.

Kijowski Andrzej, *Dziennik 1978-1985*, Kraków 1999.

Knoch Konrad, *Regionalna Komisja Koordynacyjna w Gdańsku w latach 1982-1989*, [w:] *Solidarność podziemna 1981-1989*, red. Andrzej Friszke, Warszawa 2006.

Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność”. *Stenogramy posiedzeń 7 listopada 1987, 18 grudnia 1988, 23 kwietnia 1989*, oprac. Małgorzata Strasz, Warszawa 2006.

*Krajowa*

*Komisja*



Porozumiewawcza NSZZ  
„Solidarność”. Posiedzenie  
w dniach 31 III - 1 IV 1981,  
oprac. zespół redakcyjny  
Archiwum „Solidarności”,  
Warszawa 1987.

Ku rejestracji NSZZ „Solidarność”.  
Kalendarium wydarzeń 1980 r.,  
oprac. Krzysztof Kosiński,  
Stowarzyszenie Archiwum  
Solidarności, [www.archsol.pl](http://www.archsol.pl).

Królak Stanisław Marek, Lech  
Wałęsa a „Solidarność”, [w:]  
„Solidarność” a wychodzenie  
Polski z komunizmu. Studia i  
artykuły z okazji XV rocznicy

*powstania NSZZ „Solidarność”,  
red. Lech Mażewski, Wojciech  
Turek, Gdańsk 1995.*

*Ku wielkiej zmianie.  
Korespondencja między  
Ambasadą PRL w Waszyngtonie a  
Ministerstwem Spraw  
Zagranicznych, styczeń-  
październik 1989, red. Henryk  
Szljajfer, oprac. Paweł Ceranka,  
Marek Jędrys, Paweł Sowiński,  
Warszawa 2008.*

*Kuroń Jacek, Gwiazdny czas.  
„Wiary i winy” dalszy ciąg,  
Londyn 1991.*

*Kurski Jarosław, Wódz,*

Warszawa 1991.

Kuźniar Roman, *Droga do wolności. Polityka zagraniczna III Rzeczypospolitej*, Warszawa 2008.

Levesque Jacques, 1989 *La fin d'un empire. L'URSS et la liberation de l'Europe de l'Est*, Paris 1995.

Łopiński Maciej, Moskit Marcin [Gach Zbigniew], Wilk Mariusz, *Konspira. Rzecz o podziemnej „Solidarności”*, Gdańsk–Warszawa 1989.

Machcewicz Paweł, *Wałęsa w*

krzywym zwierciadle,  
„Rzeczpospolita”, 30 czerwca  
2008.

Majchrzak Grzegorz, *Esbecka  
panna „S”*, „Rzeczpospolita”, 13  
grudnia 2002.

Mérétik Gabriel, *Noc generała*,  
Warszawa 1989.

Michnik Adam, *Takie czasy...  
Rzecz o kompromisie*, Warszawa  
1986.

Michnik Adam, Tischner Józef,  
Żakowski Jacek, *Między panem  
a plebanem*, Kraków 1995.

Miodowicz Alfred, *Zadymiarz*,

spisał Ryszard Naleszkiewicz,  
Warszawa 1993.

*Na zaproszenie Lecha Wałęsy.  
Narada przedstawicieli środowisk  
niezależnych, Warszawa 1988.*

Nawrocki Grzegorz, *Polak z  
Polakiem, Warszawa 1990.*

*Okrągły Stół, oprac. Krzysztof  
Dubiński, Warszawa 1999.*

*Okrągły Stół. Dokumenty i  
materiały, t. 1, red. Włodzimierz  
Borodziej, Andrzej Garlicki,  
Szczecin-Warszawa 2004.*

Orchowski Adam, *Przebieg  
strajku okupacyjnego w Stoczni*

Gdańskiej im. Lenina w dniach 14-31 sierpnia 1980 roku, „Punkt” 1980, nr 12.

Orszulik Alojzy, *Czas przełomu. Notatki z rozmów z władzami PRL w latach 1981-1989*, Warszawa-Ząbki 2006.

Paczkowski Andrzej, *Droga do „mniejszego zła”. Strategia i taktyka obozu władzy lipiec 1980 - styczeń 1982*, Kraków 2002.

Paczkowski Andrzej, *Wojna polsko-jaruzelska. Stan wojenny w Polsce 13 XII 1981 - 22 VII 1983*, Warszawa 2006.

*Po raz trzeci na ojczystej ziemi.  
Przemówienia. Homilie.  
Reportaże. Refleksje, Warszawa  
1988.*

*Raina Peter, Rozmowy z  
władzami PRL. Arcybiskup  
Dąbrowski. W służbie Kościoła i  
narodu, t. 2: 1982-1989,  
Warszawa 1995.*

*Rakowski Mieczysław F.,  
Dzienniki polityczne 1979-  
1981, Warszawa 2004.*

*Rakowski Mieczysław F.,  
Dzienniki polityczne 1981-  
1983, Warszawa 2004.*

Rakowski Mieczysław F.,  
*Dzienniki polityczne 1987-1990*, Warszawa 2005.

*Raport. Polska 5 lat po Sierpniu*,  
Warszawa 1985.

Sebestyen Victor, *Revolution 1989. The fall of the Soviet Empire*, London 2009.

Skórzyński Jan, Pernal Marek,  
*Gdy niemożliwe stało się możliwe. Kalendarium Solidarności 1980-89*, Warszawa 2005.

Skórzyński Jan, Lech Wałęsa,  
[w:] *Opozycja w PRL. Słownik biograficzny 1956-89*, t. 1, red.



Jan Skórzyński, Paweł Sowiński,  
Małgorzata Strasz, Warszawa  
2000.

Skórzyński Jan, *Od Solidarności  
do wolności*, Warszawa 2005.

Skórzyński Jan, *Ugoda i  
rewolucja. Władza i opozycja  
1985–1989*, Warszawa 1995.

Skórzyński Jan, *Rewolucja  
Okrągłego Stołu*, Kraków 2009.

*Spółeczeństwo i władza lat  
osiemdziesiątych w badaniach  
CBOS*, Warszawa 1994.

Sterlingow Marek, *Wałęsa, tyżes  
przegrał!*, „Gazeta Wyborcza”, 3

lipca 2008.

Stelmachowski Andrzej,  
*Kształtowanie się ustroju III  
Rzeczypospolitej,* Warszawa-  
Jaktorów 1998.

Szczepuła Barbara, WZZ  
*Wybrzeża: przez związek  
zawodowy do niepodległości, [w:]  
Opozycja antykomunistyczna w  
Gdańsku (1976-1980), red.  
Lech Mażewski, Wojciech  
Turek, Gdańsk 1995.*

Szczesiak Edmund, *Borusewicz.  
Jak runął mur,* Warszawa 2005.

Tabako Tomasz, *Strajk 88,*

Warszawa 1992.

Wałęsa Lech, *Droga do prawdy. Autobiografia*, Warszawa 2008.

Wałęsa Lech, *Droga do wolności*, Warszawa 1991.

Wąs Marek, *Nazywam się Lech Wałęsa*, „Gazeta Wyborcza”, 2 lipca 2008.

*Zapis magnetofonowy przebiegu obrad plenum Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej, oprac. Stanisław Rosiek, „Punkt” 1980, nr 12.*

*Zapis rokowań gdańskich.*

*Sierpień 1980, oprac. Andrzej Drzycimski, Zenon Szkutnik, Paryż b.d.*

*„Zeszyt roboczy” generała Anoszkina 9-16 grudnia 1981 r., Warszawa 1998.*

*Zmierzch dyktatury. Polska lat 1986-1989 w świetle dokumentów, t. 1: Lipiec 1986 - maj 1989, oprac. Antoni Dudek, Warszawa 2009.*

Zdjęcie na okładce: Lech  
Wałęsa, wrzesień 1980. Fot.  
Jacek Awakumowski, ze  
zbiorów Europejskiego Centrum  
Solidarności

Projekt typograficzny i projekt  
okładki: Janusz Górski

Konsultacja naukowa: prof.  
Andrzej Friszke

Redakcja i korekta: Małgorzata  
Strasz

Wybór zdjęć: Grażyna

Goszczyńska, Violetta Kmiecik

Indeks: Wojciech Ingielewicz

Skład: Joanna Kwiatkowska,  
Stanisław Danecki

Opracowanie wersji  
elektronicznej: **mobi**sfera

© Jan Skórzyński

© Europejskie Centrum  
Solidarności

© for graphic design and layout  
by wydawnictwo słowo/obraz  
terytoria

Wydanie pierwsze, Gdańsk  
2009

Wydawca:

Europejskie Centrum  
Solidarności

ul. Doki 1, 80-958 Gdańsk  
tel. (058) 768 23 23, fax (058)

767 79 78

e-mail: [ecs@ecs.gda.pl](mailto:ecs@ecs.gda.pl)

[ecs.gda.pl](http://ecs.gda.pl)

Książka wyprodukowana przez:  
słowo/obraz terytoria sp. z o.o.  
al. Grunwaldzka 74/3, 80-244  
Gdańsk

tel. (058) 341 44 13 fax (058)  
520 80 63

e-mail: [slowo-](mailto:slowo-)

[obraz@terytoria.com.pl](mailto:obraz@terytoria.com.pl)

[www.terytoria.com.pl](http://www.terytoria.com.pl)

ISBN 978-83-62853-82-3